

Thomas Pynchon

# 49 idzie pod młotek

*(The Crying of Lot 49)*

*Tłumaczył Piotr Siemion*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pewnego letniego popołudnia, gdy pani Edypa Maas wróciła z Balu Pań Domu, którego gospodyni dodała do fondue chyba nieco zbyt dużo kirszu, dowiedziała się, że została wyznaczona, ona właśnie, na wykonawcę – a ściślej wykonawczynię – testamentu niejakiego Pierce’a Inverarity’ego, kalifornijskiego króla nieruchomości, który niegdyś w wolnych chwilach przepuścił dwa miliony dolarów, lecz którego aktywa były wciąż wystarczająco pokaźne i zagmatwane, by sortowanie masy spadkowej nie ograniczało się do czynności honorowej. Edypa przystanęła na środku salonu, gdzie gapiło się na nią martwe zielone oko telewizora, wymówiła imię Boże i ze wszystkich sił spróbowała poczuć się pijana. Nic z tego. Przywołała w myślach pokój hotelowy w Mazatlan, którego drzwi zatrzasnęły się przed chwilą – jak gdyby na zawsze – wyrwijąc ze snu dwie setki ptaków w hotelowym westybulu; potem wschód słońca nad skarpą obok biblioteki Uniwersytetu Cornella, wschód, którego nikt nigdy nie oglądał, jako że skarpa jest zwrócona ku zachodowi; ostrą i posępną melodię z czwartej części Koncertu na orkiestrę Bartoka; bielone wapnem popiersie Jaya Goulda, które stało nad łóżkiem Pierce’a w wykuszu tak wąskim, iż Edypy nie opuszczała nigdy trwoźna obawa, że się na nich zwali. Może właśnie tak umarł, zastanawiała się, pośród snów, zmiażdżony przez jedyną ikonę w całym domu? Roześmiała się, głośno i bezradnie: – Jesteś chora, Edypo – powiedziała do siebie albo może do ścian pokoju, który dobrze o tym wiedział.

List, podpisany przez jakiegoś Metzgera, przyszedł z zespołu adwokackiego Warpe’a, Wistfulla, Kubitschka i McMingusa w Los Angeles. Pierce, jak się dowiedziała Edypa, umarł jeszcze wiosną, ale dopiero teraz odnaleziono testament. Metzger miał być drugim współwykonawcą, a także specjalnym doradcą w wypadku ewentualnych sporów prawnych. Edypa została wyznaczona na wykonawczynię również w datowanym równo przed rokiem kodycyłu.

Spróbowała przypomnieć sobie, czy zdarzyło się jej w tamtym okresie coś szczególnego. Przez całe popołudnie, jadąc do centrum Kinneret-Among-The-Pines, żeby kupić ricottę i posłuchać muzyki sączącej się ze sklepowych głośników (dziś, kiedy przestąpiła zakryte sznurami paciorków wejście, leciał właśnie czwarty takt Koncertu na okarynę Vivaldiego w wykonaniu Indiana Settecento Ensemble z Fort Wayne, solista Boyd Beaver), potem zbierając w słońcu majeranek i bazylię z własnego herbarium, przeglądając recenzje książek w najnowszym numerze „Scientific American”, przekładając ciasto na lasagnę, przygotowując chleb czosnkiem, rwąc liście sałaty, wreszcie, już po włączeniu piekarnika, mieszając whisky z cytryną w oczekiwaniu na powrót z pracy męża, Wendella – „Mucho” – Maasa, Edypa wciąż zastanawiała się, tasowała grubą talię dni, które – pierwsza by to przyznała – wyglądały niemalże tak samo, wszystkie wskazywały niejako ten sam kierunek, niczym talia sztukmistrza, gdzie wprawne oko rozpozna natychmiast każdą nie pasującą kartę. Dopiero w połowie dziennika telewizyjnego zdołała sobie przypomnieć, że właśnie w zeszłym roku, mniej więcej o trzeciej nad ranem, zadzwonił telefon, zamiejscowy. Skąd dzwonił, nie miała dowiedzieć się już nigdy (chyba że ktoś odnajdzie również dziennik zmarłego). Głos w słuchawce miał najpierw ciężki słowiański akcent i brzmiał niczym głos drugiego sekretarza Ambasady Transylwańskiej, który poszukuje zbiegłego nietoperza, ale zaraz zmienił się w parodię gwary murzyńskiej, w agresywny meksykański dialekt Pachuco, pełen przekleństw typu *chinga* i *maricon*, w skrzek oficera gestapo indagującego, czy Edypa ma krewnych w Niemczech, i wreszcie w jego własny głos, podobny do głosu Lamonta Cranstona, ten, który pamięta ze wspólnej podróży do Mazatlan.

– Pierce, proszę cię – zdołała wtrącić. – Myślałam, że między nami...  
– Ależ Margot – rzekł z całą powagą. – Wracam prosto od komisarza Westona. Okazuje się, że tamten staruszek w lunaparku został trafiony z tej samej dmuchawki, z której zamordowano profesora Quackenbusha... – Czy coś takiego.  
– Na miłość Boską – wykrztusiła. Mucho obrócił się na drugi bok i patrzył na nią.  
– Czemu nie odłożysz słuchawki? – zaproponował rozsądnie.  
– Słyszałem to – odezwał się Pierce. – Chyba już czas, by Mucho przeżył małe spotkanie z Cieniem.

Zapadła cisza, głęboka i ostateczna. Taki był ostatni z jego głosów.

Lamont Cranston. Linia telefoniczna mogła być dowolnie długa, prowadzić w dowolną stronę. W ciągu miesięcy, jakie upłynęły, niepewność Edypy, co sądzić o telefonie, udzieliła się także wszystkiemu, co rozmowa przywróciła do życia: wspomnieniom twarzy Pierce'a, jego ciała, wszystkiemu, co jej dał, wszystkiemu, co mówił, a czego od czasu do czasu udawała, że nie słyszy. Fala zabrała go, uniosła aż po krawędź zapomnienia. Cień czekał rok, zanim przyszedł powtórnie. Teraz jednak Edypa miała w ręku list Metzgera. Czy Pierce dzwonił przed rokiem, żeby powiedzieć jej o kodycyli? Czy może podjął decyzję później, w odpowiedzi na jej złość albo na obojętność Mucha?

Poczuła się nagle obnażona, oszukana, wydrwiona. Nigdy w życiu nie była wykonawczynią testamentu, nie wiedziała, jak zacząć, ani nawet, jak powiedzieć adwokatom z Los Angeles, że nie wie, od czego zacząć.

– Mucho, kochanie – zapłakała bezradnie.

Mucho nareszcie w domu, wpadł przez rozsuwane drzwi.

– Dziś znów poniosłem klęskę – zaczął.

– Muszę ci opowiedzieć... – zaczęła także Edypa. Ustąpiła jednak Muchowi.

Jej mąż był prezenterem radiowym, pracował w głębi półwyspu i regularnie cierpiał na wyrzuty sumienia z racji swego zawodu.

– Nie wierzę w tę robotę, Ed. Próbuje, ale nie mogę, naprawdę nie mogę – wyznawał z wysiłkiem, głosem z otchłani może zbyt głębokich, by Edypa potrafiła tam sięgnąć, co za każdym razem wywoływało u niej panikę. Może właśnie widok Edypy na granicy załamania sprawiał, że Mucho sam się wreszcie uspokajał.

– Jesteś zbyt wrażliwy.

Pewnie, było jeszcze wiele innych rzeczy, które mogła mu powiedzieć, ale na tyle potrafiła się zdobyć. Zresztą była to prawda.

Przez parę lat Mucho sprzedawał używane samochody i wystarczająco wyraźnie zdawał sobie sprawę, co niesie ze sobą ten zawód, by godziny pracy stały się dla niego prawdziwą torturą. Co rano golił się trzy razy z włosom i pod włos, żeby usunąć bodaj najbliższy cień wąsów i trwał przy tym, choć niezmiennie zacinał się nowymi żyłkami; kupował wyłącznie garnitury o swobodnej linii i niósł je zaraz do krawca, żeby jeszcze bardziej zwęzić i tak nienormalnie wąskie klapy, a do układania włosów używał wyłącznie wody, zaczesując je w tył jak Jack Lemmon.

Na widok trocin czy choćby strużyn z ołówka dostawał drgawek, gdyż ludzi z jego branży nieraz pomawiano o stosowanie ich do wyciszania grzechoczących przekładni; mimo przestrzegania diety wciąż nie potrafił słodzić kawy miodem jak Edypa, gdyż miód i wszystko co lepkie kojarzyło mu się z tym, co miesza się zwykle z olejem silnikowym, by wsączyć oszustwo w szpary pomiędzy tłokiem a ścianką cylindra. Pewnego razu opuścił przyjęcie, bo ktoś, jak mu się wydawało, złośliwie użył wyrażenia „lukrować po wierzchu”. Tym kimś był węgierski uchodźca, z zawodu cukiernik, rozprawiający o swym fachu, lecz Mucho taki właśnie był: mimoza.

Ale przynajmniej wierzył wówczas w samochody. Może przesadnie – lecz jakże inaczej, skoro przez siedem dni w tygodniu oglądał defiladę ludzi uboższych od siebie, Murzynów,

Meksykanów, frajerów przywożących na sprzedaż najstraszniejsze przedmioty: napędzane silnikiem metalowe egzemplarze siebie samych i własnych rodzin, wizerunki tego, czym musiało być ich życie, obnażone przed wzrokiem Mucha i innych obcych ludzi, spoglądających na zwichrowaną ramę, porzewiały spód, błotnik zamalowany farbą jaśniejszą od karoserii na tyle, by obniżyć wartość wozu, nie mówiąc o nastroju Mucha, wewnątrz przesiąknięte zapachem dzieci, taniej gorzały, smrodem po dwóch, czasem trzech pokoleniach palaczy albo po prostu kurzem – kiedy zaś czyszczono samochody przed sprzedażą, trzeba było oglądać wszystko, co pozostało z życia poprzednich właścicieli i nie sposób było zgadnąć, jak wiele odrzucili sami (zdaniem Mucha, posiadali tak mało, że starali się zatrzymać wszystko, co mogli), a co po prostu (może przeżywając to jako tragedię) zgubili: wycięte kupony obiecujące pięcio- i dziesięciocentowe rabaty, premiovane etykiety, różowe ulotki zachwalające nadzwyczajne okazje kupna, pety, wyszczerbione grzebienie, ogłoszenia o pracy, numery sklepów i urzędów wydarte z książki telefonicznej, strzępy muzealnych już ubrań czy bielizny służące do ścierania pary oddechu z wewnętrznej strony szyby, by łatwiej można było zobaczyć cokolwiek: film w przydrożnym kinie, pożądaną kobietę lub samochód, albo gliniarza, który zatrzymuje człowieka dla wprawy; wszystkie te strzępki i kawałki pokryte równo, niczym sałata rozpaczy, szarym majonezem popiołu, skondensowanych spalin, kurzu i wydzielin ciała. Mucho nie mógł na to patrzeć, ale patrzeć musiał. Gdyby pracował na normalnym śmietniku, mógłby pewnie dojść z tym wszystkim do ładu, zrobić karierę – młot zmieniający wozy w złom uderzał nieczęsto, byłby na tyle oddalony od Mucha, że wydawałoby się to wyższym zrzędzeniem, tak jak wyższym zrzędzeniem wydaje nam się każda śmierć, zanim przyjdzie właśnie do nas. Lecz ciągnące się w nieskończoność tygodnie za tygodniami rytuały kupna i sprzedaży nigdy nie przekraczały progu krwi ani przemocy i były zbyt obłudne, by wrażliwy Mucho mógł je dłużej ścierpieć. Jeżeli nawet długie przebywanie pośród niezmiennej, chorej szarości zdołało go trochę uodpornić, wciąż nie potrafił się zgodzić z tym, że każdy właściciel, każdy cień, przychodzi tylko po to, by zamienić pogiętą, zdezelowaną wersję samego siebie na inną, równie jak poprzednia wyzutą z przyszłości, zmotoryzowaną wersję życia jakiejś innej osoby.

Jak gdyby nigdy nic. Dla Mucha było to potworne: nie kończące się, konwulsyjne kazirodztwo.

Edypie nie mieściło się w głowie, jak Mucho może się tym jeszcze przejmować. Kiedy brali ślub, pracował już od dwóch lat w rozgłośni o symbolu KCUF, a jego dawny obiekt przy trupioszarej, ryczącej arterii, pozostał daleko, niczym druga wojna światowa czy wojna koreańska dla starszych mężów. Boże, wybac, ale czy i Mucho nie powinien był pójść na wojnę? O Japończykach na drzewach, szkopach w wieżyczkach tygrysów i rozbrzmiewających nocą trąbach żółtków potrafiłby może zapomnieć prędzej niż o koszmarze dawnej pracy, który dręczył go już od pięciu lat. Pięć lat. Pociesza się mężów, kiedy oblani potem budzą się albo wykrzykują coś w języku własnych koszmarów, tak, pociesza się ich, obejmuje, wtedy uspokajają się i któregoś dnia przestają pamiętać: wiedziała o tym. Kiedy jednak dane mu będzie zapomnieć? Podejrzewała, że cała ta praca discjockeya (dostał ją przez swojego kumpla, szefa działu reklamy KCUF, który raz w tygodniu odwiedzał obiekt Mucha, będący jednym ze sponsorów rozgłośni) stanowi tylko sposób, by stworzyć z Listy Przebojów, czy nawet z serwisu informacyjnego drukowanego przez klekoczącą maszynę, z całego mirażu dla nastoletnich żądź barierę, która stałaby pomiędzy nim a dawną pracą.

Za bardzo wierzył w swoją dawną działkę, wcale nie wierzył w rozgłośnię. Gdyby jednak spojrzeć nań teraz, kiedy szybował w półmroku jak wielki czarny ptak na wznoszącym się prądzie powietrza przez środek pokoju w stronę oszronionego dzbana z alkoholem, a wir jego osobowości promieniował uśmiechem, można by pomyśleć, że w jego życiu wszystko jest idealnie spokojne, złote i pogodne.

Dopóki nie otworzył ust.

– Dzisiaj – rozpoczął, nalewając sobie – Funch wziął mnie na dywanik. Chodziło mu o wrażenie, jakie stwarzam, bo mu się nie podoba. – Funch był dyrektorem ramówki i wielkim wrogiem Mucha.

– Twierdzi, że jestem zbyt rozerotyzowany. Powinienem być raczej młodym tatusiem, starszym bratem. Kiedy te wszystkie małolatki do nas dzwonią, w każde moje słowo, mówi Funch, wkrada się naga żądza. Mam odtąd nagrywać wszystkie takie rozmowy, a Funch wytnie to, co uzna za niemoralne, to znaczy każde moje słowo. Oho, mówię mu, cenzura, ty gnido, szepnąłem, i zwiąłem.

Mucho i Funch odbywali podobną rutynową rozmowę przeciętnie raz w tygodniu.

Pokazała mu list od Metzgera. Mucho wiedział oczywiście o jej związku z Pierce'em. Historia skończyła się na rok przed ich małżeństwem. Przeczytał list i zamrugał wstydliwie oczami.

– Co ja mam teraz zrobić? – spytała.

– O nie – odezwał się. – Nie przychodź z tym do mnie. To nie dla mnie. Nie umiem nawet obliczyć bez błędów naszego podatku dochodowego, nie mam ci jak pomóc z testamentem. Idź do Rosemana. – Był to ich adwokat.

– Mucho! Wendell. To się skończyło. Skończyło się, zanim mnie wyznaczył.

– Jasne, jasne, Ed. Chciałem tylko powiedzieć, że, no, ja się nie nadaję.

Właśnie tak zrobiła nazajutrz: poszła do Rosemana. Spędziła najpierw pół godziny przed toaletką, wciąż od nowa rysując ciemne kreski wzdłuż powiek, kreski, które za każdym razem zamazywały się albo falowały gwałtownie, zanim zdążyła odłożyć pędzelek. Prawie całą noc nie mogła zasnąć, po kolejnym telefonie o trzeciej nad ranem, którego dzwonek mógł człowieka przyprawić o zawał serca, przychodząc znikąd, kiedy milczący dotąd aparat w jednej sekundzie zaniósł się wrzaskiem. Obudzili się obydwójce natychmiast i leżeli, rozplątując się z uścisku, nie chcąc spojrzeć sobie w oczy przez pierwszych kilka sygnałów. Wreszcie Edypa, nie mogąc przypomnieć sobie nic, co miałyby do stracenia, podniosła słuchawkę. Dzwonił dr Hilarius, jej psychol, czyli psychoterapeuta. Brzmiał jednak niczym Pierce w roli oficera gestapo.

– Nie obudziłem pani chyba – zaczął oschle. – Ma pani przestrasz w głosie. Jak tam moje pigułki, nie działają?

– Nie biorę ich – przyznała się.

– Boi się pani?

– Nie wiem, co mają w środku.

– Więc nie wierzy pani, że to zwykłe środki uspokajające.

– A powinnam panu wierzyć? – Nie wierzyła. To, co powiedział potem, wyjaśniło dlaczego.

– Nadal nam brakuje sto czwartego do brydża – zachichotał. Brydż, czyli most, *die Brücke*, to pieszczotliwa nazwa eksperymentu, w którym Hilarius pomagał miejscowemu szpitalowi; eksperyment dotyczył skutków działania LSD 25, meskaliny, psylocybiny i pokrewnych narkotyków na liczną próbkę populacji niepracujących żon zamieszkałych na przedmieściach, Most ku wnętrzu. – Kiedy pozwoli się pani namówić na małą sesję?

– Nic z tego. Macie pół miliona innych do wyboru. Jest trzecia nad ranem.

– Chcemy ciebie.

Edypa ujrzała naraz w powietrzu nad łóżkiem znany portret Wuja Sama, z tych, jakie wiszą przed każdym amerykańskim urzędem pocztowym, o oczach pełnych niezdrowego blasku, dziko uróżowanych, zapadłych, żółtych policzkach i z palcem mierzącym jej między oczy.

Chcę ciebie. Nie pytała Hilanusa, dlaczego pożądał właśnie jej, jak gdyby lękała się tego, co mogłaby odpowiedzieć.

– Mam właśnie halucynacje. Nie potrzebuję narkotyków.

– Proszę ich nie opisywać – przerwał natychmiast. – No, dobrze. Czy chciała mi pani jeszcze coś powiedzieć?

– Czy to ja zadzwoniłam?

– Tak mi się wydawało. Odniosłem takie wrażenie. To może nie telepatia, ale więz z pacjentem bywa czasami dziwną sprawą.

– Nie tym razem. – Odłożyła słuchawkę. Nie mogła zasnąć, ale za diabła nie wzięłaby kapsułek, które jej dał: prawdziwego diabelstwa.

Nie chciała się w żaden sposób uzależniać, co powiedziała kiedyś doktorowi.

– E, tam – wzruszył ramionami. – A ode mnie też pani nie jest uzależniona? Tak? No to może pani już iść. Jest pani zdrowa.

Nie poszła. Nie dlatego, że psychol roztoczył nad nią jakąś mroczną władzę. Zostać było po prostu łatwiej. Któż mógł znać dzień jej wyzdrowienia? Przecież nie on, sam to kiedyś przyznał.

– Pigułki to co innego – mówiła błagalnie. Hilarius zrobił tylko do niej minę, taką jak przedtem.

Kultywował tego rodzaju rozkoszne odstępstwa od zawodowej ortodoksji, głosząc teorie, że mina na twarzy jest symetryczna jak plama Rorschacha, pełna treści jak obrazek z testu TAT i wywołuje podobną reakcję jak słowo-klucz w metodzie skojarzeń, skąd więc pretensje? Chwalił się, że niegdyś wyleczył przypadek ślepoty na tle historycznym za pomocą miny nr 37, tak zwanej „Fu-Manczu” (wiele z jego min miało podobnie jak niemieckie symfonie nie tylko numery, ale i przydomki), przy której nadawało się oczom skośność palcami wskazującymi, palcami środkowymi rozpychało się nozdrza, małymi rozciągało usta i wysuwało język. Hilarius robił to naprawdę przerażająco. Teraz, w miarę jak znikająca rojąca się Edypie postać Wuja Sama, na jej miejsce niespiesznie poczęła napływać mina „Fu-Manczu”, by trwać nad Edypa w ciągu godzin, których brakowało do świtu.

Wszystko to nie wprawiło jej w najlepszy nastrój przed spotkaniem z Rosemanem.

Jednakże Roseman również spędził bezsenność, medytując nad wczorajszym odcinkiem serialu telewizyjnego o Perrym Masonie, serialu, który jego żona ubóstwiała, lecz do którego on sam odnosił się z zajadłą ambiwalencją, pragnąc być równie wspaniałym obrońcą sądowym jak Perry Mason, ale ponieważ było to niemożliwe – chcąc zarazem zniszczyć Masona przez podważenie mu reputacji. Kiedy Edypa weszła bez zapowiedzi do jego gabinetu, w pełnym winy pośpiechu zaczął upychać do szuflad biurka plik różnokolorowych kartek i karteczek. Wiedziała, że jest to brudnopis jego pozwu *Palestra przeciwko Perry'emu Masonowi – nie tylko hipotetyczny akt oskarżenia*, pisanej odkąd tylko telewizja zaczęła nadawać ten serial.

– Dawniej tak się z tym nie kryłeś – zauważyła Edypa. Często chodzili razem na zajęcia terapii grupowej. Jeździli na nie jednym wozem z fotografem z Palo Alto, który ubrdał sobie, że jest piłką do siatkówki. – To chyba dobra oznaka, co?

– Myślałem, że to jakiś szpieg Perry'ego Masona – wyjaśnił Roseman. Zastanowił się chwilę i dodał: – Ha, ha.

– Ha, ha – zawtórowała Edypa. Spojrzeli na siebie. – Mam pewien testament do wykonania.

– No to jazda – ucieszył się Roseman. – Nie będę cię zatrzymywał.

– To nie tak. – Edypa opowiedziała mu o wszystkim.

– Co mu przyszło do głowy, żeby tak postąpić – zaczął dociekać Roseman po przeczytaniu listu.

– Jak postąpić, umrzeć?

– Nie, wyznaczyć ciebie jako wykonawczynię.

– Był nieobliczalny.

Poszli na lunch. Roseman usiłował trącać ją nogami pod stołem.

Edypa miała długie buty i nie czuła specjalnie tych zalotów. Tak odizolowana, postanowiła nie robić o to żadnej sprawy.

– Ucieknij ze mną – zaproponował Roseman, kiedy podano kawę.

– Dokąd? – zapytała. To od razu zamknęło mu usta. Kiedy wrócili do biura, Roseman wyliczył pokrótce wszystkie jej obowiązki: powinna się dokładnie zapoznać z rachunkowością i stanem interesów, przejrzeć potwierdzony notarialnie tekst testamentu, ściągnąć wszystkie należne długi, zinwentaryzować aktywa, przeprowadzić wycenę masy spadkowej, zdecydować, co należy zlikwidować, a co zatrzymać, opłacić roszczenia, uporządkować sprawy podatkowe, rozdać należne części spadku...

– Zaraz – przerwała Edypa. – Czy nie znajdzie się ktoś, kto to wszystko za mnie zrobi?

– Chociażby ja – przytaknął Roseman. – Część spraw z pewnością. Wcale cię to nie interesuje?

– Niby co?

– To, czego mogłabyś się przy okazji dowiedzieć.

Z biegiem wydarzeń rzeczywiście miała dostąpić wielu objawień.

Objawień w małej tylko części dotyczących Pierce'a albo też jej samej, lecz raczej czegoś innego, co istniało przez cały czas, ale dotąd trzymało się z dala od Edypy. Do tej chwili wiecznie miała wrażenie wyobcowania i izolacji, wyraźnie odczuwała brak intensywności świata, niczym przy oglądaniu filmu, kiedy obraz jest leciutko zamazany, a operator nie chce go wyostrzyć. Narzuciła sobie powoli rolę jakiejś dziwacznej Roszponki, smętnej basztowej dziewczycy, którą czary uczyniły więźniarką słonych mgieł i sosen Kinneret, wypatrującej wciąż tego, który przybędzie i powie jej, cześć, to ja, rozpuść włosy. Kiedy odkryła, że tym kimś jest właśnie Pierce, bez wahania wyjęła z włosów wszystkie spinki i lokówki, pozwalając opaść szeleszczącej, przepysznej lawinie, lecz kiedy Pierce zaczął się po nich wspinać i był już w połowie wieży, okrutne czary zmieniły piękne włosy w luźno nasadzoną perukę i oto rycerz runął w dół, na dupę. Wciąż jednak nieugięty, podważył zasuwkę zamka u wrót wieży, być może za pomocą jednej ze swych licznych kart kredytowych, po czym wspiał się po schodach podobnych do konchy, jak zresztą powinien był postąpić od razu, gdyby nie to, że niechętnie się zniżał do podstępów i oszustwa. Jednakże wszystko, co zaszło wtedy między nimi, nie przekroczyło nigdy ścian więziennej wieży. Kiedyś w Mexico City zawędrowali na wystawę płócien Remedios Varo, pięknej hiszpańskiej emigrantki politycznej: jedno z płócien, środkowa część tryptyku o tytule *Bordando el Manto Terrestre*, przedstawiało grupę kruchych dziewcząt z twarzami w kształcie serc, o wielkich oczach i włosach jak złota przędza, uwięzionych w sali na szczycie okrągłej wieży i tkających gobelin, który wypływał przez wąskie okienka w otchłań, w beznadziejnym wysiłku, aby tę otchłań wypełnić: tkanina przedstawiała bowiem wszystkie inne budynki, wszystkie żywe istoty, fale, okręty i puszcze ziemi, sama była całym światem. Jak gdyby przez perwersję, Edypa stanęła przed obrazem i rozpłakała się. Nikt tego nie widział; miała na twarzy okulary o wypukłych, zielonych szklach. Przez chwilę zastanawiała się, czy oprawka wokół oczu jest dość szczelna, żeby zatrzymać łzy, pozwolić im wypełnić całą przestrzeń za szklami, tak, by nigdy nie wyschły.

Mogłaby wtedy na zawsze unieść ze sobą smutek tamtej chwili i patrzeć odtąd na świat przez pryzmat łez, właśnie tych łez, jak gdyby jakieś nie odkryte jeszcze cechy odróżniały jeden szloch od innych. Spojrzała pod nogi i zrozumiała nagle, dzięki temu obrazowi, że to, na czym stoi, zostało przed chwilą utkane w jej własnej wieży o kilka tysięcy mil stamtąd i tylko przez przypadek nosi nazwę Meksyku, a tym samym Pierce nie zabrał jej znikąd, nigdzie nie uciekła. Od czego chciała tak bardzo uciec? Uwięziona dziewczica ma dość czasu na rozmyślanie, by prędko zrozumieć, że więzienna wieża, jej wysokość i architektura są równie przypadkowe jak jej własne *ego*: naprawdę zaś przykuły ją do tego, a nie innego miejsca czary, bezimienne i okrutne, rzucone na nią z zewnątrz bez żadnej przyczyny. Aby poznać tę okrutną magię, miała dany tylko kobiecy spryt i strach ściskający wnętrzości, tylko z ich



pomocą mogła zrozumieć, jak działa zły czar, zmierzyć jego pole, policzyć linie sił, mogła więc tylko odwołać się do przesądów albo znaleźć sobie pozytywne hobby, takie jak tkactwo, albo oszaleć, albo wyjść za mąż za prezentera radiowego. Jeśli wieża jest wszędzie, a rycerz niosący zbawienie nie potrafi uchronić przed jej czarem, cóż pozostaje?

## ROZDZIAŁ DRUGI

Wyjechała więc z Kinneret, nie mając pojęcia, że zdążyła ku czemuś nowemu. Mucho stał z tajemniczą miną, trzymając ręce w kieszeniach i gwizdząc *Chcę całować twe stopy*, nowe nagranie Chorego Karolka i Volkswagonów (angielskiej grupy, którą ostatnio polubił, ale w której przyszłość nie wierzył zupełnie), i słuchał, jak Edypa tłumaczy, że musi pojechać na pewien czas do San Narciso, żeby sprawdzić księgi rachunkowe Pierce'a i skontaktować się z Metzgerem, współwykonawcą testamentu. Mucho był zmartwiony jej odjazdem, ale nie wpadał w rozpacz, więc przykazał mu jeszcze, żeby odkładał słuchawkę, gdyby dzwonił dr Hilarius, i pielęgnował krzew oregano, który złapał jakąś dziwną pleśń, ruszyła w drogę.

San Narciso leżało bardziej na południe, w pobliżu Los Angeles. Jak wiele innych miejscowości na mapie Kalifornii, było to nie tyle miasto, ile nagromadzenie pojęć architektonicznych: grupa osiedli mieszkaniowych, stref inwestycji komunalnych, centrów handlowych, z których każde przypięte było do miejskiej autostrady. Niemniej tu właśnie znajdowało się dominium i główna kwatera Pierce'a: tutaj rozpoczął przed dziesięciu laty spekulacje działkami budowlanymi, wyorując tym samym pierwszą bruzdę pod stolicę, bruzdę, z której wzięło początek wszystko, co wyrosło później i co, choćby najbardziej tandetne i groteskowe, zaczęło się piąć ku niebu. Dla Edypy wyróżniało to w jakiś sposób owo miejsce, nadawało mu specyficzną aurę. Jeżeli jednak istniała jakakolwiek różnica pomiędzy San Narciso a resztą Południowej Kalifornii, pozostawała ona niewidoczna dla oczu. Edypa przyjechała w niedzielę wynajętą impalą. Wszędzie panował bezruch.

Mrużąc oczy przed blaskiem, spojrzała w dół stoku na rozpostartą tam potężną płachtę zabudowań, które zdawały się zgodnie wyrastać prosto z martwej, burej ziemi niczym troskliwie pielęgnowana uprawa.

Przyszła jej na myśl chwila, kiedy po raz pierwszy otworzyła radio tranzystorowe, żeby zmienić baterię, i ujrzała wewnątrz płytkę obwodu drukowanego. Widziany teraz z wysoka, uporządkowany wir domów i ulic zaskoczył ją taką samą nieoczekiwaną jasnością, jaką miał w sobie drukowany obwód. Chociaż na radiach znała się jeszcze mniej niż na mieszkańcach Południowej Kalifornii, w obu tych zewnętrznych formach dostrzegła hieroglificzne wzory ukrytych znaczeń, usiłowanie, by jej coś przekazać. Wydawało jej się, że to, co może powiedzieć obwód drukowany, nie ma granic (gdyby tylko zechciała się dowiedzieć); teraz więc, podczas owej pierwszej minuty w San Narciso, na samej krawędzi umysłu Edypy zadrsało objawienie. Cały horyzont spowity był smogiem, słońce paliło ostro w jasno-beżowym krajobrazie.

Wydawało się, że chevrolet Edypy stoi zaparkowany w samym środku niezwykłego aktu religijnego. Jak gdyby z innej, niesłyszalnej częstotliwości, z centrum wiru obracającego się zbyt wolno, by nagrzana skóra Edypy mogła poczuć spiralny ruch powietrza, dobiegały słowa. Czuła, że tak się dzieje. Przypomniała sobie Mucha, swego męża, który usiłuje wierzyć w to, co robi. Czy czuł to samo, co ona teraz, kiedy patrzył przez dźwiękoszczelną szybę na któregoś z kolegów puszczających następną płytę tak wystudiowanym gestem, jak gdyby prezenter był duchownym, podnoszącym krzyżmo, kielich i kadzielnicę – kto jednak ze słuchawkami na uszach dostrajał się do głosu, głosów, do muzyki i tego, co niosła, otoczony nią, wsłuchany ślepo jak reszta wiernych, do których dobiegała. Czy Mucho, kiedy stał przed Studio A i zaglądał do środka, zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby usłyszał ten głos, wciąż i tak nie potrafiłby znaleźć w sobie wiary?

Szybko dała temu spokój, jak gdyby smog dookoła zgęstniał albo chmura zakryła słońce, przerywając „akt religijny”, czymkolwiek był naprawdę; zapuściła silnik i pomknęła

siedemdziesiąt mil na godzinę po śpiewającym asfalcie, wskakując na autostradę, która, jak się domyślała, wiodła do Los Angeles. Miasto, przez które przejeżdżała, było właściwie wąskim poboczem szosy, wyznaczonym przez garaże i warsztaty, banki, zajazdy, małe biurowce i fabryki. Numery domów sięgały najpierw 70, a potem 80 tysięcy. Edypa nigdy w życiu nie widziała jeszcze tak wysokich numerów na domach. Wydało jej się to czymś nienormalnym. Po lewej ręce miała teraz długie pasmo różowych, rozłożystych hal fabrycznych, otoczonych milami drutu kolczastego przetykanego wieżyczkami wartowniczymi; po chwili przemknęła obok bramy głównej, po bokach której stały dwie dwudziestometrowe rakiety z nazwą YOYODYNE, wymalowaną klasycznym krojem pisma na nosach. Tutaj właśnie znajdowało się największe źródło miejsc pracy w San Narciso, należące do korporacji Yoyodyne zakłady Galactronics, gigant przemysłu lotniczo-rakietowego. Przez przypadek wiedziała, że Pierce był właścicielem wielkiego pakietu ich akcji i przyczynił się do wynegocjowania porozumienia z miejscowym urzędem podatkowym, co pozwoliło zwabić Yoyodyne właśnie w to miejsce. Jak powiadał, należało to do roli Ojca Założyciela.

Drut kolczasty zastąpiła na powrót znajoma defilada beżowych, prefabrykowanych budynków, hurtowni z pustaków, fabryk kleju i spinaczy biurowych, punktów napełniania butli gazowych, magazynów i czego tam jeszcze. Niedziela paraliżowała całą okolicę, może oprócz kilku agencji handlu nieruchomościami i zajazdów dla ciężarówek. Edypa postanowiła, że zatrzyma się w pierwszym napotkanym motelu, choćby był najokropniejszy, bo już od pewnego czasu czuła, że cztery ściany i cisza będą lepsze od tej iluzji pędu, swobody, wiatru we włosach, rozwijającego się wciąż krajobrazu – złudy. Pomyślała, że tak naprawdę droga jest igłą strzykawki wbitą w arterię żylną karmiącą Los Angeles, utrzymującą je w szczęściu i ładzie, chroniącą przed bólem albo czymkolwiek, co potrafi sprawić cierpienie miastu. Lecz przecież, gdyby Edypa była pojedynczym kryształem zastrzykniętej miastu heroiny, Los Angeles nie odnalazłoby wskutek jej nieobecności mniej podniet.

Mimo wszystko, kiedy ujrzała następny motel, przeżyła sekundę wahania. W niebo pięła się wysoka na dwa piętra figura z malowanej blachy, przedstawiająca nimfę z białym kwiecikiem w rękę; jaśniejący w pełnym słońcu neon zapraszał do „Dworu Echo”. Twarz nimfy przypominała bardzo rysy Edypy, co zresztą nie było dla niej tak zaskakujące jak fakt, że ukryty system dmuchaw utrzymywał powiewny chiton nimfy w ciągłym ruchu, odsłaniając przy każdym podmuchu ogromne piersi z cynobrowymi sutkami i długie różowe uda. Nimfa miała na twarzy uszmińkowany, przeznaczony dla publiczności uśmiech, który musiał koniecznie należeć do dziwki, ale też za nic nie przypominał uśmiechu nimfy usychającej z miłości. Edypa zatrzymała się przed motelem, wysiadła i przez moment stała nieruchomo w gorącym słońcu i martwym powietrzu, patrząc, jak sztuczna wichura ponad głową szarpie materiałem w dwumetrowych porywach; pamiętając wciąż wizję powolnego wiru, który niesie niesłyszalne dla niej słowa.

Motel powinien być w sam raz na te kilka dni, które musiała tu spędzić. Drzwi jej pokoju otwierały się na długi dziedziniec z basenem kąpielowym, którego tafla była tego dnia idealnie gładka i jaśniała słonecznym blaskiem. Dalej stała fontanna z drugą nimfą. Zupełny bezruch. Jeżeli za rzędami innych drzwi mieszkali jacyś ludzie, być może przypatrujący się jej teraz przez okna zatłkane ryczącymi klimatyzatorami, i tak ich nie widziała. Szef motelu, zbuntowany szesnastolatek imieniem Miles, miał włosy ostrzyżone na Beatlesa i moherowy garnitur bez kłap, zapinany na jeden guzik. Niosąc walizki, śpiewał, może dla niej, a może dla siebie *Piosenkę Milesa*

*Jestem za gruby,  
Za gruby, żeby tańczyć fruga, ye.  
Tak zawsze mówisz,*

*Tak mówisz, kiedy masz mnie dość.  
Wiem, co jest grane –  
Więc zamknij ten swój tłusty dziób ye, ye.  
Może za gruby.  
Za gruby jestem, żeby tańczyć fruga,  
Lecz nie za chudy, by nie udał mi się twist, o ye,  
Lecz nie za chudy, by nie udał mi się twist!*

– Prześliczne – pochwaliła Edypa. – Ale dlaczego śpiewa pan z brytyjskim akcentem, a mówi zwyczajnie?

– A, bo ja gram w takiej grupie – wyjaśnił Miles. – Paranoicy. Jesteśmy nowi na rynku i mamy właśnie tak śpiewać. Oglądamy kupę brytyjskich filmów, żeby złapać tę wymowę.

– Mój mąż jest prezenterem. – Edypa chciała się przysłużyć. – To mała rozgłośnia, tylko tysiąc watów, ale gdybyście podrzucili jakąś taśmę, mogłabym mu dać, żeby puścił na antenie.

Miles zatrzasnął drzwi pokoju i czujnie rozejrzał się po wnętrzu.

– W zamian za co? – zapytał, ruszając ku Edypie. – Zdaje się, że wiem czego chcesz. Mam ci zapłacić sobą, co? – Edypa pochwyciła najbliższy oręż, którym okazała się dipolowa antena z telewizora w kącie. – Och! – Miles się zatrzymał. – Więc mnie jeszcze do tego nienawidzisz? – jasne oczy błyszczały spod grzywki.

– Ty naprawdę jesteś paranoikiem.

– Mam młode, gładkie ciało – bąknął Miles. – Myślałem, że takie starsze sztuki jak ty lecą na to. – I wyszedł, zaśpiewawszy sobie dwa dolce za wniesienie bagażu.

Wieczorem zjawił się adwokat Metzger. Był tak przystojny, że Edypa w pierwszej chwili pomyślała: znowu Oni, ktoś na górze, umyślnie ją podpuszcza. To musiał być aktor. Stał teraz w drzwiach, a za jego plecami długa toń basenu rozbłyskiwała w ciszy rozproszonym światłem nocnego nieba.

– Pani Maas – wyrzekł tonem delikatnej wymówki. Jego ogromne, roziskrzzone oczy o wspaniałych rzęsach uśmiechały się do niej frywolnie; poszukała wzrokiem ukrytych za plecami Metzgera reflektorów, kamer, kabli i mikrofonów, ale za całe towarzystwo adwokat miał tylko sympatyczną butlę francuskiego beaujolais, o której twierdził, że przeschmuglował ją zeszłego roku do Kalifornii tuż pod nosem straży granicznych – rozkoszny łobuz.

– Och, nareszcie – zamruczał. – Po całym dniu przetrząsania moteli, wpuści mnie pani chyba?

Plany Edypy na ten wieczór obejmowały w najlepszym razie oglądanie *Bonazy* w telewizji i dlatego przebrała się już wcześniej w kudłaty czarny sweter i rozciągnięte džinsy, a włosy rozpuściła swobodnie na plecy. Wiedziała, że wygląda świetnie.

– Proszę – powiedziała. – Ale mam tylko jedną szklanekę.

– To nic – z galanterią uspokoił ją Metzger. – Przecież mogę pić z butelki.

Wszedł i usiadł na podłodze, w garniturze. Otworzył wino, nalał Edypie i zaczął opowiadać. Okazało się, że Edypa nie pomyliła się aż tak bardzo, biorąc go za aktora. Przed dwudziestu kilku laty Metzger wystąpił jako jedna z tych dziecięcych gwiazdek filmowych w roli Małego Igora.

– Moja matka – oznajmił z goryczą – chciała mnie ubezwłasnowolnić, zdegradować do roli lalki. Zastanawiam się czasem – przyglądał włosy na ciemieniu – czy jej się to przypadkiem nie udało. Boję się takiej myśli. Wiesz sama, w co potrafiał zmienić swoich chłopców takie matki.

– Nie wyglądasz wcale na... – zaczęła Edypa i zaraz ugryzła się w język.

Metzger błysnął ku niej dwoma rzędami olśniewających zębów.

– Wygląd przestał się liczyć – oznajmił kwaśno. – Mieszkam przecież wewnątrz własnej

powierzchności, więc skąd mam wiedzieć. Dręczy mnie sama taka możliwość.

– Często opłacało ci się takie podejście, Mały Igoroku? – zapytała Edypa, wiedząc już, że to tylko puste słowa.

– Wiesz, Inverarity wspomniał mi też o tobie.

– Zналиście się dobrze?

– Nie. Sporządzałem mu testament. Chcesz wiedzieć, co mi wtedy powiedział?

– Nie. – Edypa odwróciła się i pstryknęła włącznikiem telewizora.

Ekran rozkwitł obrazem dziecka – płęć trudno było określić na pierwszy rzut oka – które dziwacznie ścisnęło gołe nogi. Długie do ramion kędziory splatały się z krótszą sierścią psa bernardyna, który na oczach Edypy długim różowym jęzorem przejechał parokrotnie po policzkach dziecka. Dzieciak zmarszczył nos z dezaprobatą i powiedział:

– Murray, idź sobie, no przestań, przez ciebie jestem cały mokry.

– To ja, to ja – podskoczył. – O rany!

– Który? – chciała wiedzieć Edypa.

– Film nazywał się... – Metzger strzelił palcami. – *Zdegradowany*.

– O tobie i twojej matce?

– Nie, o tym dzieciaku i jego ojcu, którego wylali z brytyjskiej armii za tchórzostwo, tylko że facet kryje po prostu swojego kumpla, rozumiesz, więc żeby zmazać plamę, ojciec i syn podążają w ślad za dawnym pułkiem do Gallipoli, a tam ojcu udaje się zbudować taką miniaturową łódź podwodną, więc co tydzień prześlizgują się przez Dardanele na morzu Marmara i torpedują tureckie frachtowce, ojciec, syn i pies bernardyn. Pies siedzi przy peryskopie i szczeka, kiedy tylko coś zauważy.

– Żarty. – Edypa naląła wina.

– O, teraz posłuchaj, leci moja piosenka.

I rzeczywiście, dzieciak, pies i wesoły grecki rybak, który wynurzył się nie wiadomo skąd z cytry pod pachą, stanęli na tle dekoracji udających wybrzeże Dodekanezu o zachodzie słońca. Chłopiec śpiewał *Piosenkę Małego Igoroka*

*Przed Hunem ni Turkiem nie zadrży nikt z nas,  
Ni tata, ni piesek, ni ja,  
Jak trzech muszkieterów, choć groźny jest czas,  
Wciąż razem idziemy przez świat.  
I Konstantynopol w peryskop złapiemy,  
Gdy znów się znajdziemy wśród fal;  
Hej wraz, do ataku, za chłopców, co w piachu,  
Moj tata, mój piesek i ja.*

Po pierwszej zwrotce nastąpiła solówka rybaka na cytrze, a potem znów zabrzmiał wysoki głos małego Metzgera, podczas gdy jego podstarzały sobowtór, wbrew protestom Edypy, usiłował śpiewać drugim głosem.

Albo z góry uknuł całą sprawę, pomyślała nagle Edypa, albo przekupił jakiegoś technika w miejscowej stacji telewizyjnej. Tak czy inaczej jest to spisek, precyzyjny spisek, żeby ją uwieść. Och, Metzger.

– Nie śpiewałaś razem z nami – zauważył.

– Bo nie znałam tego – uśmiechnęła się.

Na ekranie ukazała się hałaśliwa reklama osiedla nad Laguną Fangoso, nowego terenu mieszkalnego na zachód od San Narciso.

– Jedno z przedsięwzięć Inverarity'ego – zaznaczył Metzger.

Osiedle miało być połączone siecią kanałów z prywatnymi przystaniami dla motorówek, a na środku sztucznego jeziora mieścił się pływający klub. Na dnie zbiornika leżały rekonstrukcje galeonów importowane z Wysp Bahama, fragmenty kolumn i fryzów z

Atlantydy, wyłowione w pobliżu Wysp Kanaryjskich, prawdziwe ludzkie szkielety z Włoch, olbrzymie indonezyjskie małże – wszystko to dla rozrywki amatorów nurkowania. Kiedy w telewizorze pokazano plan osiedla, Edypa aż jęknęła. Metzger spojrział na nią w nadziei, że to może z jego powodu. W rzeczywistości Edypa przypomniała sobie tylko widok oglądany w południe ze wzgórza. Znow poczuła bliskość absolutu, zapowiedź nowej hierofanii: obwód drukowany, łagodnie zakręcające ulice, prywatny dostęp do wody. Księga Umarłych...

Zanim się otrząsnęła, nastąpił dalszy ciąg *Zdegradowanego*.

Miniaturowa łódź podwodna, nazwana „Justine” na pamiątkę niezującej matki chłopca, stała przy molo gotowa do rzucenia cum.

Łódkę żegnała grupka osób, pośród nich stary rybak i jego córka, długonoga nimfetka z loczkami, która, gdyby miało dojść do happy endu, zostałaaby wybranką Metzgera; obok stała angielska pielęgniarka z niezłą figurą, w sam raz dla ojca Igora; kręciła się tam nawet suka z rasy owczarków, zagapiona w bernardyna Murraya.

– O, właśnie – wtrącił Metzger. – Tutaj będą mieli przygody w cieśninach. Śmierzące miejsce, przez te wszystkie pola minowe pod Kephezem, do tego jeszcze Fryce powiesili tam niedawno sieć, gigantyczną stalową sieć z liny grubości ramienia.

Edypa napełniła szklankę winem. Leżeli obok siebie wpatrzni w ekran, dotykając się lekko biodrami. Z telewizora rozległa się straszliwa eksplozja. „Miny!” krzyknął Metzger, kryjąc głowę w ramionach i staczając się na bok. „Tatusiu!” pisnął Metzger w telewizorze. „Boję się!” We wnętrzu łodzi podwodnej zapanował chaos, pies galopował w tę i z powrotem, a pryskająca mu z pyska ślina mieszała się ze strumieniem wody z nieszczelnej grodzi, którą ojciec usiłował zatamować własną koszulą. „Pozostaje nam tylko – oświadczył – zejść aż na dno i spróbować przepłynąć pod siecią”.

– Głupota – wtrącił Metzger. – W sieci był specjalny otwór. Niemcy zostawili go, żeby ich U-booty mogły atakować flotę brytyjską. Wszystkie nasze łodzie podwodne typu E знаły to miejsce.

– Skąd wiesz?

– No przecież tam byłem.

– Ale... – zaczęła Edypa i nagle spostrzegła, że wino się skończyło.

– Aha. – Metzger wydobyl z wewnętrznej kieszeni marynarki butelkę tequilli.

– Bez cytryny? – zapytała z filmowym ożywieniem. – Bez soli?

– Komplet turystyczny. Czy Inverarity pił tequillę z cytryną, kiedy tam pojechaliście?

– Skąd wiesz, dokąd pojechaliśmy? – Patrzyła na napełnioną szklankę, stając się wraz z rosnącym poziomem płynu coraz bardziej antymetzgerowska.

– Polecił mi zaksięgować wyjazd w wydatkach służbowych na tamten rok. Zajmowałem się jego podatkami.

– Węzeł finansowy – zmartwiła się Edypa. – Ty i ten cały Perry Mason: znacie się tylko na tym, krętaćce.

– Ależ całe nasze piękno – pospieszył Metzger z wyjaśnieniem – polega właśnie na umiejętności zamiany ról. W sądzie, twarzą w twarz z ławą przysięgłych, adwokat staje się aktorem, prawda? Taki Raymond Burr jest z kolei aktorem grającym adwokata, który stając przed ławą przysięgłych, zamienia się w aktora. Albo weźmy mnie, byłego aktora, który został adwokatem. Czy wiesz, że telewizja nakręciła na próbę pierwszy odcinek ewentualnego serialu opartego na motywach mojej własnej kariery? Główną rolę gra mój przyjaciel Manny Di Presso, były adwokat, który rzucił swą kancelarię, żeby zostać aktorem. W tym filmie Manny gra właśnie mnie, aktora, który zostawszy prawnikiem, co jakiś czas znów staje się aktorem. Film leży w klimatyzowanym sejfie w hollywoodzkim atelier, chroniony przed światłem, i można go puszczać w nieskończoność.

– Wpadłeś w tarapaty – rzekła wpatrzona w telewizor Edypa, czując jego gorące udo przez materiał garnituru i swoich dzinsów.

Potem:

– Turcy szukają nas reflektorami. – Dolał jej tequilli, patrząc na zanurzającą się łódkę. – Mają łodzie patrolowe i karabiny maszynowe. Chcesz się założyć, co będzie dalej?

– E, tam! Przecież w filmach wiadomo wszystko z góry. – Metzger uśmiechnął się tylko. – Zawsze kończy się tak samo.

– Ale nie wiesz tego na pewno. Nie widziałas tego filmu.

Na ekranie pojawiła się radosna reklama papierosów beaconsfield, których szczególna atrakcyjność kryła się w zastosowaniu w filtrach węgla kostnego, prima sort.

– Ciekawe z jakich kości – zastanowiła się Edypa.

– Zapytaj Inverarity'ego. Był właścicielem 51% akcji fabryki filmów.

– Sam mi powiedz.

– Kiedy indziej. W tej chwili masz ostatnią szansę, żeby się założyć. Uda im się z tego wyjść, czy nie?

Poczuła się wstawiona. Zupełnie bez powodu przyszło jej do głowy, że radosne trio może równie dobrze nie wyjść z opresji. Nie miała pojęcia, jak długo jeszcze może trwać film. Spojrzała na zegarek, ale najwyraźniej stanął.

– Bzdura – odezwała się w końcu. – Jasne, że wyjdą.

– Skąd wiesz?

– Wszystkie takie filmy kończą się happy endem.

– Wszystkie?

– Większość.

– I już obniża się prawdopodobieństwo – oświadczył, wielce z siebie zadowolony.

Popatrzyła na niego zezem przez szkło.

– No, a ile procent, że im się uda?

– Nie powiem ci, bo zaraz się domyślisz.

– Dobra – zawołała, chyba już trochę pijana. – Zakładam się o butelkę. O tequillę dobrze? Że ci się nie udało. – Czowała się tak, jak gdyby wyłudzone z niej te słowa.

– Że mi się nie udało? – zastanowił się. – Hm, jeszcze jedna butelka i zaśnie. Nie – zdecydował.

– No to o co chcesz się założyć?

Wiedziała. Patrzyli sobie uparcie w oczy chyba przez pięć minut.

Z głośnika telewizora wciąż rozlegały się reklamy. Edypa była coraz bardziej zła, może upita, a może tylko zniecierpliwiona przerwą w oglądaniu filmu.

– Dobrze – poddała się wreszcie, siląc się na lekki ton. – Zakład stoi. O co chcesz. Że nie dopłynęliście, że zmieniliście się wszyscy w pokarm dla ryb na dnie Dardaneli, twój tatuś, twój piesek i ty.

– Umowa stoi – wycedził Metzger i sięgnął po rękę Edypy, jak gdyby zamierzał uprawomocnić zakład, lecz zamiast tego pocałował wnętrze jej dłoni, pozwalając suchemu koniuszkowi języka przez sekundę muskać linie losu Edypy, niezmiennie, słone źródła tożsamości.

Zastanowiła się, czy wszystko to przypomina, powiedzmy, dzień, w którym pierwszy raz poszła do łóżka z Pierce'em, ze zmarłym. Ale nagle znów ruszył film.

Ojciec kulił się w płytkim leju na stromym brzegu przyczółka zdobywanego przez Korpus Australijsko-Nowozelandzki, a wokoło fruwały tureckie szrapnele. Nie było śladu Małego Igora ani nawet psa Murraya.

– Co u diabła? – zdziwiła się Edypa.

– O kurczę, musieli im się popieprzyć szpule.

– Czy to się dzieje przedtem, czy potem? – zapytała, sięgając po butelkę tequilli, przy czym nos Metzgera zetknął się bezpośrednio z czubkiem jej lewej piersi. Metzger, żywiołowy komik, zrobił straszliwie zbieżnego zęza i odpowiedział:

– Nic ci nie powiem.  
– Mów. – Trąciła go w nos sterczącą miseczką wyściełanego stanika i nalała sobie jeszcze trochę. – Bo zakład nieważny.  
– Za nic.  
– Powiedz mi chociaż, czy to jest ten jego dawny pułk.  
– Można i tak. – Metzger ożywił się. – Będiesz zadawała pytania. Ale za każdą moją odpowiedź musisz coś z siebie zdjąć. Nazwiemy to „rozbierany Botticelli”.  
Edypa wpadła na szatański pomysł.  
– W porządku – zgodziła się. – Tylko najpierw pójde do łazienki. Zamknij oczy, odwróć się, nie podglądaj.

Na ekranie w niezmiernie ciszy przybijał do plaży Sed-del-Bahr frachtowiec „River Clyde” z dwoma tysiącami ludzi na pokładzie. „No to już, chłopcy!” doleciał z telewizora szept o fałszywym brytyjskim akcencie. Naraz od strony plaży zagrzmiały całe zastępy tureckich karabinów maszynowych i rozpoczęła się masakra.

– Wiem, co tam się działo. – Metzger zamknął oczy i odwrócił głowę od ekranu. – Na pięćdziesiąt metrów od plaży morze było czerwone od krwi. Tego już nie pokazują.

Edypa weszła do łazienki, w której znajdowała się także ścienna garderoba, rozebrała się prędko i zaczęła wkładać na siebie wszystkie przywiezione ubrania, jakie znalazła: sześć par majtek w rozmaitych kolorach, pas do pończoch, trzy pary nylonów, trzy staniki, dwie pary elastycznych spodni, cztery halki, czarną koszulkę, dwie letnie sukienki, pół tuzina kloszowych spódnic, trzy swetry, dwie bluzki, pikowaną narzutkę, niebiesciuchny peniuar, stare fru-fru z orlonu.

Następnie bransoletki, broszki, kolczyki, naszyjniki. Zdawało jej się, że wkładanie tego wszystkiego trwa całe godziny, a kiedy skończyła, nie mogła prawie zrobić kroku. Popełniła błąd i przejrzała się w wielkim lustrze: widok dwunogiej piłki plażowej rozśmieszył ją tak, że przewróciła się jak długa, pociągając za sobą stojący na umywalce lakier do włosów w aerozolu. Pojemnik stuknął o podłogę, coś pękło i nagle lakier zaczął z sykiem rozpryskiwać się na wszystkie strony, gnając blaszaną puszkę wokół łazienki. Metzger wpadł do środka, by ujrzeć Edypę tarzającą się po podłodze i próbującą wstać, w chmurze lepkiego, rozpylonego lakieru.

– O jejku! – wykrzyknął głosem Małego Igora.

Sycząca złośliwie puszka odbiła się od toalety i gwizdnęła Metzgerowi koło prawego ucha, chybiając może o pół centymetra.

Metzger zrobił przepisowe padnij i nakrył się Edypą, pojemnik zaś kontynuował karkołomny lot. Z drugiego pokoju dobiegało powolne, głucho *crescendo* huczących dział okrętowych, cekaemów, haubic i broni strzeleckiej, jęki i strzępy modlitw umierających piechurów.

Edypa, z oczami tuż przy powiekach Metzgera, spojrzała na gapiącą się z sufitu lampę. W polu widzenia co sekundę zjawiała się pędząca, lśniąca w locie puszka, której wewnętrzne ciśnienie zdawało się niewyczerpane. Edypa była wystraszona, ale daleka od wytrzeźwienia.

Puszka wie, dokąd ma lecieć, pomyślała naraz, a może Bóg albo maszyna cyfrowa oblicza dla niej z góry skomplikowany tor lotu. Edypa nie miała jednak takiego refleksu i wiedziała tylko, że przy kolejnym skręcie puszka może trafić w nią albo w Metzgera z szybkością stu mil na godzinę.

– Metzger – jęknęła i zatopiła zęby w rękawie marynarki.

Wszystko śmierzdziało lakierem do włosów. Puszka zderzyła się z lustrem i odskoczyła, a gwiazda rozbitego szkła przez sekundę trwała jeszcze w miejscu, nim z brzękiem osypała się do umywalki. Następnie pojemnik pomknął ze świstem w stronę prysznicy, gdzie niby młotem rozbił doszczętnie tafłę matowego szkła; dalej, wokół wyłożonych glazurą ścian, ku sufitowi, ponad dwoma rozpląszczonymi na podłodze ciałami, wszystko to pośród syku



lakieru i przytłumionego zgiełku z telewizora. Nie było widać końca tego wszystkiego, lecz naraz puszka wyczerpała energię i w połowie kolejnego przelotu upadła na podłogę tuż przed nosem Edypy. Edypa wciąż leżała, przypatrując się jej.

– Ale jaja – zauważył ktoś głośno. – Ja się zabiję!

Edypa wyjęła zęby z ciała Metzgera, obejrzała się i zobaczyła w drzwiach Milesa, chłopczyka z grzywką i w moherowym garniturze, pomnożonego przez cztery. Domyśliła się, że to zespół, o którym wspominał przedtem chłopak, Paranoicy. Wszyscy wyglądali zupełnie identycznie. Trzech z nich trzymało elektryczne gitary. Patrzyli na wnętrze z szeroko rozdziawionymi ustami. Za nimi pojawiło się też kilka dziewczęcych twarzy, które zaglądały do środka spod pach i między nogami chłopców.

– Pełny odlot – zauważyła jedna z dziewczyn.

– Jesteście z Londynu? – dopytywała się druga. – Tak się teraz robi w Londynie?

Lakier do włosów wisiał w powietrzu jak opar, na całej podłodze iskrzyły się odłamki szkła.

– Niech mnie gęś – podsumował chłopak z uniwersalnym kluczem w ręku.

Edypa domyśliła się, że to Miles. Aby nie wypaść gorzej, zaczął zabawiać całe towarzystwo opowieścią o orgii surfingowców, w której brał udział przed tygodniem, a do której potrzebne były między innymi: dwa wiadra łożu, mały samochodzik z otwieranym dachem i tresowana foka.

– Widzicie sami, że w ogóle nie ma porównania – powiedziała Edypa, której udało się wreszcie przetoczyć na plecy. – Może więc będzie tak teraz, no wiecie, wyszli stąd. I zaśpiewali. Bez muzyki nie ma dobrej zabawy. Zagrajcie nam serenadę.

– Może później – zaprosił ich wstydliwie inny Paranoik – moglibyście przyłączyć się do nas nad basenem.

– Zależy, czy będzie tu bardzo gorąco, ludzie – mruknęła do nich Edypa.

Młodzi wysypali się na zewnątrz, podłączywszy przedłużacze do wszystkich gniazdek elektrycznych w sąsiednim pokoju i wyprowadziwszy je przez okno. Metzger pomagał jej stanąć na chwiejnych nogach.

– Kto jeszcze ma ochotę na „rozbieranego Botticellego”?

Z telewizora dobiegł ich przeraźliwie głośny tekst, zachwalający łaźnię turecką w centrum San Narciso, gdziekolwiek było to centrum. Przybytek nosił nazwę „Seraj Hogana”.

– To też własność Inverarity’ego – odezwał się Metzger. – Wiedziałaś o tym?

– Sadysto – jęknęła. – Jeszcze raz tak powiesz, a dam ci telewizorem przez łeb.

– Ale jesteś wściekła – uśmiechnął się. Wcale nie była wściekła.

Zapytała z kolei:

– Więc co w końcu nie było jego własnością? Metzger podniósł brew.

– Sama mi to powiedz.

Jeżeli nawet chciała, nie było jej to dane, gdyż na zewnątrz w grzmiącym łoskocie ciężkich gitarowych akordów Paranoicy rozpoczęli koncert. Perkusista rozsiadł się ryzykancko na trampolinie, pozostali zniknęli z pola widzenia. Metzger zaszedł Edypę od tyłu, chcąc zapewne objąć dłońmi jej piersi, ale nie mógł ich z początku znaleźć w masie ubrań. Stanęli w oknie, zasłuchani w śpiew Paranoików. Śpiewali *Serenadę*

*Leżę, marzę, patrzę na plażę  
I na księżyc nad samotnym morzem,  
Który każe falom przypływu  
Okryć mnie kołdrą wód.  
Milczący, tajemniczy księżyc  
Wypełnia pustkę plaż  
I tylko błady duch się błąka*

*Zakończonego dnia.  
Ty też gdzieś leżysz, sama jedna,  
Samotna tak jak ja;  
Samotna w samotnym pokoju, i cóż z tego masz?  
Ucisz samotny płacz,  
Nie przyjdę, nie mam jak, z przyływem i księżycem,  
Noc stała się tak szara, w ciemności nie znać dróg,  
I będę leżał sam,  
Aż przyjdzie wreszcie po mnie  
To, co zagarnie niebo, piach, księżyc, pustkę fal  
I to samotne morze...  
etc. (wyciszenie)*

– No tak – Edypa się wzdrygnęła.

– Pierwsze pytanie – przypomniał Metzger.

W telewizorze basowo szczełał bernardyn. Edypa ujrzała Małego Igorka, jak w przebraniu małego tureckiego żebraka skrada się razem z psem pośród dekoracji udających Konstantynopol.

– Jeszcze jedna szpula z początku filmu – rzekła z nadzieją.

– Pytanie się nie liczy – uciął Metzger.

Za drzwiami Paranoicy postawili im flaszkę Jacka Danielsa niczym miseczkę mleka dla złośliwych skrzatów.

– Ojej! – Edypa naląła sobie. – Czy Mały Igorek dopłynął do Konstantynopola w łodzi podwodnej „Justine”?

– Nie – odrzekł Metzger. Edypa zdjęła kolczyk.

– Czy przyplłynął tą, jak jej tam, łodzią podwodną typu E?

– Nie – znów odpowiedział Metzger. Edypa zdjęła następny kolczyk.

– Czy dotarł tam drogą lądową, może przez Azję Mniejszą?

– Może – odparł Metzger. Edypa zdjęła następny kolczyk.

– Następny kolczyk? – zdziwił się Metzger.

– Jeżeli ci odpowiem, czy ty też coś zdejmiesz?

– Zdejmę, choćbyś nie odpowiedziała – wykrzyknął, zrywając z siebie marynarkę.

Edypa znów napełniła szklankę, Metzger jeszcze raz łyknął z butelki.

Przez następne pięć minut Edypa wpatrywała się w telewizor, zapomniawszy, że ma zadawać pytania. Metzger z całą powagą zdjął spodnie. Na ekranie ojciec stał właśnie przed sądem wojennym.

– Aha – domyśliła się – początek filmu. Zaraz go zdegradują.

– Może to retrospekcja – zauważył Metzger. – A może degradują go dwa razy.

Edypa zdjęła bransoletkę. Tak to szło: następujące po sobie fragmenty filmu, stopniowe zdejmowanie ubrań, które wciąż nie mogło przybliżyć nagości, alkohol, niezmordowany brzęk głosów i gitar znad basenu. Czasem w film wdzierała się reklama, a Metzger zauważał:

„Własność Inverarity’ego” albo „Duży pakiet akcji”, a później uśmiechał się tylko za każdym razem i potakiwał głową. Edypa warczała na niego, czując rozkwitający w oczodołach straszliwy ból głowy, coraz bardziej przeświadczona, że ze wszystkich możliwych kombinacji par kochanków oni jedni znaleźli sposób, by zwolnić bieg czasu. Wszystko zacierało się coraz bardziej. W pewnej chwili Edypa poszła do łazienki, spróbowała odnaleźć w lustrze własne odbicie – na próżno. Przeżyła chwilę najczystszej przerażenia. Potem przypomniała sobie, że lustro się stłukło i osypało do umywalki.

– Siedem lat nieszczęścia – rzekła na głos. – Będę miała wtedy trzydzieści pięć.

Zamknęła drzwi i narzuciła na siebie od niechcenia jeszcze jedną halkę i spódnicę, do tego

pas i kilka par podkolanówek. Przyszło jej nagle do głowy, że kiedy wzejdzie słońce, Metzger zniknie. Nie była całkiem pewna, czy tego chce. Kiedy wróciła do pokoju, Metzger był ubrany już tylko w spodenki gimnastyczne i spał twardo, ze wzwodem, schowawszy głowę pod kanapą. Edypa dostrzegła też wydatny brzuszek, ukryty przedtem pod garniturem. Na ekranie Turcy i Nowozelandczycy nadziewali się wzajemnie na bagnety. Edypa rzuciła się z krzykiem ku Metzgerowi i zaczęła go budzić pocałunkami.

Otworzył promienne oczy i przeszył ją wzrokiem. Czowała prawie ostrość tego spojrzenia gdzieś głęboko między piersiami. Upadła z głośnym westchnieniem, które niczym mityczny fluid uniosło ze sobą całe skrępowanie; tak słaba, że mogła tylko bezradnie przyglądać się, jak Metzger ją rozbiera. Dopiero po dwudziestu minutach przetaczania i układania jej w tę i w tamtą stronę udało mu się, a Edypa miała wrażenie, że widzi zamiast niego wielką, krótko ostrzyżoną dziewczynkę o zaciętej twarzy, rozbierającą lalkę. Zdrzemnęła się nawet raz czy dwa, a kiedy wreszcie się zbudziła, Metzger już w niej był; wskoczyła w sam środek rozwijającego się już seksualnego *crescendo* – jak gdyby w środek ujęcia, gdzie kamera już się porusza, wmontowano nową klatkę. Na dworze trwała gitarowa fuga, a kiedy Edypa spróbowała policzyć elektryczne głosy, usłyszała sześć, choć tylko trzech Paranoików grało na gitarach, pewnie więc podłączyli się też inni.

Istotnie tak było. Orgazm Edypy i Metzgera, kiedy wreszcie przyszedł, zbiegł się co do sekundy z nagłym zgaśnięciem wszystkich, łącznie z ekranem telewizora, światła w budynku, przeskokiem w czerni i martwość. Przedziwne uczucie. Paranoicy wywalili bezpieczniki.

Kiedy światła zapaliły się znowu, odsłaniając Edypę i Metzgera leżących w uścisku pośrodku olbrzymiego rozwaliska ubrań i rozlanego trunku, na ekranie telewizora ojciec, pies i Mały Igorek siedzieli uwięzieni w ciemniejącym wnętrzu „Justine”, która nieubłaganie nabierała wody. Pies utonął najpierw, puszczając mnóstwo baniek.

Ujrzeni zbliżenie zapłakanej twarzy Małego Igora, który trzymał rękę na tablicy kontrolnej. Nastąpiło zwarcie i prąd poraził Igora, który miotał się i strasznie krzychał. Wskutek jednego z tych hollywoodzkich zakłóceń prawdopodobieństwa zdarzeń ojciec chłopca uniknął porażenia, co pozwoliło mu wygłosić ostatnie słowa. Usprawiedliwiał się Igorkowi i psu za to, że ich w to wszystko wplątał, i wyrażał żal, że nie spotkają się w niebie: „Twoje oczka po raz ostatni widziały tatusia. Czeka cię, synku, zbawienie. Ja zginę w otchłani”. Potem jego pełne cierpienia oczy wypełniły cały ekran, szum wzbierającej wody stał się ogłuszający, na jego tle rozbrzmiewała typowa dla filmu z lat trzydziestych dziwna muzyka z mnóstwem saksofonów, a na ekranie pojawił się napis KONIEC.

Edypa zerwała się na równe nogi, stanęła pod przeciwległą ścianą i wrzasnęła na Metzgera:

- Nie dopłynęli. Ty sukinsynu! Wygrałam!
  - Wygrałaś mnie – uśmiechnął się Metzger.
  - Co powiedział ci o mnie Inverarity? – zapytała wreszcie.
  - Że nie jesteś łatwa.
- Rozplakała się.
- Wróć – powiedział do niej Metzger. – No chodź.
- Po chwili chlipnęła i powiedziała:
- Dobrze. – I przyszła.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Odtąd już wszystko toczyło się coraz dziwniej. Jeżeli w odkryciu tego, co miała ochrzcić mianem Systemu Trystero albo po prostu Trystero (jak gdyby coś tajemniczego miało się kryć za tą nazwą), Edypa upatrywała rychłego kresu swojego zamknięcia w szczelnej kapsule zamkowej wieży, zdawałoby się logiczne, iż noc, kiedy Metzger ją uwiódł, mogłaby stać się tu punktem wyjścia. Logiczne? Być może to właśnie najbardziej ją dręczyło: sposób, w jaki wszystko układało się w logiczną całość. Zupełnie jak gdyby wokół niej – domyśliła się tego już od owej pierwszej minuty w San Narciso – dojrzywało pewne objawienie.

Objawienia tego miała dostąpić głównie przez kolekcję znaczków pocztowych, którą zostawił po sobie Pierce, a która bywała dlań czymś w rodzaju drugiej Edypy: tysiące małych, kolorowych okien w głąb dalekich perspektyw przestrzeni i czasu – sawanny rojące się od antylop i gazeli, galeony żeglujące na zachód, w otchłań, głowy Hitlera, zachody słońca, libańskie cedry, alegoryczne twarze, które nigdy nie istniały... Pierce mógł się w nie wpatrywać całymi godzinami, ignorując Edypę. Nigdy nie pojęła tej fascynacji. Myśl, że należy teraz wszystko to zinwentaryzować i wycenić, przyprawiała ją najwyżej o kolejny ból głowy. Zupełnie nie przypuszczała, że może dowiedzieć się przy tej okazji czegoś nowego. Lecz przecież gdyby wcześniej nie została odpowiednio przygotowana i uwrażliwiona, najpierw, kiedy dała się uwieść w tak szczególny sposób, a potem także wskutek innych, przypadkowych nieomal wydarzeń, cóż potrafiłyby jej powiedzieć nieme znaczki, które nadal traktowałaby wyłącznie jako dawnych rywali, podobnie jak i ona oszukanych przez śmierć i czekających na rozparcelowanie i podróż ku iluś tam nowym właścicielom? Owo uwrażliwienie przybrało naprawdę dokuczliwą postać, odkąd dostała list od Mucha, a może też od pewnego wieczora, kiedy trafili z Metzgerem do dziwnego baru o nazwie „Ekran”. Wracając do tego myślami, nie potrafiła sobie przypomnieć, co się zdarzyło najpierw.

List nie zawierał zresztą nic szczególnego, ot, zwykła odpowiedź na którąś z jej obowiązkowych, wysyłanych dwa razy na tydzień, dość chaotycznych kartek, w których nie przyznawała się do przygody z Metzgerem, gdyż czuła, że Mucho i tak wie. Ciągnąłby pewnie dalej swoje sprawy w redakcji muzycznej rozgłośni KCUF, by potem znów przepatrywać z wysokości lśniące parkiety sal gimnastycznych, by przez pierścień tablicy do koszykówki niczym przez gigantyczną dziurkę od klucza ujrzeć wreszcie twarz jakiejś Sharon, Lindy czy Michele próbującej właśnie strzelić lobem, odrobinę niezręcznej na tle chłopaków, których dzięki obcasom przewyższałaby o cal, siedemnastolatki z tych, które – w myśl modnego powiedzonka wiedzą, jak się to robi, a której aksamitne oczy napotkałyby w końcu, zgodnie z prawami statystyki, wzrok Mucha, odpowiedziały, i wszystko potoczyłoby się tak bombowo, jak tylko bywa, gdy się nie potrafi przegnać ze swej praworządnej głowy myśli o tym, co kodeks karny określa jako uwiedzenie nieletniej. Edypa знаła już ten układ, bo Muchowi przytrafiło się to kilka razy, lecz dotąd starała się być fair wobec męża, wspominając o sprawie tylko raz, jak zwykle o trzeciej nad ranem, kiedy niczym grom z ciemnego, świtającego nieba padło jej pytanie, czy Mucho nie boi się odpowiedzialności karnej. „Jeszcze jak” – mruknął po chwili Mucho. I tyle. Wydawało jej się jednak, że słyszy w jego głosie coś więcej, złość pomieszaną z udręką. Ciekawiło ją, czy taka obawa może wpływać na potencję. I naraz Edypa, która też miała kiedyś siedemnaście lat i lubiła się zabawić, przyłapała się na, powiedzmy, rozżaleniu, że nigdy w tym wieku nie posunęła się aż do końca – z obawy przed wpadką. Ta myśl powstrzymywała ją od dalszych pytań. Jak zawsze, tak i tym razem ich niemożność porozumienia miała szlachetną przyczynę.

Być może właśnie przecucie, że w liście nie ma nic nowego, sprawiło, iż Edypa uważnie

przyjrzała się kopercie. Z początku nie dostrzegła nic szczególnego. Zwykła, Muchowata koperta świeżona z pracy, znaczek lotniczy, na lewo od stempla rządowego nadruk: „O OBSCENICZNEJ POCZCIE ZAWIADOM ZARAZ SWOJEGO GLISTONOSZA”. Raz jeszcze przesunęła leniwym wzrokiem po przeczytanym liście, chcąc sprawdzić, czy zawiera może jakieś brzydkie słowa.

– Hej! – Zastanowiło ją. – Co to jest glistonosz?

– Gość, który doręcza glisty – dobiegła z łazienki autorytatywna odpowiedź Metzgera. – Opiekuje się nimi i przynosi, obleńce, płazińce...

Cisnęła w niego stanikiem.

– Tu piszą, że mam donosić o obscenicznych listach swojemu glistonoszowi.

– Oni też robią czasem literówki. I dobrze. – Zbył ją Metzger. – Dopóki uważają, żeby nie nacisnąć na niewłaściwy guzik, proszę bardzo.

Może więc właśnie tego samego wieczora wylądowali w „Ekranie”, barze przy szosie do Los Angeles, niedaleko zakładów Yoyodyne. Od czasu do czasu „Dwór Echo” stawał się dla nich nie do zniesienia, bądź to przez martwość ślepych okien i tafli basenu, bądź też dlatego, że cały motel roił się od młodocianych podglądaczy, którzy dorobili sobie kopie uniwersalnego klucza Milesa i kiedy chcieli, wpadali do pokoju, nastawieni na oglądanie seksualnych wyskoków.

Wreszcie, mając tego dosyć, Edypa i Metzger zaczęli wciągać materac do ściennej garderoby, gdzie Metzger zapierał drzwi komódką, wyjmował dolną szufladę, kładł ją na wierzch, w powstały otwór wsuwał nogi, bo tylko tak mógł się rozprostować w tym pomieszczeniu, i zwykle w tym momencie tracił już ochotę na cokolwiek.

„Ekran” okazał się meliną zatrudnionych w Yoyodyne elektroników.

Zielony neon nad wejściem zręcznie naśladował ekran oscyloskopu, na którym w wiecznie zmiennym tańcu przepływały figury Lissajous. Był chyba dzień wypłaty, bo wszyscy w barze wydawali się nieźle pijani.

Metzger i Edypa dotarli do stolika w głębi sali, odprowadzani ciekawymi spojrzeniami. Zaraz zmaterializował się zasuszony barman w ciemnych okularach. Metzger zamówił dla nich bourbon. Patrząc na bar, Edypa czuła narastające zdenerwowanie. Tłum w „Ekranie” miał w sobie jakieś takie *je ne sais quoi*: wszyscy nosili ciemne okulary i przypatrywali się jej w milczeniu, z wyjątkiem może dwóch czy trzech koło drzwi, którzy zaabsorbowani turniejem dłubania w nosie sprawdzali, kto dalej śmignie smarkiem w głąb sali.

Szafa grająca, która stała w drugim końcu baru, bluznęła nagle kaskadą bulgotu i wycia. Rozmowy ucichły. Barman przydreptał na paluszkach, niosąc trunki.

– Co się dzieje? – spytała go szeptem Edypa.

– To Stockhausen – oświecił ją siwobrody fan. – Pod wieczór goście lubią poczuć trochę brzmienia z całego tego Radia Kolonia. Dopiero potem zabawa się rozkręca. Bo wiedzą państwo, to jedyny w okolicy bar, gdzie dają tylko dobrą muzykę elektroniczną. Wpadnijcie w którąś sobotę, o północy ruszamy z naszym Swingiem Sinusoida, szjemy na żywo, sesja dla każdego, na dzemówkę wpadają tu ludzie z całego stanu, z San Jose, Santa Barbara, San Diego...

– Na żywo? – Metzger zdumiał się. – Gracie elektroniczną muzykę na żywo?

– A co, nagrywamy, jak leci, kolego. Tam, z tyłu, masz cały pokój zawalony sprzętem, audiooscylatory, generatory, mikrofony kontaktowe, bajery, więc jak sam nie przyniesiesz swojego kłamota, a czujesz sprawę i chcesz dawać czadu z resztą chłopaków, zawsze się na coś załapiesz.

– Nie miałem nic złego... – bąknął Metzger ze swym zniewalającym uśmiechem Małego Igora.

Na krzesło przy ich stoliku wśliznął się drobny młody człowiek w niemnącym garniturze, który przedstawił się zaraz jako Mike Fallopian i niby prozelita zaczął ich namawiać, żeby

wstąpili do organizacji noszącej nazwę Towarzystwa Petera Pinguida.

– Znów jakaś banda prawicowych czubków. – Metzger zagadnął dyplomatycznie.

Fallopian zamrugął.

– Oni też twierdzą, że mamy paranoję.

– Oni? – Metzger także zamrugął.

– Jacy my? – zdziwiła się Edypa.

Towarzystwo Petera Pinguida wzięło swoje miano od nazwiska dowódcy okrętu „Skwaszony”, flagowej jednostki konfederackiej floty, która wyruszyła na początku 1863 roku ze śmiałym zamiarem opłynięcia przylądka Horn, uderzenia na San Francisco i utworzenia w ten sposób drugiego frontu wojny o niepodległość Południa.

Jednakże sztormy i skorbut zdziesiątkowały bądź odstraszyły wszystkie okręty tej armady. Wyjątkiem był mały, dzielny „Skwaszony”, który mniej więcej w rok później zjawił się u wybrzeży Kalifornii.

Komodor Pinguid nie mógł jednak wiedzieć, że tymczasem car Rosji, Mikołaj II, wysłał był do zatoki San Francisco swą Flotę Dalekowschodnią, cztery korwety i dwa klipry pod dowództwem niejakiego kontradmirała Popowa, aby dzięki tej sztuczce uniemożliwić Anglii – oprócz innych akcji – zbrojną interwencję po stronie konfederacji. Pinguid nie mógł więc wybrać gorszej chwili na zdobywanie San Francisco. Ponieważ istotnie za granicą krążyły owej zimy pogłoski, że rebelianckie krążowniki „Alabama” i „Sumter” szykują się do ataku na miasto, rosyjski admirał wydał na swą wyłączną odpowiedzialność rozkaz, aby jego okręty stały pod parą, gotowe do akcji na wypadek ewentualnego napadu. Krążowniki wołały jednak widać spokojnie krążyć dalej, co zresztą nie powstrzymało Popowa od zwiadowczych wypadów. Nie ma całkowitej jasności, co się zdarzyło 9 marca 1864 roku, w dniu, który po dziś dzień jest święty dla wszystkich członków Towarzystwa Petera Pinguida. Wiadomo, że Popów rzeczywiście wysłał wtedy jeden ze swych okrętów, korwetę „Bogaty” albo kliper „Gajdamak”, na rekonesans. Na wysokości dzisiejszego Carmel, choć możliwe, że raczej w okolicach obecnej Pismo Beach, około południa, a może o zmierzchu, okręty dostrzegły się wzajemnie.

Jeden z nich mógł dać ognia, a jeżeli to uczynił, drugi z pewnością nie został mu dłużny. Ponieważ oba były poza zasięgiem strzału, po starciu nie pozostała nawet najmniejsza blizna dowodząca, że do niego doszło.

Zapadła noc. Rankiem stwierdzono, że rosyjska jednostka znikła.

Jednak ruch jest względny: jeżeli wierzyć fragmentom z dziennika pokładowego „Bogatyra” lub też „Gajdamaka”, przesłanego w kwietniu owego roku na ręce carskiego generała-adiutanta w Sankt Petersburgu, a obecnie znajdującego się gdzieś w Krasnom Archiwie, tamtej nocy zniknął właśnie „Skwaszony”.

– Zresztą, co za różnica. – Fallopian wzruszył ramionami. – Nie robimy z tego przecież żadnej Biblii, chociaż tracimy w ten sposób poparcie w religijnych południowych stanach, gdzie moglibyśmy liczyć na naprawdę fajne przyjęcie. Poczciwa konfederacja. W każdym razie była to pierwsza konfrontacja militarna Rosji i Ameryki. Atak, odwet, obydwaj pociski pochłonęło morze. Pacyfik faluje jak dawniej, lecz kręgi po pociskach jakby trwają na wodzie i wciąż rosną, ogarniając dzisiaj nas wszystkich. Peter Pinguid był pierwszą poniesioną przez nas ofiarą. Nie jakiś fanatyk z tych, których wybierają sobie na męczenników wszyscy nasi lewicujący przyjaciele z Towarzystwa Johna Bircha.

– Czy to znaczy, że komodor zginął? – zapytała Edypa.

Zdaniem Fallopiana o wiele gorzej; po owej konfrontacji przerażony istniejącym podówczas – jak się wydawało – militarnym sojuszem między abolicjonistyczną Rosją (Mikołaj uwolnił jednak chłopów pańszczyźnianych w 1861 roku) a Unią, która także trąbiła o zniesieniu niewolnictwa, utrzymując jednakże w stanie płatnej niewoli swoich robotników przemysłowych, Pinguid zamknął się w swojej chacie, całe tygodnie spędzając na ponurych

rozmyślaniach.

– Zaraz – przerwał Metzger. – Przecież to oznacza, że Pinguid był przeciwny wielkoprzemysłowemu kapitałowi. Czy to go czasem nie dyskwalifikuje jako wzorowego antykomunisty?

– Znów rozumuje pan jak gość od Bircha: ci są dobrzy, a tamci źli. W ten sposób nigdy pan nie dojdzie do żadnej głębszej prawdy. Pewnie, że Pinguid był przeciwny wielkiemu kapitałowi. Podobnie jak my. Czyż kapitalizm nie prowadzi w nieunikniony sposób do marksizmu? Tak naprawdę oba są częścią tego samego, jeżącego włos koszmaru.

– No to przeciwko przemysłowi w ogóle – zaryzykował Metzger.

– I tu pana mam – pokiwał głową Fallopian.

– A co się stało z Peterem Pinguidem? – dopytywała się Edypa.

– Podał się w końcu do dymisji z czynnej służby, sprzeniewierzył się swemu wychowaniu i honorowi. Zmusili go do tego Lincoln i car. Właśnie to miałem na myśli, nazywając go ofiarą. Wraz z większością załogi osiedlił się w pobliżu Los Angeles i resztę życia strawił na zbijaniu majątku.

– Doprawdy przykre – stwierdziła Edypa. – Jak to robił?

– Spekulował kalifornijskimi działkami budowlanymi.

Przełykająca właśnie trunek Edypa parsknęła nagle, rozpylając płyn wielometrowym migotliwym wachlarzem i z chichotem osunęła się na krzesło.

– No co? – obruszył się Fallopian. – Podczas suszy owego roku można było kupić działki w samym sercu Los Angeles po 63 centy sztuka.

Naraz przy drzwiach rozległ się chóralny ryk, a lawina ciał runęła w stronę młodego bladego tłuściocha ze skórzaną torbą pocztową na ramieniu, który właśnie zjawił się w barze.

– Dają pocztę – wołano.

A jakże, dawali, zupełnie jak w wojsku. Tłuścioch ze spłaszczoną miną wspiął się na kontuar i zaczął wywoływać nazwiska, rzucając w tłum koperty. Fallopian przeprosił i dołączył do pozostałych. Metzger włożył okulary i wytrzeszczył oczy na grubasa.

– Nosi odznakę Yoyodyne. Rozumiesz coś z tego?

– Jakaś wewnętrzna poczta...

– O tej porze?

– Może to nocna zmiana? – Ale Metzger skrzywił się tylko.

– Poczekaj chwilę.

Edypa wzruszyła ramionami i udała się do toalety.

Pośród namazanych szminką świństw dostrzegła na ścianie kabiny dziwny napis, sporządzony starannym pismem technicznym:

OKAZJA DLA CHĘTNYCH, WSPÓLNE WYRAFINOWANE ZABAWY, TY, MĘŻUŚ, PRZYJACIÓŁKI, IM WIĘCEJ, TYM CIEKAWIEJ. SKONTAKTUJ SIĘ Z KIRBY, LISTY TYLKO PRZEZ ŚMIETNIK, SKRZYNKA 7391, LOS ANGELES.

ŚMIETNIK? – zdziwiła się Edypa. Pod spodem widniał narysowany leciutko ołówkiem znak, którego nigdy dotąd nie widziała, pętla, trójkąt i trapez, coś takiego:

Mogło to mieć coś wspólnego z seksem, chociaż jakoś w to wątpiła.

Znalazła w torebce pióro i przepisała adres wraz z symbolem do notesu, jęcząc w duchu: „Boże, hieroglify”. Kiedy wróciła, Fallopian siedział znów przy ich stoliku. Minę miał niewyraźną.

– Nie powinno was przy tym być – oświadczył.

W rękę trzymał kopertę. Edypa dostrzegła, że zamiast znaczka były na niej tylko ręczne inicjały PPS.

– Jasne – ożywił się Metzger. – Wasze Towarzystwo nie mogło znieść tego, że rząd ma monopol na doręczanie poczty.

Fallopian uśmiechnął się krzywo.

– Nie przeceniajmy tej niby rebelii. Mamy po prostu w Yoyodyne taką naszą wewnętrzną pocztę. Po kryjomu. Są zresztą straszne kłopoty ze znalezieniem listonoszy, wciąż ich brakuje. Robota bardzo ich goni, to się odbija na ich nerwach, a tajniacy w zakładzie już zwąchali, że coś tu nie gra, i mają na wszystko oko. Właśnie De Witt – tu wskazał na drżącego tłustego doręczyciela ściąganego właśnie, mimo protestów, z baru i częstowanego napitkami, na które nie miał ochoty – jest najbardziej nerwowy ze wszystkich, którzy przewinęli się tu przez ten rok.

– Jaki to ma zasięg? – zapytał Metzger.

– Tylko w obrębie filii w San Narciso. Podobne systemy istnieją w naszych oddziałach w Waszyngtonie i Dallas, ale w Kalifornii jesteśmy do tej pory jedyni. Są oczywiście wśród nas nadziani goście, którzy swoim listem owijają cegłę, pakują to w szary papier i nadają przesyłkę ekspresem kolejowym, ale osobiście nie sądę...

– Wyłamują się, co? – powiedział współczująco Metzger.

– Chodzi nam o zasadę. – Zabrzmiało to, jak gdyby Fallopian się bronił. – Żeby utrzymać normalną przepustowość systemu, każdy z nas musi wysłać Yoyopocztą przynajmniej jeden list tygodniowo. Kto tego nie zrobi, płaci karę...

Otworzył list i podał go Metzgerowi i Edypie. Czytali: „Drogi Mike, jak ci leci? Pomyślałem, że skrobnę do ciebie parę słów. Jak tam twoja książka? Na razie tyle, do zobaczenia w «Ekranie»”.

– Przeważnie tak to wygląda – z goryczą wyznał Fallopian.

– O jaką książkę chodzi? – zagadnęła go znów Edypa.

Okazało się, że Fallopian spisuje historię prywatnych poczt amerykańskich, usiłując powiązać wybuch wojny secesyjnej z ruchem reform pocztowych, który zaczął się około 1845 roku. Nie mogło być, jak sądził, zwykłym zbiegiem okoliczności, że dokładnie w roku 1861 rząd wszczął gwałtowną akcję przeciwko wszystkim niezależnym liniom pocztowym, którym udało się przetrwać różne ustawy z 1845, 1847, 1851 i 1855 roku, ustawy, które miały doprowadzić do ruiny wszelką prywatną konkurencję rządowej poczty. Zdaniem Fallopiana, w sytuacji tej krył się symbol władzy, jej powstawania, rozwoju i wreszcie systematycznych nadużyć. Tego pierwszego wieczora nie wnikał zresztą w szczegóły. Tak naprawdę Edypa zapamiętała tylko jego delikatną budowę, zgrabny ormiański nos i oczy, dziwnie podobne do zielonego neonu.

W ten sposób rozpoczął się dla Edypy powolny, złowrogi rozkwit Trystero albo raczej rozpoczęło się dla niej uczestnictwo w niezwykłym wodewilowym spektaklu, przeciąganym, jak gdyby był ostatnim numerem wieczoru, niczym specjalny nadprogram dla wszystkich, którzy zdołali dotrzeć do tak późnej pory. Zupełnie jak gdyby mające opaść na scenę zwiewne suknie, siatkowe staniki, nabijane klejnotami podwiązki, suspensoria i inne rekwizyty owej historycznej figuracji tworzyły warstwę równie grubą jak części zwykłej garderoby okrywające Edypę w grze z Metzgerem podczas filmu o Małym Igorku; jak gdyby naprawdę trzeba było zstąpić w mroczne, bliskie świtu, długie godziny ciemności, aby Trystero mogło ukazać się w swojej straszliwej nagości. Czy wówczas uśmiechnęłoby się potulnie i pośród żarcików zniknęło za kulisami, czy z ukłonem prosto z Bourbon Street powiedziałyby Edypie „dobranoc” i zostawiło ją w spokoju? Czy może po skończonym tańcu powróciłoby raz jeszcze przez środek sceny i wbijając w Edypę świetliste zimne spojrzenie, z uśmiechem coraz złośliwszym i bardziej okrutnym, nachyliło się do niej ponad rzędami opuszczonych foteli, wypowiadając słowa, których nigdy nie chciała usłyszeć?

Początek owego przedstawienia nie pozostawił wątpliwości. Edypa i Metzger czekali właśnie na dodatkowe pełnomocnictwa, w sprawie mianowania przedstawicieli w Arizonie,



Teksasie, Nowym Jorku i na Florydzie, gdzie Inverarity posiadał swoje tereny, a także w Delaware, gdzie zarejestrował był swoją korporację. Postanowili więc, że spędzą dzień we dwoje – w towarzystwie podążających w ślad za nimi w kabrioletcie Paranoików: Milesa, Deana, Serge’a i Leonarda oraz ich dziewczyn – nad laguną Fangoso, jednym z ostatnich wielkich przedsięwzięć Inverarity’ego. Początek podróży minął bez przygód, jeśli nie liczyć dwóch czy czterech sytuacji, kiedy Paranoicy cudem uniknęli zderzenia, jako że prowadzący wóz Miles nie mógł nic dojrzeć spod swej czupryny. Zdołano go jednak przekonać, by oddał kierownicę dziewczynom. Przed nimi, ukryte za napierającą zewsząd falą jednorodzinnych domków rojących się tysiącami na ciemnobezowych wzgórzach, niewidoczne, lecz w swej aroganckiej obecności wyraźne w ostrym, nasyconym smogiem powietrzu, którego nie znało senne, leżące bardziej w głębi lądu San Narciso – czaiło się morze, niewyobrażalny Pacyfik, przy którym tracą znaczenie otaczające go plażowe kojce, deski surfingowe, rury ścieków, najazdy turystów, opaleni homoseksualiści i rybackie łódki do wynajęcia; Pacyfik, dziura pozostała w miejscu, skąd księżyc wyrwał się na wolność, pomnik wygnania tego ciała niebieskiego. Nie sposób go było usłyszeć ani poczuć, lecz był tam przecież, i coś niby przypływ zaczynało dosięgać czułek, praoczu i bębenków usznych, jakby usiłując wzbudzić te pasma prądów mózgowych, przy których najbardziej pajęcza ze wszystkich elektrod jest jeszcze zbyt toporna, by cokolwiek wykryć.

Niegdyś, na długo przed opuszczeniem Kinneret, Edypa wierzyła, że właśnie ocean ześle zbawienie Południowej Kalifornii (zbawienie, którego jej własna część stanu zdawała się nie potrzebować) i dlatego ufała nigdy nie obleczonej w słowa myśli, iż cokolwiek uczyni się z brzegami, prawdziwy Pacyfik wciąż będzie trwał, niewzruszony i niezmienny, nawet brzydota swych brzegów wyrażając wciąż tę samą, ogólniejszą prawdę. Może ta właśnie myśl, ta jałowa nadzieja kołatała się w głowie Edypy podczas porannej jazdy ku morzu, jazdy, która nie prowadziła nad żaden ocean.

Mijając kolumny maszyn drogowych, wśród bezdrzewnej pustki i znajomej hieratycznej geometrii, po tańcu samochodów na piaszczystych drogach i zjeździe spiralną serpentyną, dotarli wreszcie do zbiornika przypominającego kształtem rzeźbę, zwanego jeziorem Inverarity’ego. Daleko na wodzie, na prześlicznej okrągłej wysepce przycupnął pośród błękitnych fal budynek klubu, zwarte, ostrołukowe, grynszpanowe naśladownictwo secesyjnego kasyna gry z Europy.

Edypa z miejsca zakochała się w budowli. Tabun Paranoików wysypał się z samochodu z instrumentami pod pachą, jak gdyby pod zwiezionym tu ciężarówkami białym piaskiem spodziewali się znaleźć gniazdka wtykowe, żeby podłączyć sprzęt. Edypa wydostała z bagażnika impali koszyk kanapek z bakłażanami i parmezanem, kupionych w przydrożnym włoskim barze, a Metzger zaserwował olbrzymi termos tequilli z cytryną. Powędrowali luźną gromadą w stronę niewielkiego mola, gdzie cumowali łódki ci wszyscy, których parcele nie leżały bezpośrednio nad wodą.

– Hej, ludzie! – wrzasnął Dean, a może Serge. – Chodźcie, gwizdniemy łódź.

– Hurra! – zapiszczały dziewczyny.

Metzger zacisnął powieki i natychmiast potknął się o porzuconą kotwicę.

– Czemu to spacerujesz z zamkniętymi oczami? – zainteresowała się Edypa.

– Za przywłaszczenie cudzego mienia... – zaczął recytować Metzger. – Może przyda im się adwokat.

Od motorówek, przycumowanych do mola niczym rząd prosiaczków, doleciał nagle warkot motoru i dym. Paranoicy musieli rzeczywiście uruchomić czyjąś łódź.

– Co jest, chodźcie – zawołali.

Nagle zza którejś z dalszych łodzi wyłoniła się postać otulona szczelnie niebieską polietylenową płachtą, wołając:

– Mały Igorku, pomocy!



się ochłodziło, słońce zniknęło. Cała trójka spojrzała z lękiem w górę i zobaczyła majaczącą nad nimi, zbliżającą się niebezpiecznie, zielonkawą bryłę klubu, wysokie ostrołuki okien, kute z żelaza ornamenty, kamienną ciszę, narzucający się mimo woli nastrój oczekiwania na ich przybycie. Dean, Paranoik u steru, zręcznie doprowadził łódź do niewielkiego drewnianego pomostu. Wysiedli. Di Presso ruszył nerwowym krokiem ku schodom uczeponym zewnętrznej ścianie budynku, mówiąc: „Muszę sprawdzić, co z moim wozem”. Edypa i Metzger podążyli za nim, objuczeni piknikowym sprzętem, po schodach i wzdłuż balkonu. Wyszli z cienia budynku i po metalowej drabince dostali się na dach. Przypominało to spacer po powierzchni bębna: słyszeli wyraźnie odgłos własnych kroków dudniący w pustym budynku pod stopami i zachwyczone wrzaski Paranoików. Di Presso w błyszczącym stroju nurka wspiął się na sam szczyt kopuły, a Edypa rozłożyła koc i rozlała tequillę do kubeczków z wytłaczanej plastikowej pianki.

– Wóz jeszcze stoi – odetchnął Di Presso. – Muszę się jakoś do niego dostać.

– Kto jest twoim klientem? – zapytał Metzger, wyciągając do niego kubek z tequillą.

– Ten gość, co mnie ściga – wyznał Di Presso, trzymając kubek w zębach tak, że zakrywał mu nos, po czym spojrzął na nich filuternie.

– Ucieka pan przed klientami? – zainteresowała się Edypa. – Gonią pana pielęgniarze?

– Facet usiłuje pożyczyć ode mnie forszę – tłumaczył się Di Presso. – Odkąd mu powiedziałem, że nie dostanę zaliczki na konto wygranej sprawy.

– Więc liczycie się z przegraną – wtrąciła Edypa.

– Nie mam serca do tej sprawy – przyznał Di Presso. – Poza tym jak mogę pożyczać ludziom pieniądze, skoro nie starcza mi nawet na opłacenie rat za te akcje XKE, które kupiłem, będąc niegdyś w stanie chwilowego zaćmienia umysłu?

– Chwilowego! – parsknął Metzger. – To już przeszło trzydzieści lat.

– Mam dość rozumu, żeby się poznać, że sprawa śmierdzi. Tony Jaguar macza w niej paluchy. Ma swoje domy gry, te rzeczy. Ostatnio chodzą też słuchy, że się zwrócił do miejscowej Izby z propozycją zrobienia porządku w tej okolicy. Po co mam się pakować w kabałę?

– Co za samolubny kutas. – Edypa najeżyła się.

– Jasne, Cosa Nostra ma na wszystko oko – łagodził Metzger. – Jeśli zauważą, że pomagasz nie tym, co trzeba, może być z tego bieda.

– Ja mam rodzina na Sycylii – dorzucił Di Presso komiczną łamaną angielszczyzną.

Gromada Paranoików zjawiała się nagle na tle jasnego nieba, wypadając zza wieżyczek, wsporników i szybów wentylacyjnych, by rzucić się na kosz z kanapkami. Metzger szybko usiadł na termosie, broniąc dostępu do trunku. Zerwał się wiatr.

– Opowiedz coś o tej sprawie. – Metzger usiłował oburącz uładzić rozwichrzone włosy.

– Sam wiesz najlepiej, co jest w księgach Inverarity’ego. Pamiętasz filtry papierosowe beaconsfield?

Metzger zamruczał, jak gdyby chciał coś przywołać w pamięci.

– Chodziło o węgiel kostny – przypomniała sobie Edypa.

– Otóż to! Mój klient, Tony Jaguar, dostarczył swego czasu pewną liczbę kości. Teraz wniósł skargę, bo Inverarity zalega z zapłatą. Tak to wygląda.

– Bzdura – stwierdził Metzger. – To zupełnie nie w stylu Inverarity’ego. W takich opłatach był zawsze bardzo skrupulatny. Chyba że chodzi o jakąś łapówkę, ale ja zajmowałem się tylko legalną stroną jego finansów, więc nie wiem, jak z tym było. Dla jakiej firmy budowlanej pracuje twój klient?

– Dla firmy budowlanej – uciął Di Presso.

Metzger się rozejrzył.

Paranoicy byli chyba poza zasięgiem ich głosu.

– Ludzkie kości, prawda? – Di Presso przytaknął. – To już wiem, od kogo je dostał.

Kontrakty zawierały tamte firmy od budowy autostrad, te wykupione przez Inverarity'ego. Po względem prawnym wszystko jest cymes, Manfredzie. Może była tam jakaś łapówka, ale wątpię, czy ją zaksięgowano.

– Darujcie, ale jak drogowcy mogą handlować kośćmi? – zagadnęła Edypa.

– Czasami trzeba przekopywać stare cmentarze – pospieszył z wyjaśnieniem Metzger. – Na przykład tam, gdzie poszło wschodnie pasmo autostrady San Narciso. Cmentarz leżał akurat na trasie, więc przepruliśmy go bez gadania.

– Zapomnijcie o łapówkach i autostradach – potrząsnął głową Di Presso. – Te kości sprowadzono z Włoch. Sprzedaż z ręki do ręki. Część transportu – pokazał w tamtą stronę – spoczywa na dnie tego jeziora, jako dekoracja dla amatorów nurkowania. O, właśnie dzisiaj przeprowadzałem wizję lokalną przedmiotów sporu, przynajmniej dopóki Tony nie zaczął mnie ścigać. Resztę kości użyto do prób w ośrodku badawczo-rozwojowym Beaconsfield na początku lat pięćdziesiątych. Nikt wtedy jeszcze nie słyszał o raku. Tony twierdzi, że wydobywał wszystkie te kości z dna Lago Di Pieta.

– O mój Boże! – wykrztusił Metzger, gdy tylko usłyszał nazwę jeziora.

– Nasi żołnierze?

– Mniej więcej kompania – potwierdził Di Presso. Otóż Lago Di Pieta, leżące na Wybrzeżu Tyrreńskim, gdzieś pomiędzy Neapolem a Rzymem, było sceną zapomnianej obecnie, ale w roku 1943 jakże tragicznej, desperackiej bitwy o mały przyczółek utworzony podczas pierwszego natarcia na Rzym. Przez kilka tygodni, mimo odcięcia dostaw i braku łączności, garstka amerykańskich żołnierzy stawiała zacięty opór na wąskim brzegu czystego, spokojnego jeziora, podczas gdy otaczający ich Niemcy trzymali oddział pod morderczym krzyżowym ogniem ze szczytów skał wznoszących się na zawrotną wysokość nad plażą. Jezioro było zbyt zimne, żeby je przepłynąć: umierało się w wodzie na długo przed dotarciem do zbawczego brzegu. Nie było drewna do budowy tratw. Nad głowami nie pojawiały się żadne samoloty, z wyjątkiem nielicznych sztukasów polujących na łatwy cel. Niewiarygodne, że tak niewielu ludzi potrafiło utrzymać się tak długo. Okopali się, na ile tylko pozwalała skalista plaża; nocami wysyłali w górę urwisk grupy szturmowe, które prawie nigdy nie wracały – raz tylko udało im się zdobyć karabin maszynowy. Patrole szukały drogi odwrotu, ale ich niedobitki powracały z niczym. Robili, co mogli, by przerwać okrążenie, a kiedy to się nie udawało, kurczowo trzymali się życia aż do ostatka. Ginęli jednak kolejno, bez słów, bez śladu. Pewnego dnia Niemcy zeszli z urwisk, a znalezione na plaży ciała wrzucili do jeziora razem z bronią i wszystkim, co nie mogło się już przydać.

Ciała wkrótce zatonięły i leżały na dnie jeziora aż do początku lat pięćdziesiątych, kiedy to były kapral włoskiego oddziału wspierającego Niemców pod Lago Di Pieta, Tony Jaguar, który wiedział, co się kryje w jeziorze, namówił paru kolegów, by wydobyli z dna wszystko, co mogłoby przynieść zysk. Udało im się jednak wyłowić tylko kości.

Makabryczne rozumowanie, na które wpłynął zapewne fakt, że amerykańscy turyści – od których zaczynało już się roić – za byle co płacą chętnie w żywej walucie, a może także opowieści o Forest Lawn i innych przejawach amerykańskiego kultu zmarłych, połączone z niejasną nadzieją, iż senator McCarthy i inni ludzie jego pokroju, którzy zdobyli sobie w owych latach pewien wpływ na bogatych zamorskich *cretini*, zechcą znów skierować uwagę opinii publicznej na poległych w drugiej wojnie światowej, a zwłaszcza na tych, których ciał nigdy nie odnaleziono – taki oto labirynt domniemyanych motywów upewnił Tony'ego Jaguara, że się opłaci, korzystając z kontaktów w mafii, znanej podówczas jako Cosa Nostra, pchnąć kości do Ameryki.

Nie pomylił się. Pewna firma eksportowo-importowa nabyła kości i odsprzedała je wytwórni nawozów, gdzie z kolei użyto pewną ilość piszczeli do eksperymentów, lecz koniec końców zdecydowano, że można zrobić lepszy interes na mączce rybnej i odesłano pozostałe kilka ton do centrali, która zmagazynowała transport w składach niedaleko Fort Wayne w

stanie Indiana. Działo się to rok przed tym, nim sprawą zainteresował się Beaconsfield.

– Aha! – podskoczył Metzger. – W takim razie kupił je Beaconsfield, a nie Inverarity. Ten posiadał tylko pakiet akcji Osteolysis Corporation, takiej firmy, która miała robić filtry, a z Beaconsfield nie miał nic wspólnego.

– Wiecie ludzie – wtrąciła jedna z dziewczyn, piękna brunetka o wężowej talii, ubrana w czarny dziany trykot i baletki – to wszystko cholernie mi przypomina całą tę popieprzoną tragedię zemsty, cośmy oglądali tydzień temu.

– *Tragedię kuriera* – przypomniał sobie Miles. – Rzeczywiście, taki sam obłęd: kości zaginionego batalionu leżą w jeziorze, ktoś je wyciąga, przerabia na węgiel...

– Podsluchiwali! – zawył Di Presso. – Smarkacze! Bez przerwy ktoś wsadza nos, zakładają ci podsłuch w mieszkaniu, kontrolują rozmowy i węszą...

– Tylko że my nie powtarzamy tego, cośmy usłyszeli – przerwała druga dziewczyna. – Zresztą nikt z nas nie pali beaconsfieldów. Wolimy trawę – roześmiali się.

Ale nie był to wcale żart: perkusista Leonard sięgnął do kieszeni płaszczka kąpielowego, wyjął garść skrętów z marihuany i rozdał je między całą pakę. Metzger zamknął oczy i odwrócił się, mrużąc:

– Za posiadanie...

– Ratunku! – krzyknął naraz Di Presso, który z otwartymi ustami wpatrywał się dzikim wzrokiem w jezioro. Na wodzie ukazała się druga motorówka i podążyła w ich stronę. Za jej szybą przycupnęły dwie postacie w szarych garniturach.

– Metz, muszę lecieć. Gdyby was o coś pytano, nie lećcie z facetem w konia, to mój klient! – dopadł drabinki i zniknął.

Edypa położyła się na wznak i gapiała w puste, targane wiatrem, błękitne niebo. Po chwili dobiegł ich głos zapuszczanego silnika „Godzilli II”.

– Metz! – dotarło do niej. – Zabrał kóź! Jesteśmy odcięci.

I rzeczywiście. Dopiero długo po zachodzie słońca Milesowi, Deanowi, Serge’owi i Leonardowi – oraz dziewczynom – którzy niczym kibice na meczu wymachiwali ognikami papierosów, kreśląc w powietrzu na zmianę litery S i O, udało się w końcu przyciągnąć uwagę Sił Bezpieczeństwa Laguny Fangoso, garnizonu stróżów prawa utworzonego z byłych westernowych aktorów i motocyklowych gliniarzy z Los Angeles. Oczekiwanie na pomoc skracali sobie alkoholem, piosenkami śpiewanymi przez Paranoików, karmieniem kanapkami z bakłazanem stadka niezbyt rozgarniętych mew, którym laguna Fangoso pomyliła się z Pacyfikiem, i słuchaniem streszczenia *Tragedii kuriera* pióra Richarda Wharfingera, co nie było łatwe w sytuacji, gdy osiem równoczesnych relacji poczynano wkraczać w regiony tak samo trudne do opisanego, jak kształt unoszących się wstęg i obłoków haszyszowego dymu. Wszystko poplątało się tak dalece, że nazajutrz Edypa postanowiła sama obejrzeć sztukę, a co więcej, naciągnęła na to Metzgera.

*Tragedię kuriera* grała miejscowa trupa z San Narciso w tak zwanej „Norze”, niewielkim teatrze z centralną sceną, wciśniętym pomiędzy biuro badań natężenia ruchu drogowego a lewy sklep z tranzystorami, którego nie było tam przed rokiem i który miał zniknąć w roku przyszłym, lecz na razie bił niskimi cenami nawet Japończyków i zgarniał szmal szufladami. Sala, do której weszła Edypa z ociągającym się Metzgerem była tylko w połowie wypełniona i taka już pozostała.

Kostiumy były jednak bajeczne, gra światła pełna wyobraźni i chociaż aktorzy łączyli dawną sceniczną angielszczyznę z amerykańską wymową, już po pięciu minutach Edypa poczuła, że bez reszty wsysa ją ów pejzaż zła odmalowany przez Richarda Wharfingera dla siedemnastowiecznej publiczności – oczekującej na Apokalipsę, żadnej śmierci, wypranej z wrażliwości widowni, która niestety nie uświadamiała sobie, że odległa o kilka zaledwie lat, czai się już zimna i przepastna otchłań wojny domowej.

Zatem na jakieś dziesięć lat przed wydarzeniami pierwszego aktu Angelo, okrutny ksiączę

Squamuglii, zamordował dobrego księcia Faggio, nasączając trucizną stopy posągu świętego Narcyza, Biskupa Jerozolimy, które książe miał zwyczaj całować podczas niedzielnej mszy w pałacowej kaplicy. Pozwoliło to jego niegodziwemu synowi z nieprawego łoża, Pasquale, zostać regentem mającym rządzić, dopóki nie uzyska pełnoletności jego przyrodni brat Niccolo, prawowity następca tronu i pozytywny bohater całej sztuki. Rzecz jasna, Pasquale nie ma najmniejszego zamiaru pozwolić bratu dożyć tego wieku.

Zmówiwszy się więc z księciem Squamuglii, Pasquale chcąc wykończyć Niccola proponuje mu zabawę w chowanego, a następnie nakłania chłopca, żeby ten ukrył się w lufie wielkiej armaty, która miała w tym momencie zostać odpalona przez kanoniera i rozerwać Niccola na strzępki, jak to później z żalem wspomina Pasquale w trzecim akcie:

*Deszczem krwawym nawożąc nasze pola  
Niczym Menady ryk saletra zagrzmi  
I siarki cantus firmus.*

Z żalem, gdyż kanonier, sympatyczny spryciarz imieniem Ercole, po cichu trzyma z obecnymi na dworze w Faggio dysydentami, którym zależy na życiu Niccola, więc zamiast chłopca pakuje do lufy młode kozłę, a jednocześnie ukradkiem wyprowadza Niccola z pałacu w przebraniu starej rajfurki.

Wszystko to wychodzi na jaw w pierwszej scenie, kiedy Niccolo wyznaje całą swą przeszłość najlepszemu przyjacielowi, Domenico.

Niccolo jest już dorosły i przebywa na dworze księcia Angela, mordercy jego ojca, udając specjalnego kuriera rodu Thurn i Taxis, który w owych czasach posiadał monopol pocztowy na całym obszarze Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Na pozór stara się więc Niccolo zdobyć dla swej firmy nowy rynek zbytu, jako że książe Squamuglii, mimo niższych cen i sprawniejszej obsługi systemu Thurn i Taxis, uparcie sprzeciwia się wykorzystaniu jakichkolwiek obcych posłańców w komunikacji ze sprawującym w Faggio marionetkowe rządy Pasquale'em. Naturalnie prawdziwą przyczyną obecności Niccola na książęcym dworze jest chęć odegrania się na złym księciu.

Tymczasem okrutny Angelo zamierza złączyć księstwa Faggio i Squamuglię, wydając za uzurpatora Pasquale'a jedyną kobietę o błękitnej krwi, jaka jest na podporządku, a mianowicie własną siostrę Franceskę. Jedyną przeszkodą dla tego związku jest fakt, że Francesca to matka Pasquale'a – wskutek nieprawego związku z dawnym dobrym księciem Faggio, co było zresztą jeszcze jednym powodem, żeby otruć tego ostatniego. Następuje teraz zabawna scena, w której Francesca usiłuje delikatnie przypomnieć bratu o społecznych tabu dotyczących kazirodztwa. Francesca zdaje się nie pamiętać, zauważa brat, że owe tabu jakoś jej nie przeszkadzały podczas owych dziesięciu lat, w ciągu których trwał miłosny związek ich dwojga. Kazirodztwo czy nie, małżeństwo być musi. Wymaga tego dobro jego długofalowych planów politycznych. Kościół nigdy nie zaakceptuje tego związku, twierdzi Francesca. No to, mówi Angelo, przekupię kardynała. Zaczyna też dobierać się do siostry i pieścić ją po karczku. Dialog przeradza się w gorączkowe oznaki niepohamowanej żądzy, a scenę kończy widok pary osuwającej się na otomanę.

Akt zamyka przygoda Domenika, któremu naiwny Niccolo wyjawiał swój sekret, a który usiłuje teraz dostać się do księcia Angela i wydać najdroższego przyjaciela. Naturalnie książe w tamtej chwili kotłuje się właśnie ze swą lubą, Domenico zatem musi się zadowolić rozmową z jego administratorem – a jest nim sam Ercole, który niegdyś uratował Niccolowi życie i dopomógł w ucieczce z Faggio. Ercole przyznaje się do tego przed Domenikiem, lecz najpierw nakłania szpicla – pod pretekstem, że pokaże mu pornograficzną dioramę – by ten schylił się i wsadził głowę do tajemniczej czarnej skrzynki.

Natychmiast na szyi niewiernego Domenico zaciskają się stalowe kleszcze, a ściany skrzynki głośną wołanie o pomoc. Ercole wiąże ręce i nogi zdrajcy szkarłatnymi jedwabnymi

sznurami, informuje, na kogo w istocie się nadział, i sięga do skrzynki z parą obcęgow w dłoni.

Wyrwawszy Domenikowi język, zadaje mu jeszcze kilka ciosów sztyletem, wlewa do skrzynki dzbanek wody królewskiej i wylicza resztę atrakcji – łącznie z kastracją – jakie czekają Domenika nim umrze, wszystko to pośród wycia, bełkotliwych prób modlitwy i szamotaniny konającej ofiary. Wyrwany język Ercole nadziewa na rapier, podbiega do zatkniętej w ścianie pochodni, smaży go i wymachując nim jak wariat, kończy pierwszy akt rykiem:

*Zacnym dziełem zagląda owego człowieka  
Myśli Ercole, błazen-Parakleta.  
Gdy Duch Nieświęty zstąpił na tę niwę  
Zielone Świątki zacznijmy straszliwe.*

Reflektory zgasły. W ciszy dobiegł Edypę głośny jęk kogoś z przeciwnej strony widowni.

– Masz już dość? – zapytał Metzger.

– Muszę zobaczyć, jak to było z tymi kośćmi.

Musiała czekać aż do czwartego aktu. Drugi wypełniony był najpierw nie kończącym się pasmem tortur, a później morderstwem Księcia Kościoła, który przedłożył męczeństwo nad uświęcenie kazirodczego związku Franceski z jej własnym synem. Przerywa to tylko scena z Ercole, który wyszpiewowawszy, co się dzieje z kardynałem, wysłał kurierów do swoich ludzi w Faggio, mającymi z Pasquale'em na pieńku, doradzając im, by rozgłosili wieści o ślubie regenta z własną matką, w nadziei, że w ten sposób poruszy się trochę opinię publiczną. I druga scena, w której Niccolo spędzając dzień z jednym z kurierów księcia Angela, słyszy od niego opowieść o Zaginionej Gwardii, oddziale pięćdziesięciu doborowych rycerzy, kwiecie faggijskiej młodzieży, który stanowił niegdyś straż przyboczną dobrego księcia. Pewnego dnia, podczas manewrów na granicy ze Squamuglią, zniknęli wszyscy bez śladu, a wkrótce potem książę został otruty. Uczciwy Niccolo, który zawsze miał kłopoty z ukrywaniem uczuć, zauważa, że jeśli w ogóle można łączyć te dwa zdarzenia, trop wydaje się prowadzić do Angela, a jeśli to prawda, książę niech lepiej sobie uważa – i tyle. Drugi kurier, niejaki Vittorio, bierze to za zniewagę i przyrzeka na stronie, że przy najbliższej okazji doniesie księciu Angelo o tych zdradzieckich słowach. Tymczasem w sali tortur zmusza się kardynała, by krwawił do monstrancji i ofiarował swoją krew nie Bogu, lecz Szatanowi. Potem oprawcy ucinają mu duży palec u nogi, każąc kardynałowi trzymać go jak hostię ze słowami: „Oto jest ciało moje”, a jak zwykle dowcipny Angelo zauważa, że po raz pierwszy w okresie pięćdziesięciu lat wypełnionych systematycznymi kłamstwami duchowny powiedział coś, co nosi znamiona prawdy. Scena jest w sumie mocno antyklerykalna, być może napisana z myślą, by przypodobać się ówczesnym purytanom (gest próżny, jako że ci nie chodzili nigdy do teatru, nie wiedzieć czemu uważając ówczesne sztuki za niemoralne). Akt trzeci dzieje się w całości na dworze w Faggio i przedstawia zamordowanie Pasquale'a, poprzedzone spiskiem uknutym przez agentów Ercola. Kiedy na ulicach wokół pałacu wre bój, Pasquale zamyka się w patrycjuszowskiej cieplarni i urządza orgię. W zabawie uczestniczy także olbrzymia dzika czarna małpa przywieziona z niedawnej wyprawy do Indii. Naturalnie małpia skóra jest tylko przebraniem dla faceta, który na dany znak skacze na Pasquale'a z kandelabru, a jednocześnie z różnych stron sceny rzuca się na uzurpatora pół tuzina innych zamachowców, do tej pory weselących się i płaszających w przebraniu tancerek. Przez dziesięć minut gromada mścicieli nie przestaje dźgać, kłuć, truć, przypalać, dusić i na wszelkie możliwe sposoby dręczyć Pasquale'a, który ku uciesze publiczności szczegółowo opisuje swe doznania. Umiera wreszcie w straszliwej agonii, zaś pomiędzy zamachowców wkracza niejaki Gennaro, dotąd zupełne zero, który ogłasza się tymczasową głową państwa do czasu, aż uda się odnaleźć prawowitego księcia Niccolo.

Nastąpił anakt. Metzger zataczając się, ruszył do malutkiego foyer na papierosa, Edypa zaś rozejrzała się w poszukiwaniu toalety. Na próżno szukała znaku dostrzeżonego wtedy w „Ekranie”. Wszystkie ściany były zadziwiająco czyste. Nie wiedziała dokładnie dlaczego, ale przerażała ją ten brak najmniejszej choćby próby komunikacji, jakie widuje się na ścianach ustępów.

W czwartym akcie *Tragedii kuriera* okrutny książę Angelo szaleje ze zdenerwowania. Dowiedział się był właśnie o zamachu stanu w Faggio i o tym, że być może Niccolo wciąż żyje. Dochodzą go także słuchy, iż Gennaro szykuje oddziały, by podbić Squamuglię, a co więcej, plotki, że sam papież ma interweniować w sprawie morderstwa kardynała.

Czując wokół siebie zdradę, książę nakazuje, by Ercole, którego prawdziwej roli wciąż się nie domyśla, wezwał wreszcie kuriera Thurn i Taxis, gdyż nie może już ufać własnym ludziom. Ercole sprowadza Niccola, Angelo zaś wyciąga pióro, pergamin i inkaust, wyjaśniając publiczności – lecz nie naszym bohaterom, którzy wciąż nie mają pojęcia o najnowszych wydarzeniach – że chcąc zapobiec faggijskiej inwazji, musi czym prędzej zapewnić Gennara o swych przyjaznych zamiarach. Pisząc, rzuca od niechcienia kilka oderwanych i tajemniczych uwag na temat swojego atramentu, sugerując, że jest to w istocie niezwykle płyn. Na przykład:

*I że ów płyn smolisty zwą we Francji encre  
Galla zmałpować mógł groźny Squamuglia,  
Bo jak ankie kotwicy dobył go z głębiny.*

Albo:

*Łabędź nieszczęsny oddał jeno pióro,  
Samo okrycie, ale to, co z pióra  
Ciemnym jedwabiem spływa, nie zostało  
Wydarte, lecz zebrane po innych  
I różnych zgoła bestiach.*

Wszystko to wprawia go w znakomity humor. Gotowy, zapieczętowany list do Gennara Niccolo chowa pod kaftanem i rusza do Faggio, podobnie jak Ercole wciąż nie zdając sobie sprawy z zamachu stanu i czekającej go rychło restauracji na książęcym tronie. Potem widzimy Gennara, który zdąża ku Squamuglii na czele niewielkiej armii.

Z pogwarek wynika, że jeśli Angelo pragnie pokoju, powinien raz-dwa wysłać kuriera z listem, zanim jeszcze dotrą do granicy, bo inaczej z przykrością będą zmuszeni dobrać mu się do dupy. Lecz tymczasem w Squamuglii książęcy kurier Vittorio donosi o zdradzieckich słowach Niccola. Inny posłaniec wpada z wiadomością, że znaleziono zmasakrowane zwłoki Domenika, niewiernego przyjaciela Niccola.

W jego bucie zatknięta była kartka, na której nabazgrano krwią wiadomość, kim naprawdę jest Niccolo. Angelo wpada w apoplektyczną furję i rozkazuje, by Niccola pojmano i zgładzono.

Rozkazuje, lecz nie swoim ludziom.

W tym właśnie punkcie sztuki wszystko staje się naprawdę dziwne, a coś niby chłodny dreszcz, cień niejasności, zaczyna wkradać się między słowa. Do tej pory, kiedy padały imiona, kryło się za nimi określone znaczenie, dosłowne lub metaforyczne, ale teraz, kiedy książę wydał morderczy rozkaz, bierze górę nowy sposób wyrazu.

Najtrafniej można by go nazwać rytualną bojaźnią: wiemy, że o niektórych sprawach nie będzie się mówiło głośno, niektórych wydarzeń nie ujawni się na scenie, choć biorąc pod uwagę ich intensywność w poprzednich aktach, trudno sobie wyobrazić coś jeszcze bardziej drastycznego. Książę nie chce albo nie może ukazać nam prawdy. Kiedy wrzeszczy na



Vittoria, wymienia bez ogródek nazwiska wszystkich, którzy nie będą ścigać Niccola – swojej gwardii przybocznej rzuca w twarz taki epitet, jak: wszarze, błazny i tchórze.

Kim więc mają być ścigający? Wie to byle dworak, objający się w squamuglijskiej liberii i rzucający innym Znaczące Spojrzenia. Całość to jeden żart z kluczem, zrozumiały tylko dla wtajemniczonych.

Współczesna Wharfingerowi publiczność musiała znać ten klucz. Zna go także Angelo, który jednak milczy i nawet kiedy uchyla rąbka tajemnicy, nie dowiadujemy się wiele:

*Niech tę przyłbicą złoży na swym grobie  
Ów, co zawłaszczył sobie godne miano.  
Jego zaś maską tańczmy niczym prawdą  
Mnożąc liczbą sztyletów tych, którzy  
Zemstę poprzysiągłszy nie śpią nigdy  
I na najłżejszy szept niosący imię  
Skradzione przez Niccola, spieszą zadać  
Cios straszny, a z nim sąd ostatni,  
Co ponad słowa...*

I znów wracamy do armii Gennara. Ze Squamuglii przybywa szpieg z wiadomością, że Niccolo jest już w drodze. Wielka radość, pośród której milkiwy zwykle Gennaro wzywa wszystkich, by pamiętali, iż Niccolo wciąż jeszcze nosi barwy Thurn i Taxis. Okrzyki cichną. Tak samo jak na dworze Angela na scenę wkrada się dziwny chłód. Wszyscy – zapewne zgodnie z wskazówką reżysera – zdają się rozumieć, co wisi w powietrzu. Gennaro, bardziej w tym jeszcze mętny i niejasny niż Angelo, wzywa Boga i świętego Narcyza, by czuwali nad Niccolem.

Kiedy armia wyrusza w dalszą drogę, Gennaro pyta porucznika, gdzie się znajdują. Okazuje się, że zaledwie o milę od jeziora, nad którym po raz ostatni widziano Zaginioną Gwardię przed tajemnym zniknięciem.

Tymczasem w pałacu Angela powinęła się nareszcie noga Ercolowi.

Oszaczony przez Vittoria i pół tuzina innych drabów zostaje oskarżony o zamordowanie Domenica. Następuje defilada świadków, parodia procesu i oto Ercole kończy żywot pośród odświeżająco zwyczajnego dżgania sztyletami.

W kolejnej scenie po raz ostatni widzimy Niccola. Zatrzymał się właśnie na popas nad brzegiem jeziora, w pobliżu którego, jak mu opowiadano, zaginęła niegdyś faggijska gwardia. Siada pod drzewem, otwiera list Angela i dowiaduje się wreszcie o przewrocie i o śmierci Pasquale'a. Świta mu, że czeka go tron, miłość całego księstwa i spełnienie najżywotniejszych nadziei. Oparty o drzewo, odczytuje na głos fragmenty listu, dorzucając sarkastyczne komentarze na temat steku bzdur, który Angelo sprokurował wyłącznie z myślą, by uspokoić Gennara do czasu, aż sam wyszkoli armię i odbije Faggio. Zza sceny dobiega odgłos kroków. Niccolo zrywa się na równe nogi, z ręką na głowni miecza, wbijając wzrok w jedno z rozchodzących się promieniście od sceny przejść. Drży na całym ciele, nie może wykrztusić słowa, jęka się tylko, wymawiając najkrótszy wers, jaki kiedykolwiek napisano w jambicznym pentametrze: -T-t-t-t-t... Potem z wysiłkiem, jak gdyby otrząsając się z koszmarne paraliżu, zaczyna cofać się krok za krokiem, gdy nagle pośród złowrogiej ciszy na scenę wbiegają z gracją tancerzy trzy długonogie, kobiece niemal postaci w czarnych trykotach, miękkich butach i rękawicach. Na twarzach mają naciągnięte czarne pończochy. Podskakują, zatrzymują się i patrzą na Niccola. Ich twarze pod jedwabiem są zniekształcone i mroczne.

Czekają. Nagle gasną światła.

W Squamuglii Angelo usiłuje wyszkolić armię, bez powodzenia.

W desperacji zbiera pozostałych jeszcze przy nim dworaków i ślicznotki, ceremonialnie

zamyka wszystkie wejścia, każe podać wino i rozpoczyna orgię.

Akt kończy nadejście armii Gennaro nad jezioro. Jeden z żołnierzy melduje, że znaleziono zwłoki, które znajdują się z stanie zbyt strasznym, by mogły to oddać słowa, a które zidentyfikowano jako ciało Niccola po amulecie, jaki od dziecka nosił na szyi. Znów cisza i wymiana spojrzeń. Żołnierz wręcza Gennaro splamiony krwią zwój pergaminu znaleziony przy ciele. Po pieczęci możemy rozpoznać wieziony przez Niccola list księcia. Gennaro rzuca nań okiem, patrzy raz jeszcze i odczytuje na głos. Kłamiwy dokument, którego fragmenty odczytywał Niccolo, w cudowny sposób przemienił się w długą spowiedź Angela ze wszystkich jego zbrodni, zakończoną wyjaśnieniem zagadki Zaginionej Gwardii księstwa Faggio. Gwardziści zostali – uwaga, niespodzianka – wymordowani co do jednego przez Angela.

Ciała wrzucono do jeziora, lecz potem wydobyto i zwęglono ich kości, z węgla natomiast sporządzono atrament, którego obdarzony niesamowitym poczuciem humoru Angelo używał do całej swej późniejszej korespondencji z Faggio, wliczając w to niniejszy dokument.

*Lecz teraz biała kość Niepokalanych  
Złączyła się na zawsze z krwią Niccola  
Jak się niewinność z niewinnością łączy  
Węzłem, w którym zostaje cud poczęty,  
Bo podle kłamstwo przeszło w słowo prawdy,  
A tę prawdziwość wszyscy zaświadczamy,  
Jako jesteśmy, martwa Gwardia z Faggio.*

W obliczu tego cudu wszyscy padają na kolana, błogosławią imię Boże, opłakują Niccola i przysięgają, że obrócą Squamuglię w perzynę. Tylko jeden Gennaro kończy rozpaczliwą nutą, co mogło być prawdziwym szokiem dla ówczesnej widowni – wypowiada wreszcie imię, którego nie śmiał wymówić Angelo, a Niccolo tylko usiłował:

*Nad Thurn i Taxis fałszywym posłańcem  
Sztyletów tylko władzę mają ostrza  
I milczy złota trąbka zapętłona.  
Święta sieć gwiazd nie uratuje tego,  
Kto raz skierował swój trop ku Trysteru.*

Trysteru. Kiedy światła zgasły na chwilę po zakończeniu aktu, słowo to wciąż trwało w ciemności. Dla Edypy było zagadką, lecz wciąż jeszcze nie rozciągnęło nad nią swojej mocy.

W akcie piątym następowało całkowite rozwiązanie akcji w postaci krwawej łaźni zgotowanej przez Gennara na squamuglijskim dworze.

Znaleźć tu można chyba wszystkie znane w renesansie metody zadawania gwałtownej śmierci, nawet kadź z ługiem, miny prochowe i tresowanego sokoła z zatrutymi szponami. Jak zauważył później Metzger, sztuka upodabnia się w tym momencie do pisanej białym wierszem wersji przygód Strusia Pędziwiatra. Wreszcie na zasłanej trupami scenie pozostaje już tylko jedna żywa postać – bezbarwny administrator Gennaro.

Z programu wynikało, że reżyserem *Tragedii kuriera* jest niejaki Randolph Driblette, który grał także rolę zwycięskiego Gennara.

- Słuchaj, Metz – ożywiła się Edypa – chodź ze mną za kulisy.
- Znasz kogoś z nich? – Metzgerowi pilno było do wyjścia.
- Chcę się czegoś dowiedzieć. Muszę pogadać z tym Driblette'em.
- Co, znów o tych kościach – spojrzał na nią ponuro. Edypa wyjaśniła prędko:
- Nie wiem. Ciągłe mnie to gryzie, te dwie sprawy są tak blisko siebie.
- Dobra – warknął Metzger. – I co jeszcze? Może pobiegniesz pikietować Związek

Kombatantów? Pomaszerujesz na Waszyngton? Boże, uchowaj mnie – podniósł głowę ku sufitowi teatru, aż obejrzało się raptownie kilka wychodzących osób – od tych przemądrzałych, wyzwolonych panienek, co to mają małe mózdzki i miękkie serduszka. Skończyłem trzydzieści pięć lat i swoje wiem.

– Pikietować? – szepnęła speszona Edypa. – Metz, ja jestem członkinią Młodych Republikanek.

– Naogląda się taka komiksów z Hapem Harriganem – Metzger podniósł głos – chociaż nawet na to jest za smarkata, obejrzy w sobotnie popołudnie, jak John Wayne robi zębami siekane kotlety z dziesięciu tysięcy Japończyków, psiakość, i wie już, jak wygląda druga wojna światowa. Są dziś ludzie, którzy mogą jakoś jeździć volkswagenem i nosić w kieszeni radio sony, ale ona do nich nie należy, ludzie, nie, ona chce naprawiać zło dwadzieścia lat po fakcie, wywoływać duchy, a wszystko dlatego, że po pijaku słuchała, co plótł Di Presso. Zapomina zupełnie, komu jest przede wszystkim winna lojalność, moralnie i prawnie: dziedzictwu, które reprezentuje, a nie wam, chłopcy w mundurach, choć zginęliście po bohatersku.

– To nie tak – sprzeciwiła się. – Nic mnie nie obchodzi, co Beaconsfield ładuje do filtrów, nie interesuje mnie, co kupił Pierce od Cosa Nostra, nie chcę nawet o tym słyszeć, ani o tym, co zdarzyło się nad Lago Di Pieta, ani o raku...

Rozejrzała się bezradnie, szukając słów.

– No to o co ci chodzi? – Rozpłomieniony Metzger zerwał się na równe nogi. – O co?

– Nie wiem – wyrzekła z rozpaczą. – Metz, nie naskakuj na mnie. Bądź po mojej stronie.

– Przeciwko komu? – Metzger włożył ciemne okulary.

– Chcę tylko zobaczyć, czy jest tu jakiś związek. Jestem ciekawa.

– Właśnie, jesteś ciekawa. Poczekam w wozie, zgoda?

Edypa patrzyła w ślad za nim, dopóki nie zniknął, a potem ruszyła na poszukiwanie garderoby; dwukrotnie okrążyła pierścień korytarza, nim w mrocznym odcinku pomiędzy dwiema jaskrawymi lampami odnalazła drzwi. Wstąpiła w miękki, elegancki chaos wnętrza, odnosząc wrażenie, że przenikają ją na wskroś emanacje obnażonych systemów nerwowych wszystkich tam obecnych.

Dziewczyna zmywająca z twarzy imitację krwi skierowała Edypę ku pasmu oświetlonych luster. Przepchnęła się w tamtą stronę wśród spoconych bicepsów i zastygających na sekundę w bezruchu kurtyn długich rozwianych włosów, aż stanęła wreszcie przed Driblette'em, który wciąż miał na sobie szary kostium Gennara.

– To było wspaniałe – zaczęła Edypa.

– Pomocaj. – Driblette wyciągnął ku niej ramię. Dotknęła. Kostium uszyty był z szarej flaneli. – Człowiek poci się w tym jak cholera, ale nic innego nie dałoby tego efektu, co?

Edypa skinęła głową. Nie mogła przestać wpatrywać się w jego oczy: świetlistoczarne, otoczone niewiarygodną siecią zmarszczek, niczym laboratoryjny labirynt do eksperymentów nad inteligencją łąz. Oczy te zdawały się wiedzieć, po co przyszła, nawet jeśli nie wiedziała tego sama Edypa.

– Chcesz pogadać o sztuce – odezwał się. – Muszę cię rozczarować. Napisano ją, żeby rozbawić publiczność. Coś jak filmy grozy. Nie jest to żadna literatura, nie ma w niej znaczenia. Wharfinger nie był Szekspirem.

– A kim był? – zapytała.

– A kim był Szekspir? Dawne dzieje.

– Mogę zobaczyć scenariusz?

Nie wiedziała dokładnie, czego szukała. Driblette skinął głową w stronę szafki obok prysznic.

– Strzelę sobie prysznic, zanim zjawi się reszta i zaczniesz do mnie cisnąć. Scenariusz leży w górnej szufladzie.

Był tam, chociaż wymięty, podarty, upstrzony uwagami i poplamiony kawą. Poza tym szuflada była zupełnie pusta.

– Hej! – krzyknęła w stronę prysznicza. – A gdzie oryginał? Z czego to przepisywaliście?

– Z broszurowego wydania – odkrzyknął Driblette. – Nie pytaj o wydawnictwo, wiem tyle, że dorwałem książkę w antykwariacie Zapfa, koło autostrady. To taka antologia, *Barokowe tragedie zemsty*. Na okładce jest czaszka.

– Mogłabym ją pożyczyć?

– Ktoś ją już zabrał. Popremierowe przyjęcia, za każdym razem ginie mi przynajmniej pół tuzina różnych książek. – Wystawił głowę spod prysznicza. Resztę jego ciała spowijały kłęby pary, co nadawało głowie wygląd niesamowitego balonu. Spoglądając z rozbawieniem na Edypę, podjął ostrożnie. – W antykwariacie był jeszcze jeden egzemplarz. Może uda ci się go dostać. Wiesz, gdzie to jest?

Coś poruszyło się w jej trzewiach, zamigotało przez moment i znikło.

– Chcesz mnie spławić?

Przez sekundę nie odpowiadał, mierząc ją spojrzeniem spod ciężkich powiek.

– Czemu to – odezwał się w końcu – wszyscy tak się interesują tekstami?

– Kto jeszcze?

Za szybko. Może nie miał na myśli nic konkretnego. Głowa Driblette'a zatańczyła w przód i w tył.

– Nie próbuj wciągać mnie w te akademickie dyskusje. Kimkolwiek jesteś – dodał z tym samym, znajomym uśmiechem.

Edypa poczuła na skórze chłodne, trupie dotknięcie koszmarnych palców, bo uświadomiła sobie, że takie samo spojrzenie wymieniali nauczycieli przez Driblette'a aktorzy za każdym razem, kiedy wypływała sprawa morderców spod znaku Trystero, porozumiewawcze spojrzenie, jakie we śnie rzuca nam pewna nieprzyjemna postać. Zdecydowała się o to zapytać.

– Czy tak jest napisane w didaskaliach? Wydaje mi się, że wszyscy na scenie wiedzą, o co idzie. Może sam to wymyśliłeś?

– To już ja sam – przytaknął Driblette. – Spojrzenia i pojawienie się na scenie trzech morderców w czwartym akcie. Wharfinger nie pokazuje ich wcale, wiesz?

– Więc czemuś tak zrobił? Słyszałeś o nich z innych źródeł?

– Nie rozumiesz? – i z wściekłością dodał: – Wy wszyscy robicie to samo, co purytanie z tą swoją Biblią. Obchodzą was tylko słowa, słowa. Wiesz, gdzie naprawdę jest sztuka? Nie w tej szafce, nie w książce, której szukasz, ale tu. – Zza welonu pary wychynęła ręka i wskazała zawieszoną w pustce głowę. – Na tym polega moja rola: sprawiać, by słowo stawało się ciałem. Kogo obchodzą słowa, dźwięki wyklepane na pamięć, które tylko pomagają trzymać rytm, przeskoczyć bariery pamięci aktora... Prawdziwa rzeczywistość jest tu, w tej głowie. Mojej. Jestem jak projektor w planetarium: cały widzialny wszechświat zamknięty w kręgu sceny wydobywa się z moich ust, oczu, czasem i innych ujść.

Nie dała tak łatwo za wygraną.

– To dlaczego myślałeś inaczej niż Wharfinger o tym, no, jak mu tam, Trystero?

Na dźwięk tego słowa głowa Driblette'a zniknęła w kłębach pary. Jak zdmuchnięta. Edypa pilnowała się, by nie wymówić tego imienia.

Driblette zdążył już i tu, poza sceną, stworzyć wokół niego tę samą aurę rytualnej bojaźni.

– Gdybym się tu teraz rozpuścił – rozważał głos dobiegający zza kłębow pary – gdybym spłynął ściekami do Pacyfiku, znikłoby też wszystko, co dzisiaj widziałas. Ty byś też znikła, ta część ciebie, która związała się, Bóg wie po co, z moim małym światkiem. Pozostałoby tylko to, czego Wharfinger nie wymyślił. Squamuglia i Faggio, jeżeli w ogóle istniały. Może też system pocztowy Thurn i Taxis. Kolekcjonerzy znaczków mówią, że niegdyś taki był. Może także tamten drugi. Przeciwnik. Ale to tylko ślady, skamieliny, bezwartościowe,

martwe kamienie. Mogłabyś się we mnie zakochać, naciągać na rozmowy mojego terapeuty, wsadzić mi pod łóżko magnetofon i podsłuchiwać, co mówię stamtąd, gdzie przebywam we śnie. Chcesz tak zrobić? Możesz zebrać w ten sposób poszlaki i ukuć hipotezę albo dziesięć hipotez, które wyjaśnią, dlaczego pojawiają się mordercy, czemu są w czarnych kostiumach... Możesz w ten sposób zmarnować całe życie i nigdy nie dotknąć prawdy. Wharfinger dał nam tylko słowa i historyjkę. Ja dałem im życie, ot co!

Zamilkł. Słysząc było tylko szum prysznicza.

– Driblette? – odezwała się po chwili Edypa. Jego twarz wynurzyła się na moment.

– Możemy tak zrobić.

Nie uśmiechał się. Jego oczy czekały pośrodku swych pajęczych sieci.

– Dam znać – powiedziała.

Dopiero na zewnątrz pomyślała, „Boże, weszłam, żeby zapytać o kości, a mówiliśmy tylko o tym całym Trysterze”. Stała na opustoszałym parkingu i patrząc na zbliżające się reflektory wozu Metzgera, zastanawiała się, czy mógł to być przypadek.

Metzger słuchał radia. Przejechali już ponad dwie mile, zanim uświadomiła sobie, że wskutek kaprysów nocnego odbioru słuchają dalekiego radia KCUF, a głos na antenie należy do Mucha, jej męża.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Chociaż ponownie spotkała się z Mikiem Fallopianem i uważniej wglębiła się w tekst *Tragedii kuriera*, nowe poszlaki nie były dla Edypy bardziej alarmujące od innych objawień, których liczba narastała do potęgi, jak gdyby im więcej ich już nastąpiło, tym więcej miało spotkać Edypę, aż w końcu wszystko, co widziała, czuła i śniła, splatało się w jakiś sposób ze słowem Trysterio.

Zatem, po pierwsze, znów dokładnie przestudiowała testament.

Jeżeli Pierce rzeczywiście chciał pozostawić po sobie jakąś formę organizacji, czyż nie należało do jej obowiązków obdarować to, co przetrwało, życiem, spróbować stać się tym, czym był Driblette, ciemną maszyną pośrodku planetarium, by nadać dziedzictwu pulsujące, gwiazdziste znaczenie, pozwolić mu istnieć we wnętrzu szybującej wokół niej kopuły? Gdyby jeszcze nie napotykała tylu przeszkód: nie znała zupełnie prawa, zasad inwestowania, handlu nieruchomościami, nie znała nawet zmarłego. Przesłana z sądu obligacja uwidoczniała co do dolara sumę, która stanowiła dla Edypy przeszkodę. Pod znakiem, który przerysowała do notesu ze ściany toalety w „Ekranie” napisała teraz: *Czy mam wyświetlić świat?* A jeśli nie wyświetlić, to może przynajmniej rzucić na ciemną kopułę strzałę światła, która prześlizgując się pośród konstelacji, potrafiłaby odnaleźć Smoka, Wieloryba, Krzyż Południa. Nawet drobiazg mógłby w tym pomóc.

To właśnie uczucie kazało Edypie pewnego ranka wstać wcześniej i pojechać na zebranie udziałowców Yoyodyne. Nie miała tam nic do roboty, ale czuła, że być może wybawi ją to od inercji. Przy bramie dostała okrągłą białą plakietkę gościa zakładów, zaparkowała wóz na olbrzymim placu obok długiego chyba na sto metrów, różowego budynku z beczkowatym dachem. Była to stołówka Yoyodyne, a zarazem miejsce zebrania. Przez dwie godziny Edypa siedziała na ławie wciśnięta pomiędzy dwóch starszych panów, którzy wyglądali jak bliźniacy, i których dłonie wciąż (jak gdyby mężczyźni spali, pozwalając swym upstrzonym starczymi plamami i piegami rękom buszować w sennych pejzażach) opadały na uda Edypy. Obok nich Murzyni dźwigali w pancernych kotłach stopy tłuczonych ziemniaków, szpinaku, krewetek, cukinii i pieczeni w stronę długich, lśniących lad ogrzewczych, przygotowując się do odparcia południowej inwazji pracowników Yoyodyne. Sprawy bieżące zajęły tylko godzinę; przez drugą akcjonariusze, ich pełnomocnicy i wyżsi urzędnicy przedsiębiorstwa urządzili festiwal pieśni Yoyodyne. Na melodię hymnu uczelni Cornella śpiewali swój hymn.

*Hen nad wstęgą autostrady  
Ponad szumem aut,  
Yoyodyne swój zakład wzniosło  
By na wieki trwał.  
Wierność aż po kres istnienia  
Przysięgamy wam,  
O różowe pawilony,  
Pnie strzelistych palm.*

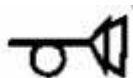
Dyrygował sam prezes koncernu, „Krwawy” Clayton Chiclitz. Potem na melodię *Aury Lee* śpiewali kanon.

*Bendix wiedzie głowice,  
Avco pocisk buduje.*

*American i Douglas  
Piękną broń produkuje,  
Martin robi wyrzutnie,  
Lockheed wielkie bombowce,  
A nam forsę brakuje  
Żeby kleić szybowce.  
Convair puszcza sputniki.  
Boeing robi rakiety,  
Wszyscy wielkich zamówień  
Mają pełne pakiety.  
Gdzie są twoje kontrakty  
Yoyodyne ukochane?  
Ministerstwo obrony  
Wykreśliło cię z planów.*

I tuziny innych ulubionych pieśni, których słów Edypa nie mogła już spamiętać. Potem wszystkich uformowano w grupy o liczebności plutonu i zabrano na krótką inspekcję zakładów.

W pewnej chwili Edypa się zgubiła. Jeszcze przed minutą wpatrywała się ze wszystkimi w makietę kapsuły pojazdu kosmicznego, bezpieczna pośród stojących wokół niej starych sennych ludzi; i nagle znalazła się sama pomiędzy fluoryzującym pomrukiem urzędowych zajęć. Jak okiem sięgnąć, wszystko było białe albo pastelowe: koszule pracowników, papiery, rysownice. Postanowiła włożyć ciemne szkła chroniące oczy przed blaskiem, i poczekać, aż ktoś przyjdzie jej z pomocą. Nikt jednak nie zauważył jej zniknięcia. Ruszyła przed siebie przez nawy jasnyniebieskich biur, skręcając od czasu do czasu. Na stuk obcasów głowy podnosiły się znad blatów, a inżynierowie gapili się, dopóki nie przeszła. Nikt się jednak nie odezwał. Minęło już pięć albo dziesięć minut; Edypa poczuła przypływ lęku. Wyglądało, że nie ma wyjścia z tego obszaru. Następnie przez przypadek (choć dr Hilarius, gdyby go o to zapytać, oskarżyłby ją, że poszukuje pewnych ludzi, kierując się zestawem podświadomych znaków) natknęła się na niejakiego Stanleya Koteksa. Inżynier nosił okulary w drucianej oprawie z podwójną ogniskową, sandały, elastyczne skarpetki i na pierwszy rzut oka wydawał się zbyt młody, żeby tu pracować. Zresztą nie pracował, tylko bazgrał grubym flamastrem taki oto znak:



– O, dzień dobry. – Edypa przystanęła, zaszokowana tym zbiegiem okoliczności. Tknięta pewnym pomysłem dodała zaraz: – Jestem od Kriby.

Takie właśnie imię widniało na ścianie toalety. Miało to zabrzmieć jak konspiracyjne hasło, ale wyszło głupawo.

– Cześć – odpowiedział Koteks, chowając zręcznie kopertę, na której bazgrał, do szuflady. Dostrzegł białą odznakę i zapytał: – Zagubiła się pani, co?

Wiedziała, że nie zaprowadzą jej daleko bezczelne pytania w rodzaju: „Co to za znak?” Wyjaśniła więc:

– Owszem, zwiedzam zakłady. Jako udziałowiec.

– Udziałowiec. – Zmierzył ją wzrokiem, potem przyciągnął nogą obrotowe krzesło od sąsiedniego biurka. – Proszę usiąść. Naprawdę ma pani jakiś wpływ na politykę firmy, może pani zgłaszać wnioski, które nie wylądują w koszu?

– Tak – skłamała Edypa, by się przekonać dokąd ich to zaprowadzi.

– Niech pani w takim razie zobaczy, czy nie dałoby się zmienić przepisów o patentach. Oto pieczeń, którą chciałbym przy okazji upiec.

– Patenty – powtórzyła Edypa.

Koteks wyjaśnił, że każdy inżynier, który podpisuje kontrakt w Yoyodyne, zrzeka się tym samym praw patentowych do wszelkich wynalazków, jakie mógłby poczynić w swojej pracy.

– Podcina się w ten sposób skrzydła wszystkim zdolnym ludziom – poskarżył się Koteks i dodał gorzko: – Jeśli jeszcze tacy są.

– Myślałam, że nikt już nie robi wynalazków – zdziwiła się czując, że znalazła dobry sposób. – Przecież od czasów Edisona nikt już się tym nie zajmuje, tylko praca zespołowa...

W swej mowie powitalnej Krwawy Chiclitz bardzo podkreślał rolę pracy zespołowej.

– Zespołowa – parsknął Koteks – można to i tak nazwać. W rzeczywistości to tylko sposób ucieczki przed odpowiedzialnością, objaw, że całemu społeczeństwu brakuje jaj.

– Boże. – Edypa była zdziwiona. – Pozwalają wam mówić takie rzeczy?

Koteks rozejrzał się bacznie i przysunął bliżej krzesło.

– Słyszała pani o Maszynie Nefastisa? – Edypa otworzyła szeroko oczy.

– No, więc wynalazł ją John Nefastis. Mieszka teraz w Berkeley. John to facet, który ciągle jeszcze sam robi wynalazki. O, proszę, mam tu kopię patentu. – Wydobył z szuflady odbity na ksero plik papierów.

Rysunki przedstawiały pudło z umieszczoną na ścianie fotografią brodatego mężczyzny w wiktoriańskim surducie. Z wierzchu pudła wychodziły dwa tłoki połączone z wałem korbowym i kołem zamachowym.

– Ten z brodą, kto to? – zapytała.

James Clerk Maxwell, brzmiała odpowiedź Koteksa, słynny szkocki uczyony, który przedstawił niegdyś ideę maleńkiej istotki, tak zwanego Demona Maxwella. Demon miał siedzieć w pudełku i sortować molekuly powietrza, które poruszały się wewnątrz z najróżniejszymi przypadkowymi prędkościami, na prędkie i powolne. Prędkie molekuly miały oczywiście więcej energii. Jeśliby zgromadzić je w jednym miejscu, otrzyma się region o wyższej temperaturze. Taką różnicę temperatur wewnątrz pudła można wykorzystać do skonstruowania prostego silnika, a ponieważ Demon siedział sobie tylko i sortował, do napędu urządzenia nie trzeba było żadnej pracy z zewnątrz. Naruszało się w ten sposób drugie prawo termodynamiki, otrzymując coś z niczego, tak jak w perpetuum mobile.

– Sortowanie to nie praca? – roześmiała się Edypa. – Niech pan tak powie na poczcie, a dadzą panu młotkiem w głowę, wsadzą do worka i wyślą do Fairbanks na Alasce nawet bez nalepki „nie rzucać”.

– To praca umysłowa – wyjaśnił Koteks – nie zaś praca w sensie fizycznym czy termodynamicznym.

Przeszedł do objaśniania, skąd bierze się w maszynie najprawdziwszy Demon Maxwella. Trzeba się było tylko wpatrywać w fotografię Maxwella na pudle i koncentrować na jednym z cylindrów, lewym albo prawym. Na życzenie Demon podnosi w nim temperaturę, powietrze rozszerza się i popycha tłok. Najlepsze rezultaty daje popularna fotografia wydana przez Towarzystwo Krzewienia Wiedzy Chrześcijańskiej, która przedstawia prawy profil Maxwella.

Starając się nie poruszać głową, Edypa rozejrzała się wokół siebie zza ciemnych okularów. Nikt nie zwracał na nich uwagi: klimatyzacja mruczała w najlepsze, grzechotały maszyny do pisania marki IBM, piszczały obrotowe krzesła, z hukiem zatraskiwano grube tomy dokumentacji, zwijano i rozwijano chrzęszczące płachty światłokopii.

Nad głowami wesoło jaśniały długie błyszczące świetlówki – wszystko w Yoyodyne wyglądało raczej zwyczajnie. Wszystko, oprócz miejsca, gdzie stała Edypa, która mogąc wybrać kogokolwiek z tysiąca innych ludzi, przez nikogo nie zmuszana, wstąpiła w krąg obłędu.



– Oczywiście nie każdy potrafi napędzać maszynę – tłumaczył dalej Koteks rozgrzany tematem. – Tylko ludzie z odpowiednim darem. „Wrażliwi”, jak ich nazywa John.

Edypa zsunęła szkła na nos i zatrzepotała rzęsami, licząc, że za pomocą kokieterii skieruje rozmowę na ciekawszy tor.

– Myśli pan, że byłabym taka „wrażliwa”?

– Naprawdę chce pani spróbować? Proszę do niego napisać. John zna tylko kilku wrażliwych, na pewno da pani spróbować.

Edypa wyjęła notes i otworzyła go na znaku przerysowanym ze ściany i słowach: *Czy mam wyświecić świat?*

– Skrzynka 573 – podyktował Koteks.

– W Berkeley.

– Nie. – Coś zmieniło się w jego głosie. Podniosła wzrok, może zbyt gwałtownie, a Koteks, niesiony bezwładnością myśli, dodał: – W San Francisco. W Berkeley nie ma... – I w tym momencie wiedział już, że popełnił błąd. – Mieszka gdzieś przy Telegraph Avenue – wymamrotał. – Dałem pani zły adres.

Postanowiła zaryzykować.

– Więc nie można już pisać przez ŚMIETNIK?

Ale wymówiła to jak zwykłe słowo, śmietnik. Twarz Koteksa stężała.

– Chodzi o Ś.M.I.E.T.N.I.K., proszę pani, o taki skrótowiec, nie: śmietnik, a w ogóle najlepiej zmienmy temat.

– Widziałam taki napis w damskiej ubikacji – wyznała.

Jednak Stanley Koteks nie dawał się już złapać na słodkie miny.

– Proszę o tym zapomnieć – doradzał. Otworzył jakąś księgę i przestał zwracać na Edypę uwagę.

Oczywiście nie miała najmniejszego zamiaru zapomnieć o tej sprawie.

Koperta, na której Koteks bazgrał znak, utożsamiany już przez Edypę ze ŚMIETNIKIEM, przysłała bez wątpienia od Johana Nefastisa albo kogoś podobnego. Podejrzenia Edypy wzbudzał zwłaszcza Mike Fallopian z Towarzystwa Petera Pinguida.

– Jasne, że ten twój Koteks należy do jakiegoś podziemia – powiedział jej sam Fallopian kilka dni później. – Może jest to podziemie czubków, ale przecież łatwo zrozumieć ich rozgoryczenie. W szkole przechodzą, jak my wszyscy, pranie mózgów, i zaczynają wierzyć w mit Amerykańskiego Wynalazcy; Morse’a z tym jego telegrafem, Bella od telefonu, Edisona z żarówką, Toma Swifta z czym tam jeszcze. Co człowiek, to wynalazek. Potem nagle, kiedy dorastają, okazuje się, że muszą zrzec się swoich praw i sprzedać je potworowi w rodzaju Yoyodyne. Grzęzną w jakimś „projekcie” albo „grupie działania”, albo dla odmiany w „zespolu problemowym” i giną w ogólnej anonimowości. Nikt nie żąda od nich wynalazków, mają tylko grać jakiś epizod w projektanckim rytuale, z góry ułożonym w myśl odpowiedniej instrukcji. Co za przyjemność, Edypo, być samotnym pośród koszmaru? Jasne, że będą się garnąć do siebie, utrzymywać kontakty. Zawsze poznają, kiedy natrafiają na swego, nawet jeśli zdarza się to raz na pięć lat.

Metzger, który wybrał się tego wieczora do „Ekranu”, chciał się sprzeczać.

– Twoja prawicowość wpędza cię w lewactwo – zaprotestował. – Jak możesz być przeciwko wielkim przedsiębiorstwom, które odbierają robotnikom prawa do patentów? Brzmi to, kolego, jak cała ta teoria wartości dodatkowej, a to, co mówisz, trąci Marksem.

Im bardziej stawali się pijani, tym wyraźniej degenerował się ich typowy dla Południowej Kalifornii dialog. Edypa siedziała ponura i osamotniona. Do wizyty w „Ekranie” skłoniła ją nie tylko rozmowa z Koteksem, ale także inne objawienia, które zdawały się łączyć w pewną strukturę, mającą związek z pocztą i doręczaniem listów.

Na drugim brzegu laguny Fangoso, na przykład, stał historyczny monument z brązu. W tym miejscu, głosiła tablica, dwunastu ludzi z poczty Wells, Fargo stoczyło dzielny bój z

grupą zamaskowanych napastników w tajemniczych czarnych mundurach. Wieść o walce zawdzięczamy kurierowi pocztowemu, jednemu ocalałemu świadkowi tej masakry, który zmarł niedługo później. Jediną wskazówką jest krzyż nakreślony na piasku przez jedną z ofiar. Po dziś dzień tożsamość napastników okrywa tajemnica.

Krzyż? A może początkowa litera „T”? Ta sama, którą wyjął Niccolo w *Tragedii kuriera*? Edypa rozważała przez pewien czas taką myśl.

Potem zadzwoniła z budki do Randolpha Driblette’a, chcąc sprawdzić, czy wiedział o sprawie Wells, Fargo; może dlatego kazał swoim zbirom ubrać się na czarno? Sygnał telefonu rozbrzmiewał w pustce. Odwiesiła słuchawkę i pojechała do antykwariatu Zapfa. Kiedy weszła do środka, sam Zapf wychynął z bladego stożka iluminacji, jaką rzucała piętnastowatowa żarówka, by pomóc jej odnaleźć na półce książkę, o której mówił Driblette, *Barokowe tragedie zemsty*.

– Ostatnio ciągle ktoś o nią pyta – zauważył Zapf.

Czaszka spoglądała na nich z okładki w przyćmionym świetle.

Czy miał na myśli tylko Driblette’a? Otworzyła usta, żeby zapytać, ale się powstrzymała. Miało to być pierwsze z wielu podobnych wahań.

Wróciwszy do „Dworu Echo” – Metzger wyjechał na dzień do Los Angeles w pilnej sprawie – natychmiast odczytała jedyną wzmiankę o Trysteru. Obok, na marginesie, ktoś napisał ołówkiem: „Patrz wariant z wyd. 1687”. Pewnie jakiś student. Pocieszyło to trochę Edypę: inna wersja linijki mogła pomóc lepiej oświetlić mroczne oblicze tego słowa.

W myśl krótkiej przedmowy, tekst zaczerpnięto z nie datowanego wydania in folio. Zdziwiająca, ale przedmowa była anonimowa. Edypa spojrzała na stronę tytułową i stwierdziła, że wydanie broszurowe to przedruk antologii pt. *Sztuki Forda, Webstera, Tourneura i Wharfingera*, wydanej przez Lectern Press w Kalifornii jeszcze w roku 1957. Nalała sobie pół szklanki Jacka Daniela (poprzedniego wieczora Paranoicy zostawili przed ich drzwiami świeżą butelkę) i zadzwoniła do biblioteki w Los Angeles. Nie mieli tam oryginalnego wydania, ale mogli je sprowadzić przez sieć międzystanową.

– Chwileczkę – przerwała Edypa, bo przyszedł jej do głowy pewien pomysł. – Przecież wydawnictwo ma siedzibę w Berkeley. Spróbuję załatwić to bezpośrednio u nich.

Pomyślała, że przy okazji odwiedzi Johna Nefastisa.

Obelisk z brązu zauważyła tylko dzięki temu, że któregoś dnia umyślnie pojechała jeszcze raz nad jezioro Inverarity’ego, powodowana czymś, co nazwać by można obsesyjnym dążeniem, żeby „dać coś z siebie” – nawet, gdyby tym czymś była sama tylko obecność – rozsypisku przedsięwzięć, które przeżyły Pierce’a. Edypa chciała nadać im porządek, ustanowić konstelacje. Zaraz następnego dnia pojechała do Domu Vesperhavena – domu opieki dla najstarszych obywateli, który wybudował Pierce mniej więcej w tym samym okresie, kiedy do San Narciso wprowadziły się zakłady Yoyodyne. W sali wypoczynkowej, do której słońce wpadało ze wszystkich stron naraz – takie wrażenie odniosła Edypa – przed telewizorem, gdzie wyświetlano filmy rysunkowe Leona Schlesingera drzemał jakiś staruszek. Po różowej, pełnej łupieżu rozpadlinie, jaką tworzył jego przedziałek, spacerowała tam i sam wielka czarna mucha. Naraz do sali wpadła gruba pielęgniarka z pojemnikiem owadobójczego aerozolu i wrzasnęła na muchę, by ją spłoszyć i móc ją w ten sposób zabić. Cwana mucha nie chciała się ruszyć z miejsca.

– Nękaż pana Thotha – krzyczała pielęgniarka na małą istotkę.

Thoth wzдрыgnął się i przebudził, strząsając muchę, która dała rozpaczliwego nura w stronę drzwi. Za nią pomknęła pielęgniarka, rozpylając truciznę.

– Dzień dobry – odezwała się Edypa.

– Śnił mi się mój dziadek – rzekł Thoth i uśmiechnął się do niej. – Bardzo stary człowiek, mniej więcej tak samo, jak ja teraz, dziewięćdziesiąt jeden lat. Kiedy byłem chłopcem, myślałem, że dziadek zawsze miał dziewięćdziesiąt jeden lat, a teraz – kche, kche – sam się

czuję, jakbym całe życie miał tyle samo. Jakie historie opowiadał dziadunio, ho, ho! Był kurierem pocztowym w Pony Express w latach gorączki złota. Pamiętam jeszcze, że jego koń nazywał się Adolf.

Edypa, od dawna wyczulona i pamiętająca o monumencie z brązu, uśmiechnęła się do staruszka jak najmilsza wnuczka i zapytała:

– Czy walczył też z napastnikami?

– Mój okrutny dziadunio – zaczął wspominać Thoth – uwielbiał mordować Indian. Boże mój, ilekroć wspominał o mordowaniu czerwonoskórych, ślina płynęła mu ciurkiem. Musiał kochać swoją robotę.

– A co się panu śniło?

– Och, tamto. – Był zakłopotany. – Pomieszało mi się to dokładnie z filmem o Tłustej Świnie. – Wskazał na telewizor. – Włazi człowiekowi w sny, głupie pudło. Zna pani może tamten film o Tłustej Świnie i Anarchiście!

Znała, ale się nie przyznała.

– Anarchista jest cały w czerni, w ciemności widać mu tylko oczy. Film jest jeszcze z lat trzydziestych, kiedy Tłusta Świnia była malutka. Dzieci mi mówiły, że występuje teraz razem z bratankiem, Cicerem. Och, a pamięta pani, jak w czasie wojny Tłusta Świnia pracowała w zakładach zbrojeniowych? Razem z Królikiem Bugsem. Ten też był dobry.

– W czerni – przypomniała mu Edypa.

– Pomieszało mi się z Indianami. – Wytężył pamięć. – Cały sen. Ci Indianie nosili czarne pióra i nie byli Indianami. Tak mówił dziadek. Pióra były białe, ale ci fałszywi Indianie palili kości i czernili pióra węglem. Przez to było ich widać w nocy, bo zjawiali się tylko nocą. Dziadunio, pokój jego duszy, poznawał po tym, że to nie Indianie. Normalni czerwonoskórzy nigdy nie atakowali nocą, bo gdyby zginęli, ich dusze na zawsze błąkałyby się w ciemnościach, poganie.

– Jeżeli nie Indianie, to kto? – zapytała Edypa.

– Eee, mieli taką nazwę. – Thoth zmarszczył czoło. – Hiszpańską czy może meksykańską. Ech, nie pamiętam. – Sięgnął po stojący obok fotela koszyk do robótek, wyjął kilka motków niebieściutkiej wełny, druty, wzory, na końcu matowozłoty sygnet. – Dziadek odciął go razem z palcem zabitego napastnika. Wyobraża pani sobie? Dziewięćdziesiąt jeden lat i taki brutal!

Edypa spojrzała. Znak na sygnecie przedstawiał symbol ŚMIETNIKA.

Rozejrzała się, przerażona wlewającym się przez wszystkie okna słońcem, jak gdyby została uwięziona we wnętrzu skomplikowanego kryształu i wyrzekła:

– O mój Boże.

– Czuję go czasami, w niektóre dni, kiedy jest odpowiednia temperatura – odezwał się Thoth. – I dobre ciśnienie, wie pani? Czuję wtedy, że jest blisko mnie.

– Pana dziadek?

– Nie. Mój Bóg.

Musiała znaleźć Fallopiana. Powinien wiedzieć coś o Pony Expressie i Wells, Fargo, jeśli pisał o nich książkę. Istotnie pisał o pocztach, ale nie o ich mrocznych przeciwnikach.

– To prawda – przyznał. – Natrafiłem na pewne aluzje. Napisałem nawet do Sacramento w sprawie tego pomnika z brązu, ale tam wszystko ginie w bagnie biurokracji i historia wlecze się miesiącami.

Kiedyś pewnie odezwą się i wskażą jakiś tekst źródłowy, coś w stylu: „Starzy ludzie jeszcze pamiętają, jak...”, czegokolwiek by to dotyczyło. Wspaniałą mają dokumentację w tym kalifornijskim szambie. Starzy ludzie! Założę się, że autor relacji nie będzie już żył. Nie jestem w stanie śledzić takich tropów, pomaga tu jedynie zbieg okoliczności, przypadkowa korelacja, jak to twoje spotkanie ze staruszką.

– Naprawdę myślisz, że jest tu jakaś zbieżność?

Uświadomiła sobie kruchość domysłu, siwy włos długi na ponad stulecie. Dwaj starcy. Dzieliły ją od prawdy wszystkie obumarłe komórki mózgowe...

– Ci napastnicy. Bez imion, bez twarzy, ubrani na czarno. Najprawdopodobniej najemnicy rządu federalnego. Rząd zawsze stosował brutalne represje.

– Nie mogła to być konkurencyjna poczta? Fallopian wzruszył ramionami. Edypa pokazała mu znak ŚMIETNIKA. Powtórzył gest.

– Widziałam go w damskiej toalecie, Mike. Tutaj, w „Ekranie”.

– Kobiety – rzekł tylko. – Kto wie, co im się roi w głowach.

Gdyby Edypa przeczytała kilka poprzednich linijek *Tragedii kuriera*, sama potrafiłaby dostrzec następną korelację. Tak się złożyło, że dopomógł jej w tym Genghis Cohen, najbardziej poważany filatelista na całym obszarze Los Angeles. W myśl postanowień testamentu Metzger ustalił z tym miłym, mówiącym trochę przez nos ekspertem, że ten – za określony procent wartości – dokona wyceny i sporządzi katalog kolekcji znaczków Inverarity’ego.

W pewien deszczowy poranek, kiedy Metzger znów gdzieś wyjechał, z basenu parowała mgła, a Paranoicy znikli z powodu jakiejś sesji nagraniowej, Genghis Cohen zadzwonił do Edypy. Nawet przez telefon poznała, że jest zdenerwowany.

– Wystąpiły pewne nieprawidłowości, pani Maas – zaczął. – Czy byłaby pani skłonna przyjechać?

Jadąc po śliskiej autostradzie, nabrała pewności, że wszelkie „nieprawidłowości” będą miały związek ze słowem Trystero. Kiedy tydzień wcześniej Metzger odwoził impalą Edypy wyjęte z sejfu klasery do Cohena, Edypa nie miała ochoty nawet na nie spojrzeć. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak gdyby podszeptął jej to deszcz, że Cohen może wiedzieć o prywatnych kurierach to, czego nie wiedział Fallopian.

Drzwi do mieszkania-biura otwarły się i Edypa ujrzała Genghisa Cohena na końcu długiego szeregu czy też ciągu pokoiów, które jeden za drugim oddalały się w kierunku Santa Monica, wszystkie jednakowo spowite deszczowym światłem. Genghis Cohen cierpiał na atak kataru siennego; poza tym miał do połowy rozpięty rozporek. Dla dopełnienia całości ubrany był w koszulkę z portretem Barry’ego Goldwatera.

Edypa z miejsca poczuła się jak matka. Cohen posadził ją na bujaku w trzecim z kolei pokoju i przyniósł w małych kieliszkach prawdziwe domowe wino z mleczy.

– Zbierałem te mleczce na cmentarzu, dwa lata temu. Teraz cmentarza już nie ma, zlikwidowano go przy budowie wschodniego pasma Autostrady San Narciso.

Edypa nauczyła się już rozpoznawać takie sygnały, podobnie jak epileptycy poznają kolor, woń albo przeszywającą na wskroś nutę, które obwieszczają atak. Później pamięta się tylko sygnał, nieważny jak świeckie zwiastowanie, nigdy zaś to, co przychodzi podczas ataku.

Edypa zastanawiała się, czy i ona, kiedy już się to wszystko skończy (jeżeli się skończy), nie będzie musiała się zadowolić jedynie wspomnieniem poszlak, spotkań, zwiastowania, wszystkiego, oprócz głównej prawdy, która jest zbyt jasna, by mogła ją zatrzymać pamięć; pamięć która za każdym razem przeświecła, niszcząc utrwalony wizerunek, ukazując jedynie puste miejsce po powrocie w normalny świat. Przełykając wino, Edypa uświadomiła sobie, że nigdy się nie dowie, ile razy przeżyła już taki atak ani też jak go zatrzymać w pamięci, kiedy znów przyjdzie. Może nawet w tej ostatniej sekundzie – lecz jak to poznać. Spojrzała na amfiladę deszczowych pokoiów i po raz pierwszy spostrzegła, jak łatwo byłoby się tu zgubić.

– Pozwoliłem sobie – mówił Cohen – skontaktować się z Komitetem Ekspertów. Nie zapoznałem jeszcze komitetu z budzącymi moje wątpliwości znaczkami, oczekując na upoważnienie od pani... i oczywiście od pana Metzgera. Jednakże nie myślę się chyba, sądząc, że wszystkie opłaty z tego tytułu zostaną pokryte z masy spadkowej.

– Niezupełnie pana rozumiem – przerwała Edypa.

– Proszę pozwolić – przysunął mały stolik i delikatnie wyjął z plastikowego folderu

znaczek poczty USA, wydanie upamiętniające rocznicę Pony Express z 1940 roku, trzycentowa brunatna henna. Ze stemplem. – Proszę popatrzeć.

Włączył niedużą, silną lampę i wręczył Edypie owalne szkło powiększające.

– Odwrócone napisy – zauważyła.

Cohen zwilżył znaczek benzyną i położył go na czarnej tacce.

– Znak wodny.

Edypa wyteżyła wzrok. Oto znów widziała znak ŚMIETNIK, czarny i wyraźny, trochę na prawo od środka znaczka.

– Co to takiego? – zapytała, zastanawiając się, ile czasu upłynęło.

– Nie jestem pewien – odrzekł Cohen. – Dlatego właśnie zwróciłem się do Komitetu Ekspertów w sprawie tego znaczka i pozostałych. Niektórzy z moich przyjaciół również odnotowali podobne przypadki, lecz wszyscy są powściągliwi w komentarzach. A co sądzi pani o tym?

Z tego samego plastikowego folderu wyjął coś, co wyglądało na stary niemiecki znaczek, z cyframi 1/4 pośrodku, słowem „freimarke” u góry i biegnącym wzdłuż prawego marginesu napisem Thurn und Taxis.

– Tacy prywatni kurierzy, prawda? – przypomniała sobie sztukę Wharfingera.

– Od roku 1300, aż do czasu, kiedy Bismarck wykupił ich w roku 1867, najlepsza poczta w Europie. Jest to jeden z ich niewielu znaczków samoprzylepnych. Ale proszę spojrzeć tutaj, na narożniki. – W każdym rogu znaczka widniała zakręcona trąbka pocztowa, prawie identyczna, jak ta w znaku ŚMIETNIKA. – Trąbka pocztowa – wyjaśnił Cohen – symbol Thurn i Taxis. Należał do ich herbu.

*I milczy złota trąbka zapętlona*, przypomniała sobie Edypa. Pewnie.

– Tamten znak wodny – odezwała się – jest prawie identyczny, oprócz tego czegoś, co wychodzi z trąbki.

– Może wyda się to pani zabawne – odrzekł Cohen. – Ale ja sądzę, że jest to tłumik.

Przytaknęła. Czarne stroje, milczenie, tajemnica. Kimkolwiek byli ci ludzie, ich celem było stłumienie dźwięku trąbki Thurn i Taxis.

– Te wydania nie mają nigdy znaków wodnych – ciągnął Cohen. – Ponadto w świetle innych szczegółów: perforacji, liczby ząbków, sposobu starzenia się papieru, widać, że mamy do czynienia z fałszywką. Nie chodzi o zwykły znaczek z błędem.

– Jest więc bezwartościowy?

Cohen uśmiechnął się i wysmarkał nos.

– Zdziwi się pani, ile można obecnie dostać za dobre fałszerstwo. Niektórzy zbieracze specjalizują się w nich. Pytanie brzmi: kto to zrobił? Przecież to kowalska robota. – Wyłowił inny znaczek i podał go Edypie końcem pincety. Na obrazku jeździec z Pony Express wyjeżdżał z bramy fortu na Dalekim Zachodzie. Z zarośli po prawej stronie wystawało pochylone w kierunku jeźdźca, starannie wygrawerowane czarne pióro. – Kto umieścił tu rozmyślny błąd? – zapytał Cohen, ignorując wyraz twarzy Edypy, o ile w ogóle dostrzegł. – Znalazłem już osiem podobnych. Na każdym znaczku jest błąd, starannie wkomponowany w całość, niczym kpina. Mamy też literówkę, zamiast Poczta USA, Poczta UFA.

– Sprzed jak dawna? – wyrwało się Edypie głośniejszym głosem, niż było trzeba.

– Czy coś się stało, pani Maas?

Opowiedziała o liście od Mucha z nadrukiem polecającym zgłaszać obsceniczne listy glistonoszowi.

– Dziwne – przyznał Cohen. Zajrzał do notesu. – Literówka widnieje na znaczku czterocentowym z Lincolnem, wydanie zwykle 1954. Inne fałszywki datują się wstecz aż do 1893 roku.

– Ponad siedemdziesiąt lat – zdziwiła się. – Ten fałszerz musi już być dość stary.

– Jeżeli to wciąż ten sam człowiek. Może sprawa ma tyle samo lat co Thurn i Taxis?

Omedio Tassis po wypędzeniu go z Mediolanu zorganizował pierwszych kurierów w rejonie Bergamo około 1290 roku.

Siedzieli w milczeniu, słysząc jak deszcz głośno przeżuwa pustkę u drzwi, okien i świetlików, zapatrzeni w olśniewającą możliwość.

– Czy znane są podobne przypadki? – postanowiła zapytać.

– Falszerstw z osiemsetletnią tradycją? O ile wiem, to nie.

Edypa opowiedziała więc o panu Thocie i jego sygnecie, o znaku, który bazgrał Stanley Koteks i trąbce pocztowej z tłumikiem na ścianie toalety w „Ekranie”.

– Czymkolwiek jest to coś – prawie nie musiał tego dodawać – chyba wciąż prowadzi ożywioną działalność.

– Może powinniśmy zawiadomić rząd?

– Jestem pewien, że wiedzą tam więcej od nas. – Głos Cohena był nerwowy i spłoszony. – Nie, nie sądzę. Ostatecznie to nie nasza sprawa, prawda?

Zapytała jeszcze o skrót Ś.M.I.E.T.N.I.K., ale było już za późno. Cohen wymknął się, zaprzeczył, jakoby cokolwiek wiedział, zresztą w fazie tak niezgodnej z myślami Edypy, że mógł nawet kłamać. Nalał jej jeszcze wina.

– Jest teraz bardziej klarowne – odezwał się dość oficjalnym tonem. – Kilka miesięcy temu mocno zmętniało. Na wiosnę, kiedy kwitną mleczce, wino przechodzi pewną fermentację. Jak gdyby wciąż pamiętało.

Nie, smutno pomyślała Edypa. Jak gdyby wciąż istniał tamten cmentarz, gdzieś w innej krainie, gdzie można chodzić pieszo i nie potrzeba wschodniego pasma Autostrady San Narciso, tam gdzie kości spoczywają w spokoju, piastując duchy mleczcy i gdzie nikt ich nie wyorze. Jak gdyby zmarli wciąż jeszcze żyli, choćby tylko w butelce wina.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Chociaż następnym posunięciem Edypy powinno być ponowne spotkanie z Randolphem Driblette'em, zamiast tego zdecydowała, że pojedzie do Berkeley. Chciała się dowiedzieć, z jakiego źródła zaczerpnął informacje o Trysteru Richard Wharfinger. Może także sprawdzić, w jaki sposób odbiera listy wynalazca John Nefastis.

Tak jak Mucho wówczas, kiedy Edypa opuszczała Kinneret, tak teraz Metzger nie wydawał się zrozpaczony jej wyjazdem. Jadąc na północ zastanawiała się, czy wpaść do domu już teraz, czy dopiero w drodze powrotnej. W końcu przegapiła zjazd z autostrady do Kinneret, co rozwiązało sprawę. Wóz przeciągnął z pomrukiem wzdłuż wschodniego brzegu zatoki, wspiął się na wzgórze Berkeley i około północy zatrzymał przed rozłożystym hotelem, zbudowanym na wielu poziomach i wyłożonym ciemnozielonymi dywanami, hotelem pełnym zakręcających korytarzy i ozdobnych kandelabrow. Napis w hallu głosił: WITAMY ZLOT KALIFORNIJSKIEGO STOWARZYSZENIA GŁUCHONIEMYCH. W hotelu paliły się wszystkie światła, rażąco jaskrawe; cały budynek spowijała prawie namacalna cisza. Wyrwany ze snu recepcjonista wyskoczył zza lady i począł dawać Edypie znaki w alfabecie głuchoniemych. Przez chwilę miała ochotę pokazać mu wała, żeby zobaczyć, jak tamten zareaguje. Miała jednak za sobą cały dzień nieprzerwanej jazdy i poczuła nagle ogromne zmęczenie. Przez idealnie ciche korytarze, zakręcające łagodnie jak ulice San Narciso, zaprowadzono ją do pokoju z reprodukcją obrazu Remedios Varo na ścianie. Zasnęła od razu, ale co jakiś czas się budziła, dręczona koszmarnym widziadłem w lustrze na skos od łóżka. Nic określonego, co posiadałoby kształt, jedynie pewna możliwość... Kiedy wreszcie zapadła w sen, śniła, że kocha się z Muchem na miękkiej białej plaży, jakiej nie ma w żadnym znanym jej zakątku Kalifornii. Kiedy rano się obudziła, siedziała wyprostowana na łóżku, wpatrując się w odbitą w lustrze własną zmęczoną twarz.

Wydawnictwo Lectem Press mieściło się w małym biurówcu na Shattuck Avenue. Nie mieli tam na składzie *Sztuk Forda, Webstera, Tourneura i Wharfingera*, ale przyjęli od niej czek na 12,5 dolara i dali adres magazynu w Oakland razem z paragonem. Było już popołudnie, kiedy Edypa dostała wreszcie książkę do ręki. Przerzuciła stronicę, by odnaleźć linijkę, która ją tu sprowadziła. I nagle, w blasku sączącego się przez liście słońca, zamarła. Święta sieć gwiazd nie uratuje tego – brzmiał dwuwiersz – kto raz wszedł w drogą groźnemu Angelo.

– Nie – zaprotestowała na głos. – „Kto raz skierował swój trop ku Trysteru”. – Notatka ołówkiem w tamtej pierwszej książce wzmiankowała istnienie innego wariantu. Ale przecież wydanie miało być wiernym przedrukiem! Zaskoczona spostrzegła, że również i w tym wydaniu jest przypis:

Brzmienie wersu wg wydania *in quarto* (1687). We wcześniejszym *in folio* w miejscu, gdzie powinna znajdować się ta linijka, matryca została rozmyślnie zalana ołowiem. D'Amico przypuszcza, że Wharfinger mógł tam umieścić obraźliwe porównanie dotyczące którejś z dworskich osobistości i że późniejsze uzupełnienie jest jedynie dziełem drukarza, Inigo Barfstable'a. Budząca wątpliwości „wersja z Whitechapel” (ok. 1670) podaje natomiast: *bystry starodawny gniew znać, o Niccolo*, co nie tylko burzy rytm poprzednich wersów, lecz także narusza składnię całego fragmentu, chyba że zgodzimy się z przekonywającą, choć jednocześnie dość oryginalną tezą J. K. Sale'a, że linijka ta to w rzeczywistości kalambur słów *by trysteru dawny gniew znać, o Niccolo*. Należy jednak zaznaczyć, że i przy takiej interpretacji tekst pozostaje niejasny, jako że trudno wskazać znaczenie słowa „tryster” – chyba że potraktuje się je jako pseudowłoski wariant słowa „triste” (= zdeprawowany, występny).

Jednakże „wersja z Whitechapel”, oprócz tego, że jest jedynie fragmentem sztuki, roi się od równie niejasnych i najprawdopodobniej zafałszowanych miejsc i nie może być uważana za wiarygodne źródło.

Skąd w takim razie wytraścię liniijkę o Trysteru w kieszonkowym wydaniu od Zapfa, zastanowiła się Edypa. Czy oprócz *in quarto, in folio* i tego „Whitechapel” istnieje jeszcze inne wydanie? Przedmowa do tekstu – tym razem podpisana, przez niejakiego Emorye’go Bortza, profesora anglistyki z Uniwersytetu Kalifornijskiego, nie wzmiankowała istnienia innych wersji. Edypa jeszcze przez godzinę studiowała resztę przypisów, ale nic nie znalazła.

– O, szlag! – wrzasnęła, wsiadła w samochód i ruszyła w stronę miasteczka akademickiego w Berkeley, chcąc znaleźć profesora Bortza.

Niestety, zapomniała o dacie wydania książki: 1957. Inny świat.

Sekretarka na anglistyce powiedziała jej, że Bortz nie pracuje już na tym wydziale. Uczy teraz w San Narciso College w San Narciso, Kalifornia.

Jasne, pomyślała kwaśno, Edypa, gdzieżby indziej? Przepisała adres profesora i wysłała, usiłując przypomnieć sobie, gdzie wydano książkę, którą kupiła u Zapfa. Nie potrafiła.

Było lato, środek tygodnia, południe, żaden ze znanych Edypie studenckich ośrodków nie powinien kipieć życiem. Ten jednak kipiał.

Szła w dół od Wheeler Hall, potem przez Sather Gate na plac, który wrzał od dzinsów i sztruksu, gołych nóg, blond włosów i okularów w rogowych oprawkach, lśniących w słońcu rowerowych szprych, toreb na skrypty, chwiejnych stolików do gry, z których dyndały petycje długie do ziemi plakatów podpisanych przez nieodgadnione FMSy, YAFy i VDC, browaru w budce, studentów pogrążonych w toczonych nos w nos zażartych dyskusjach. Edypa szła z grubą książką pod pachą, przyciągana przez tłum, niepewna i obca, pragnąca znaleźć tu swoje miejsce, lecz jednocześnie świadoma, ilu wymagałoby to poszukiwań w gąszczu alternatywnych wszechświatów. Sama odebrała wykształcenie w innych, nerwowych czasach, w okresie, kiedy regułę, nie tylko pośród jej kolegów, ale też w całej strukturze wokół nich i przed nimi, stanowiły serwilizm i bierność – taki był bowiem narodowy odruch obronny wobec pewnych patologicznych zjawisk na szczytach władzy, które tylko śmierć mogła uleczyć; współczesne Berkeley nie było ani trochę podobne do sennego Siwash, jakie pamiętała sama, i przypominało raczej uczelnie Dalekiego Wschodu i Południowej Ameryki, o których krążą legendy, owe autonomiczne media kulturowe, gdzie można drwić z najukochańszych miejscowych tradycji, głosić katastroficzne poglądy dysydentów, wybierać najbardziej samobójcze przekonania – uczelnie, za sprawą których upadają rządy. Edypa jednak, przecinając Bancroft Way razem z jasnowłosymi dziećmi oraz mruczącymi hondami i suzuki, słyszała wokoło angielski. Mowę Amerykanów. Dokąd odeszli sekretarze James i Foster, gdzie jest senator Joseph, wszystkie poczciwe, skretyniałe bóstwa, które matkowały spokojnej młodości Edypy? Są już w innym świecie; wszyscy oni poszli innym szlakiem, wzdłuż innego ciągu powziętych decyzji, zwrotnic przerzuconych przez bezimiennych zwrotniczych, przemienieni teraz, opuszczeni, siedzący w pudle, umykający przed wierzyicielami, zbzikowani do reszty, biorący prochy, rozpici, sfanatyzowani, ukryci pod pseudonimami, martwi, nie do odnalezienia. Jednakże zdołali przedtem przemienić Edypę w istotę niezwykłą, niezdolną może do udziału w demonstracjach i strajkach okupacyjnych, ale jakąż mistrzynię, gdy chodzi o śledzenie dziwacznych słów w siedemnastowiecznych tekstach.

Zatrzymała impalę przy stacji benzynowej na szarej Telegraph Avenue i sprawdziła w książce telefonicznej adres Johna Nefastisa.

Potem znalazła dom, blok w stylu pseudomeksykańskim, odszukała nazwisko wynalazcy na jednej z oficjalnych skrzynek pocztowych, wspięła się po skarpie, omijając stopnie i przeszła wzdłuż szeregu pozasłanianych okien. Wreszcie trafiła do właściwych drzwi. Nefastis był ostrzyżony na jeża i podobnie jak Koteks robił wrażenie niedorostka, ale ubrany



był w barwną koszulę przedstawiającą sceny rodzajowe z Polinezji, pochodzącą jeszcze z czasów prezydentury Trumana.

Wyjaśniła, kim jest, powołując się na Stanleya Koteksa.

– Mówił, że potrafi pan sprawdzić, czy jestem „wrażliwa”.

Nefastis oglądał właśnie w telewizji nastoletni damski balecik tańczący jakieś Watusi.

– Lubię młody towar – wyjaśnił. – Takie świeże sztuki mają coś w sobie.

– Mój mąż myśli tak samo – przytaknęła. – Rozumiem.

John Nefastis, *simpatico*, posłał jej promienny uśmiech i przydźwigał z warsztatu w głębi mieszkania swoją maszynę.

Wyglądała dokładnie tak, jak opisywał patent.

– Pani już wie, jak to działa?

– Stanley wyjaśnił mi mniej więcej...

Ku zaskoczeniu Edypy, Nefastis zaczął opowiadać o jakiejś entropii.

Słowo to utkwilo mu w głowie tak głęboko jak Edypie słowo „Trystero”.

To, co mówił, wydało się jednak Edypie zbyt techniczne. Zrozumiała tylko, że istnieją dwa rodzaje entropii. Jedna jej postać dotyczy maszyn cieplnych, druga przekazu informacji. Jeszcze w latach trzydziestych zauważono, że równania przedstawiające oba rodzaje entropii wyglądają prawie identycznie. Był to przypadek: obie dziedziny nie miały żadnych punktów wspólnych, oprócz jednego – Demona Maxwella. Kiedy Demon siedział i sortował molekuly gazu na zimne i gorące, cały system tracił ponoć energię. Jej zanik był w jakiś sposób powodowany przez informację, którą zdobywał Demon.

– Kluczem jest właśnie komunikacja – zachłysnął się Nefastis. – Demon przekazuje dane wrażliwemu, a wrażliwy musi z kolei sam odpowiadać. W takiej skrzynce znajdują się miliardy molekuł gazu. Demon gromadzi dane o wszystkich co do jednej, a potem porozumiewa się na jakimś głębokim poziomie psychiki. Wrażliwy zostaje porażony całą tą masą energii i musi w sprzężeniu zwrotnym oddać taką samą ilość informacji, żeby kółka mogły się kręcić. Żeby utrzymać obieg. My, laicy, potrafimy jak dobrze pójdzie dostrzec poruszający się tłok. Nieznaczny ruch, za którym kryje się cała wielka masa informacji, niszczonej wciąż i wciąż za każdym posunięciem tłoka.

– Pomocy – wyrwało się Edypie. – To do mnie nie dociera.

– No więc, powiedzmy, że entropia to taka figura stylistyczna – westchnął Nefastis. – Metafora. Łączy świat termodynamiki ze światem przepływu informacji. Maszyna istnieje w obu światach naraz. Dzięki Demonowi metafora jest nie tylko piękna, ale jeszcze prawdziwa w sposób obiektywny.

– A co będzie – poczuła się jak heretyk – co będzie, jeżeli założymy, że Demon istnieje tylko dlatego, że równania są podobne? Tylko dzięki metaforze?

Nefastis uśmiechnął się tylko: niewzruszony, spokojny, wierny wyznawanej prawdzie:

– Dla Clerka Maxwella Demon istniał na długo przed powstaniem metafory.

Ale czy Clerk Maxwell upierał się, z równym fanatyzmem, że Demon naprawdę istnieje? Przyjrzała się fotografii na pudle. Przedstawiała ona Clerka Maxwella z profilu, jak gdyby nie chciał spojrzeć Edypie w oczy.

Jego czoło było wypukłe i gładkie, a na potylicy sterczał mu dziwny guz, częściowo zakryty kędzierzawymi włosami. Widoczne na zdjęciu oko było łagodne i beztróskie, lecz skąd Edypa mogła wiedzieć, jakie szaleństwa, kryzysy i nocne koszmary mogą się jeszcze kryć w zacienionych zakamarkach ust ukrytych pod bujną brodą.

– Proszę popatrzeć na fotografię – poinstruował ją Nefastis – i skoncentrować się na cylindrze. Proszę się nie obawiać. Jeśli jest pani wrażliwa, sama pani pozna, na którym z tych dwóch. Proszę otworzyć umysł i przygotować się na przyjęcie tego, co przekaże Demon. Zaraz tu wrócę.

Znów usiadł przed telewizorem, w którym wyświetlano teraz filmy rysunkowe. Edypa

przesiedziała dwa Misie Yogi, jeden film z Gorylem Magillą i jeden z Wally Gatorem, wciąż wpatrując się w enigmatyczny profil Clerka Maxwella i czekając na objawienie się Demona.

Czy jesteś tam, istotko, pytała Demona Edypa, czy też Nefastis zwyczajnie mnie nabiera? Nikt się tego nie dowie, chyba że poruszy się tłok w maszynie. Na fotografii nie było widać rąk Clerka Maxwella.

Mógł w nich trzymać książkę. Spoglądał w dal, wpatrzony w perspektywę wiktoriańskiej Anglii, świat, który przeminął na zawsze.

W Edypie narastał lęk. Zdawało jej się, że twarz na fotografii zaczyna się leciutko, pod wąsem uśmiechać. Również w oczach Maxwella coś się wyraźnie zmieniło...

A tam, na granicy wzroku: czy tłok po prawej stronie nie poruszył się odrobinę? Nie mogła tam spojrzeć, zmuszona koncentrować się na twarzy Maxwella. Mijały minuty, oba tłoki trwały w miejscu.

Z telewizora dobiegały komiczne, piskliwe głosiki. To, co widziała przedtem, było tylko drgnięciem na siatkówce oka, omyłką komórki nerwowej. Czy prawdziwi wrażliwi widzą więcej? Poczwała jak w trzewiach rośnie jej lęk, coraz większy lęk, że nic się nie stanie. Też się mam czym martwić, pomyślała, Nefastis to czubek, nie trzeba się nim przejmować, gość na wariackich papierach. Prawdziwi „wrażliwi” dzielą z nim te same halucynacje, to wszystko.

Jak cudownie byłoby móc je dzielić. Próbowwała jeszcze przez piętnaście minut, powtarzając w myślach: jeżeli tam jesteś, kimkolwiek jesteś, ukaż się, daj mi się zobaczyć, potrzebuję cię. Nic się jednak nie stało.

– Przepraszam – zawołała, co dziwniejsze bliska łez z rozczarowania. – Nie mogę.

Nefastis podszedł i objął ją ramieniem.

– Już dobrze – zamruczał. – Nie trzeba płakać. Chodźmy na kanapę, zaraz będzie dziennik. Możemy właśnie tam.

– Co możemy? – Edypa podskoczyła. – Co takiego możemy?

– Odbyć stosunek płciowy – odrzekł Nefastis. – Może dzisiaj znów będą mówić o Chinach. Lubię to robić, kiedy mówią o Wietnamie, ale Chiny są jeszcze lepsze. Pomyśleć tylko, ilu jest tych Chińczyków. Jak się roją... Jaka obfitość życia. Zaraz człowiek nabiera ochoty, co?

– Że jak? – krzyknęła Edypa, zrywając się z miejsca, a Nefastis pobiegł za nią przez rząd ciemnych pomieszczeń, strzelając palcami w superluzackim stylu, „nie, to nie, malutka”, który bez wątpienia również podpatrzył w telewizji.

– Ukłony dla Stanleya – zawołał za nią. Zastukała obcasami po schodach, narzuciła chustkę na tablicę rejestracyjną i ruszyła z piskiem opon przez Telegraph Avenue. Gnała ślepo przed siebie i dopiero, kiedy szybki chłopak w nowym mustangu, widać niezdolny powściągnąć świeżego dla siebie poczucia męskości, jakie dawało mu auto, omal jej nie zabił, zorientowała się, że jest na autostradzie, która prowadzi ją prosto na most nad Zatoką. Była godzina szczytu. Widowisko przeraziło Edypę, która dotąd myślała, że taki wielki ruch możliwy jest tylko w Los Angeles albo jeszcze dalej. Kiedy po kilku minutach patrzyła już na San Francisco z najwyższego punktu wygiętego w łuk mostu, ujrzała smog. Mgłę, poprawiła się zaraz, nie smog, tylko mgłę, skąd smog zaczyna się o wiele dalej na południe. Teraz wrażenie musiał widocznie sprawiać kąt padania słońca.

Pośród spalin, potu, oślepiającego blasku i wściekłości popołudnia na amerykańskiej autostradzie Edypa Maas roztrząsała problem Trystero. Nawet cisza San Narciso – gładka powierzchnia basenu w motelu, zatopione w kontemplacji kontury ulic podobne do bruzd w piasku japońskiego ogrodu nie pozwalały jej na taką swobodę myśli jak owo szaleństwo autostrady.

Wedle Johna Nefastisa (by się posłużyć niedawnym przykładem) dwie różne entropie, informacyjna i termodynamiczna, upodabniały się do siebie – powiedzmy, że przez przypadek – kiedy zestawilo się ich równania. Dla Nefastisa elementem, który nadawał temu

przypadkowi znaczenie był Demon Maxwella.

Tymczasem Edypa miała przed sobą metaforę złożoną z Bóg wie ilu części, z pewnością więcej niż dwóch. Gdziekolwiek spojrzeła, rozkwitały wokół najdziwniejsze przypadki, ale łączyło je tylko jedno słowo: Trystero.

Wiedziała już trochę, co oznacza. Po pierwsze, Trystero zwalczało europejski system pocztowy Thurn i Taxis; jego symbolem była trąbka pocztowa z tłumikiem; około 1853 roku pojawiło się w Ameryce, walcząc z kurierami Pony Express i Wells, Fargo w przebraniu Indian albo w czarnych strojach. Istnieje aż po dziś dzień w Kalifornii, pozwalając się porozumiewać ludziom o dewiacjach seksualnych, wynalazcom, którzy wierzą w Demony Maxwella, może nawet jej mężowi, Mucho (ale list dawno wyrzuciła i Genghis Cohen nie mógł sprawdzić znaczka, jeśli więc chciała się upewnić, musiała sama zapytać Mucha).

Albo Trystero istniało, albo były to jedynie przypuszczenia i fantazje Edypy, powstałe w wyniku jej obsesji na tle dziedzictwa zmarłego.

Dopiero tu, w San Francisco, z daleka od krętych tropów testamentu, Edypa mogła liczyć na to, że cały problem przestanie istnieć i rozwieje się we mgle. Powinna tylko powłóczyć się trochę po mieście, przez pewien czas dryfować i przekonać się ostatecznie, że wszystkiemu winne są po prostu nerwy, że jest to najwyżej rutynowa sprawa dla psychoterapeuty. Zjechała z autostrady przy North Beach, krążyła chwilę ulicami, wreszcie zatrzymała wóz w stromym zaułku wciśniętym między magazyny. Ruszyła pieszo po Broadwayu w pierwszym wieczornym tłumie.

Nie minęła nawet godzina, kiedy Edypa znów ujrzała znak trąbki pocztowej z tłumikiem. Idąc ulicą pełną podstarzałych playboyów w drogich garniturach, zderzyła się z hałaśliwą wycieczką, która wytaczała się z mikrobusu marki volkswagen, by poznać nocne życie San Francisco. – Może pani to przypnie – szepnął ktoś Edypie do ucha – bo ja się zmywam. – Zorientowała się naraz, że ktoś przypina jej na piersi, niby kretynce, wielką wiśniową plaketkę z tekstem HEJ, JESTEM ARNOLD SNARB I CHCĘ SIĘ DZIŚ ZABAWIĆ! Edypa rozejrzała się i ujrzała cherubinkowatą twarz Arnolda Snarba, który zniknął już pomiędzy marynarkami i pasiastymi koszulami ulicy, chcąc zabawić się jeszcze lepiej.

Ktoś gromko zadął w gwizdek i popędził Edypę wraz ze stadem ludzi z podobnymi plaketkami w stronę baru o nazwie „Na Greka”. O nie, jęknęła Edypa, tylko nie do pedałów; przez minutę usiłowała się wyrwać z ludzkiej fali, ale przypomniała sobie, że przecież miała dzisiaj dryfować.

– A teraz do śródeczka – popędzał ich przewodnik. Pot ściekał mu za kołnierz ciemnymi mackami. – Ujrzą tam państwo przedstawicielei trzeciej płci, lawendowych chłopców, z których tak słynie owo piękne miasto nad zatoką. Dla niektórych z państwa przeżycie to może wydać się nieco, hmm, niezwykle, ale proszę pamiętać, żeby nie zachowywać się jak zwykła gromada turystów. Jeżeli ktoś zacznie was podrywać, wiadomo, że to tylko zabawa, typ życia płciowego, jaki dominuje w pobliżu sławnej North Beach. Wchodzimy, dwie kolejki, a kiedy usłyszycie gwizdek, będzie to znaczyło: powstać, w dwuszeregu przed barem zbiórka. Jeżeli będziecie grzeczni, pojedziemy potem do „Finnocia” – dmuchnął dwa razy w gwizdek, a turyści z wrzaskiem radości runęli przez drzwi baru, pociągając za sobą Edypę. Kiedy już wszystko się uspokoiło, odkryła, że siedzi niedaleko drzwi, ściskając w dłoni szklankę z niezidentyfikowanym napojem, przyduszona do wysokiego faceta w zamszowej marynarce. W jego kłapie zamiast wiśniowej plaketki tkwiła odznaka na szpilce przedstawiająca trąbkę pocztową Trystero, wygiętą kunsztownie z matowego, jasnego stopu.

Z tłumikiem i całą resztą.

Dobrze, pomyślała Edypa, przegrałaś. Mężna próba trwała aż godzinę. Należało teraz wyjść i wrócić do hotelu. Nie mogła.

– Co by pan zrobił – zwróciła się do właściciela odznaki – gdyby się okazało, że jestem agentką Thurn i Taxis?

– Agentką czego? – zdziwił się. – To jakaś agencja teatralna? – Miał wielkie uszy, włosy ostrzyżone prawie na zero, trądzik na twarzy i dziwnie puste oczy, które prześliznęły się prędko po piersiach Edypy. – Skąd pani wytrzasnęła takie nazwisko, jak Arnold Snarb?

– Powiem, jeśli pan mi powie, skąd ta odznaka.

– Och, nieważne.

Próbowała wciągnąć go w rozmowę:

– Jeżeli to jakiś znak homoseksualistów, może mi pan powiedzieć, mnie to nie przeszkadza.

Jego oczy wciąż milczały:

– Nie bawię się z facetami – i dodał: – Z babami zresztą też nie.

Pokazał jej plecy i zamówił coś do picia. Edypa odpięła plakietkę, wrzuciła ją do popielniczki i odezwała się, niezbyt głośno, nie chcąc okazać hysterii:

– Przepraszam, ale musi mi pan pomóc. Bo chyba zwariuję.

– Masz dziwny strój, jak na ten lokal, Arnold. Idź się zwierzać księdzu.

– Korzystam z rządowej poczty, bo nigdy nie słyszałam o innej – powiedziała błagalnie. – Nie jestem waszym wrogiem, nie chcę być.

– A przyjacielem? – Okręcił się na stołku, znów zwracając się do niej twarzą. – Chcesz nim być, Arnold?

– Nie wiem – wołała się nie deklarować.

Spojrzał na nią bez wyrazu.

– A co wiesz?

Opowiedziała mu wszystko. Dlaczego nie? Niczego nie ukryła. Kiedy skończyła, gwizdek dawno już wezwał turystów do odmarszu, a nowy znajomy dokupił do trzech kolejek Edypy jeszcze dwie.

– Słyszałem o tej „Kirby” – odezwał się. – To kryptonim, nie żadna prawdziwa osoba. O reszcie nie słyszałem, ani o miłośniku Chińczyków z Berkeley, ani o tamtej makabrycznej sztuce. Nie wiedziałem, że coś się z tym wiąże.

– Nie mogę myśleć o niczym innym – poskarżyła się.

– Poza tym – poskrobał szczecinę na głowie – nie masz komu tego opowiedzieć. Najwyżej nieznajomemu w barze, co?

Nie chciała spojrzeć mu w oczy.

– Żebyś wiedział.

– Nie masz męża, psychoterapeuty?

– Mam, ale... Oni nie wiedzą.

– Nie możesz im powiedzieć?

Wzruszyła ramionami, decydując się przez chwilę wytrzymać pustkę w oczach mężczyzny.

– Opowiem ci tyle, ile sam wiem – postanowił. – Odznaka, którą noszę, oznacza, że jestem członkiem AI, to znaczy Anonimowych Inamorati. Inamorato to ktoś zakochany. Najgorszy rodzaj nałogu.

– Zaraz, powiedzmy, że ktoś jest o krok od zakochania – wtrąciła Edypa. – Idziecie do niego, siadacie i tłumaczycie, że nie warto?

– Mniej więcej. Pomysł polega na tym, żeby doprowadzić samego siebie do stanu, w którym nie jest to już potrzebne. Ja miałem szczęście, wcześniej udało mi się uwolnić, ale uwierz mi, znam sześćdziesięcioletnich facetów, kobiety nawet starsze, którzy w nocy budzą się z yciem.

– Czy robicie sesje, jak Anonimowi Alkoholicy?

– Nie, oczywiście, że nie. Dostajesz numer telefonu i możesz zadzwonić po kogoś. Nikt nie zna nazwisk, masz tylko ten numer na wypadek, gdybyś sama nie dawała już sobie rady. Jesteśmy wszyscy odizolowani, Arnold, sesje by wszystko popsuły.

– A ta osoba, która do ciebie przychodzi? Powiedzmy, że się w niej zakochasz?

– Ludzie zawsze się zmieniają – wyjaśnił. – Nigdy nie spotyka ich się powtórnie. Centrala rozsyła ich i pilnuje, żeby nie powtarzali wizyt.

Skąd wzięła się trąbka pocztowa? Trop prowadził do czasów, kiedy powstawało towarzystwo. Na początku lat sześćdziesiątych pewien mieszkający pod Los Angeles urzędnik z koncernu Yoyodyne, zajmujący w systemie korzeniowym korporacji miejsce ponad inspektorem, lecz poniżej wiceprezesa, w wieku trzydziestu dziewięciu lat został wylany z pracy przez komputer, który zastąpił człowieka na tym stanowisku. Ponieważ nasz urzędnik od przedszkola karmiony był eschatologią wskazującą drogę wyłącznie ku prezydenturze USA lub śmierci, wytrenowano go zaś tylko w podpisywaniu specjalistycznych dokumentów, których nie rozumiał, i do brania odpowiedzialności za galopujący amok specjalistycznych przedsięwzięć, które wciąż robiły klapę z przyczyn drobiazgowo potem objaśnianych urzędnikowi przez specjalistów, pierwsze myśli faceta dotyczyły, rzecz jasna, samobójstwa. Jednakże dotychczasowa nauka nie poszła w las: urzędnik nie potrafił podjąć tej decyzji bez zasięgnięcia opinii ekspertów. Umieścił więc w „Los Angeles Times” ogłoszenie, wzywając wszystkich, którym zdarzyła się kiedyś podobna sytuacja, by podali przyczyny i argumenty, jakie zapobiegły samobójstwu. Facet uczynił bystre założenie, że ponieważ autentyczni samobójcy nie mogą mu już odpowiedzieć, wszystkie dane, które otrzyma, będą ważne. Założenie było fałszywe. Cały tydzień mężczyzna obserwował skrzynkę na listy przez małą japońską lornetkę, którą dostał na pożegnanie od żony (rzuciła go nazajutrz po tym, jak dostał wymówienie), ale nie przychodziło nic oprócz codziennej porcji reklamówek dla frajerów.

Pewnego dnia uparte walenie do drzwi wyrwało go z pijackiego, czarno-białego snu, w którym skakał ze szczytu drapacza chmur na zatłoczoną samochodami ulicę. Było późne niedzielne popołudnie.

Otworzył drzwi i ujrzał w nich starego włóczęgę w marynarskiej czapce na głowie, który zamiast dłoni miał żelazny hak. Włóczęga wręczył mu paczkę listów i odszedł bez słowa. Większość listów pochodziła od samobójców, którym nie udało się odebrać sobie życia z powodu własnej niezręczności albo tchórzostwa. W żadnym z listów były urzędnik nie znalazł argumentów za pozostaniem przy życiu. Wciąż jednak się wahał: przez następny tydzień wypisywał w kolumnach z nagłówkami „pro” i „contra” dane potrzebne mu do powzięcia decyzji.

Okazało się jednak, że przeważać może tylko czynnik z zewnątrz.

Któregoś dnia urzędnik ujrzał na pierwszej stronie „Timesa” fotografię Associated Press przedstawiającą buddyjskiego mnicha z Wietnamu, który według zamieszczonej informacji podpalił się, protestując przeciwko polityce rządu. „Bomba!” – wykrzyknął urzędnik i pobiegł do garażu. Spuścił ze zbiornika buicka całą benzynę, włożył najlepszy zielony garnitur firmy Zachary Ali, wepchnął do kieszeni marynarki wszystkie listy od niedoszłych samobójców, usiadł na podłodze w kuchni i oblał się benzyną. Miał właśnie po raz ostatni pstryknąć wierną zapalniczką zippo, z którą przewędrował żywopłoty Normandii, Ardeny, Niemcy i powojenną Amerykę, kiedy usłyszał głosy i obracanie klucza w drzwiach frontowych. Nadeszła jego żona z jakimś mężczyzną, którego wkrótce rozpoznał jako tego samego eksperta od racjonalizacji zatrudnienia w zakładach Yoyodyne, który spowodował zastąpienie go maszyną IBM 7094. Ubawiony ironią sytuacji, usiadł w kuchni i nasłuchiwał, wciąż mocząc krawat w benzynie niczym lont. Rychło się zorientował, że racjonalizator ma zamiar odbyć z jego żoną stosunek płciowy na marokańskim dywanie w salonie. Żona nie oponowała.

Urzędnik dosłyszał lubieżne śmiechy, odgłos rozsuwanych zamków błyskawicznych, stukanie butów o podłogę, jęki i sapanie. Wyciągnął krawat z benzyny i zaczął się śmiać. Zamknął także zapalniczkę.

– Słyszę śmiech – odezwała się w salonie jego żona.

- Czuję benzynę – dodał racjonalizator. Nadzy pospieszyli do kuchni.
- Chciałem jak ten buddyjski mnich – wyjaśnił im urzędnik.

Racjonalizator był zachwycony.

– Patrz, potrzeba mu było prawie trzech tygodni, żeby podjąć decyzję. Wiesz, ile czasu potrzebowałby IBM 7094? Dwunastu mikrosekund! Nic dziwnego, że musiałeś wylecieć – zwrócił się do urzędnika, który słysząc to odrzucił głowę do tyłu i ryczał ze śmiechu przez bite dziesięć minut. Nie czekając, aż skończy, żona i jej przyjaciel zaniepokojeni ubrali się i pobiegli na policję. Urzędnik się rozebrał, wziął prysznic i powiesił garnitur na sznurze do przeschnięcia.

Zauważył przy tym coś dziwnego: znaczki na niektórych listach w kieszeni marynarki pobielaly. Domyślił się, że to benzyna rozpuściła farbę drukarską. Od niechcienia odkleił znaczek i nagle ujrzał na nim znak wodny, wizerunek trąbki pocztowej z tłumikiem, przez który przeświecała jego własna skóra. „Znak” – wyszeptał – „to znak”. Gdyby był choć trochę religijny, padłby pewnie na kolana. Wyrzekł jednak tylko z wielką powagą: „Moim największym błędem była miłość. Przysięgam, że od dziś kończę z nią w jakiegokolwiek formie, hetero-, homo-, czy bi-, z miłością do psa, kota, samochodu. Koniec. Założę towarzystwo oddanych tej sprawie samotników, a ów znak, ukazany mi przez tę samą benzynę, która miała mnie zniszczyć, będzie naszym symbolem”. I tak też uczynił.

Edypa, mocno już pijana, zapytała:

– Co się z nim teraz dzieje?

– Ukrywa się – wyjaśnił anonimowy inamorato. – Jeżeli masz ochotę, napisz do niego przez ten cały ŚMIETNIK. List zaadresuj: Założyciel Anonimowych Inamorati.

– Ale ja nie wiem, jak to się robi.

– Pomyśl – ciągnął, tak samo pijany. – Istnieje gdzieś całe wielkie podziemie niedoszłych samobójców. Wszyscy utrzymują kontakt przez tajny system pocztowy. Ciekawe, co piszą.

Potrząsnął głową z uśmiechem, chwycił ze stołka i poszedł się odlać, znikając w gęstym tłumie. Nie wrócił już.

Edypa została na miejscu, samotna jak nigdy dotąd. Była jedyną kobietą w barze pełnym zawianych pederastów. Historia mojego życia, zreflektowała się. Mucho nie chce się do mnie odzywać, Hilarius nie chce słuchać, Clerk Maxwell nawet na mnie nie spojrział, a ci tutaj, Bóg wie. Ogarnęła ją rozpacz, jak w sytuacjach, gdy nie można już liczyć na nikogo z ludzi wokół nas. Uczucia ludzi obok niej oscyływały od gwałtownej nienawiści (chłopak o hinduskiej urodzie, prawie nastolatek, z włosami do ramion, przyprószonymi siwizną i w butach kowbojskich) do chłodnej kalkulacji (typ w rogowych okularach o gębie esesmana, który gapił się na jej nogi, próbując zgadnąć, czy jest przebrany mężczyzną). Nic dobrego. Wstała więc po chwili i wyszła z baru „Na Greka”, znów wkraczając do miasta, zarzonego miasta.

Przez resztę nocy wciąż odnajdywała wizerunek trąbki pocztowej z tłumikiem. Najpierw dostrzegła znak w Chinatown, w ciemnej wystawie sklepu zielarskiego, pośród chińskich ideogramów. Uliczne światło było jednak słabe. Potem natknęła się na dwie trąbki, narysowane kredą na chodniku o kilka metrów od siebie. Pomiedzy wizerunkami widniała skomplikowana sieć kwadratów, z których część była pusta, część z cyframi. Dziecięca gra? Miejsce na mapie? Daty z tajnej historii? Przerysowała znaki do notesu. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła stojącą na rogu postać, chyba w czarnym garniturze.

Mężczyzna mógł ją obserwować. Był chyba odwrócony plecami, ale wołała nie ryzykować. Ruszyła z powrotem, czując głuche uderzenia pulsu. Na następnym rogu zatrzymywał się właśnie autobus, wskoczyła do środka.

Odtąd trzymała się autobusów, wysiadając tylko od czasu do czasu, żeby odpędzić senność. Dręczące ją fragmenty snów łączyły się wszystkie ze znakiem trąbki pocztowej. Gdyby musiała posortować zdarzenia tej nocy na prawdziwe i wyśnione, miałyby spory kłopot.

Podczas kolejnego z niezliczonych pasaży w dźwięcznej partyturze nocy zrozumiała wreszcie, że jest bezpieczna, że coś, może po prostu jej zacierający się już linearnie stan upicia, czuwa nad nią. Miasto było jej własnością jak nigdy przedtem, kiedy jeszcze wygładzały je tradycyjne słowa i obrazy (kosmopolityzm, kultura, tramwaje); mogła swobodnie dotrzeć do najdalszych naczyń krwionośnych metropolii, nawet gdyby miały to być kapilary tak wąskie, że umiałyby tam tylko zajrzeć, albo odgałęzienia splatające się razem w ohydne municypalne liszaje widoczne dla wszystkich oprócz turystów. Tej nocy nic nie mogło jej dotknąć, nic nie dotknęło. Wystarczyło samo powtarzanie się znaków, powtarzanie przy nieobecności urazów psychicznych, które mogłyby złagodzić wrażenie Edypy czy wyszarpnąć je z pamięci. Chciano, by pamiętała. Spoglądała na taką możliwość tak, jak się patrzy z wysokiego balkonu na zabawkową ulicę, na jazdę kolejką napowietrzną, na karmienie drapieżników w ZOO: jak postrzega się każdą pokusę śmierci, którą można urzeczywistnić jednym minimalnym gestem. Pole psychiczne, którego krawędzi dotykała, było piękniejsze od tamtych marzeń; ani siła grawitacji, ani prawa balistyki, ani żarłoczność bestii nie potrafiłyby przynieść więcej radości. Edypa myślała o tym, drżąc cała: mam więc pamiętać. Każdy ślad, na który natrafiała, posiadał z góry określoną jasność, szansę urzeczywistnienia.

Edypa zawahała się jednak: być może podobne do klejnotów ślady były tylko formą rekompensaty, mającą wynagrodzić Edypie to, że zgubiła bezpośrednio, epileptyczne Słowo, krzyk, który mógłby rozjaśnić noc.

W parku Golden Gate natknęła się na krąg dzieci w piżamkach.

Dzieci wyjaśniły zaraz, że ich spotkanie jest snem. Jednakże sen ten nie różnił się od jawy, gdyż rankiem, kiedy się budziły, były zmęczone, jak gdyby nie spały całą noc. Kiedy matki myślały, że dzieci bawią się na podwórkach, malcy ukrywali się w szafach sąsiadów, na platformach, w koronach drzew, w kryjówkach wyciętych w gąszczu żywopłotów, kulili się i zasypiali, odsypiając nocne godziny. Noc nie budziła w nich wcale lęku. Wewnątrz kręgu dzieci rozpalili wyimaginowany ogień. Nie potrzebowały niczego oprócz własnego niezgłębionego poczucia wspólnoty. Słyszały o trąbce pocztowej, ale nic im nie mówiły kredowe pola gry, które Edypa widziała na chodniku. Używa się tylko jednego obrazka, powiedziała Edypie dziewczynka, i tylko do gry w skakankę: wskakuje się kolejno do pętli i trapezu, a koleżanki wyliczają:

Tristo, Tristo, raz – i – dwa!

Turla się taxi zza – mo – rza!

– Chyba Thurn i Taxis?

Nigdy o czymś takim nie słyszały. Znów zaczęły grzać dłonie przy niewidzialnym ognisku. W odwecie Edypa przestała wierzyć w realność dzieci.

W otwartej na okrągło meksykańskiej garkuchni przy 24 Ulicy Edypa odnalazła fragment własnej przeszłości w osobie niejakiego Jezusa Arrabala. Arrabal siedział w kącie lokalu przed telewizorem, mieszając udkiem kurczaka mętną zupę w talerzu.

– Cześć – przywitał Edypę. – Ty jesteś ta dama z Mazatlan.

Kiwnął jej, by usiadła.

– Wszystko pamiętasz, Jezus – zdziwiła się. Nawet turystów. Jak tam twoje CIA?

Był to skrót od nazwy nie tej organizacji, o której myślicie, ale meksykańskiej tajnej Conjuracion de los Insurgentes Anarquistas, której początki sięgały braci Flores Magon, a która później była przez pewien czas sprzymierzona z Zapata.

– Jak widzisz. Na emigracji. – Zatoczył ręką po sali. Był współwłaścicielem lokalu, do spółki z Jukatańczykiem, który wierzył jeszcze w rewolucję. Ich rewolucję. – A ty? Ciągłe jesteś z tym gringo, co to wydawał na ciebie tyle forsy? Z tym objawieniem, oligarchistą?

– Nie, umarł.

– Pobrecito.

Jezusa Arrabala spotkali wtedy z Pierce'em na plaży, gdzie Jezus chciał zorganizować wiec antyrządowy. Nikt nie przyszedł i anarchista musiał się zadowolić dyskusją z Inveraritym, wrogiem, którego trzeba poznać, żeby wierniej służyć sprawie. Pierce, który zawsze pozostawał idealnie neutralny, ilekroć stykał się z nieprzyjawnymi uczuciami, nie miał Arrabalowi nic do powiedzenia; tak doskonale grał bogatego, tępego gringo, że Edypa dostrzegła pojawienie się na ramionach anarchisty gęszej skórki, i to wcale nie z powodu oceanicznej bryzy.

Kiedy Pierce się od nich oddalił, aby napawać się surfingiem, Arrabal zapytał, czy jego rozmówca to ktoś prawdziwy, czy może szpieg albo ktoś, kto chce zrobić z niego balona. Edypa nie zrozumiała.

– Przecież wie pani, czym jest objawienie. Nie tym, o czym pisał Bakunin. To wtrącenie się innego świata w ten nasz. Przeważnie współistniejemy spokojnie, ale czasem oba światy stykają się i następuje kataklizm. Podobnie jak znienawidzony Kościół, również i my, anarchiści, wierzymy w tamten świat. Rewolucje wybuchają tam spontanicznie i bez przywódców, a właściwa duszom pokora pozwala masom współdziałać bez wysiłku, automatycznie, niczym jedno ciało. Gdybym jednak, *señá*, miał kiedyś coś takiego zobaczyć, pierwszy krzyknąłbym: cud! Cud anarchistów. Pani przyjaciel ucieleśnia w sposób zbyt doskonały, zbyt pełny, wszystko, z czym walczymy. Każdy meksykański *privilegiado* może być mimo wszystko, w jakimś skończonym procencie, zbawiony: nie jest częścią cudu, tylko człowiekiem. Ale pani przyjaciel, jeśli nie robi mnie w konia, jest dla mnie tak samo przerażający jak Niepokalana Dziewica ukazująca się Indianom.

Edypa pamiętała Jezusa przez te wszystkie lata, gdyż potrafił on dostrzec u Pierce'a to, co umknęło przedtem jej uwadze. Było to trochę tak, jak gdyby istniała między nimi jakaś, oczywiście wyzuta z seksu, rywalizacja. Teraz, pijąc letnią kawę z glinianego garnuszka stojącego na tylnym palniku kuchenki Jukatańczyka, słuchała Jezusa opowiadającego o konspiracji i zastanawiała się, czy gdyby nie doping, jakim był dla niego uniesiony w pamięci obraz Pierce'a, Jezus dawno już nie rzuciłby swego CIA i nie przeszedł, śladem innych, do większościowych *priistas*, co uchroniłyby go od konieczności emigracji.

Tak jak przedtem Demon Maxwella, tak tutaj postać zmarłego łączyła przypadkowe elementy w całość. Bez Pierce'a ani Edypa, ani Jezus nie znaleźliby się dokładnie tu i teraz. W myśli tej czaiło się zaszyfrowane ostrzeżenie. Czy tej nocy cokolwiek było dziełem przypadku? Zaraz też napotkała wzrokiem zwinięty w rulon numer dawnej gazety anarchosyndykalistów „Regeneracion”. Gazeta nosiła datę 1904, a zamiast znaczka na opasce narysowano trąbkę pocztową.

– Przychodzą pocztą – odezwał się Arrabal. – Czy tak długo szły? Może dostają je zamiast jakiegoś zmarłego aktywisty? Po sześćdziesięciu latach? A może to kopie prawdziwych gazet? Zresztą, próżne pytania. Jestem zwykłym piechurkiem w wielkiej armii, a wyższe szarże mają swoje racje.

Edypa uniosła tę myśl ze sobą, znów zanurzając się w noc. Nie zaczepiana przez nikogo, szła plażą miejską długo po zamknięciu ostatnich budek z pizzą i salonów gry. Otaczał ją obłok młodocianych chuliganów w letnich kurteczkach, którzy mieli wyszyte na plecach srebrną nicią trąbki pocztowe, lśniące w świetle księżyca, jakby były z prawdziwego srebra. Wszyscy palili coś, wdychali, wstrzykiwali sobie i być może wcale nie dostrzegali Edypy.

Potem jechała autobusem pełnym wymęczonych Murzynów, którzy podążali na nocne zmiany w różnych zakątkach miasta. Na oparciu siedzenia zobaczyła wydrapaną napis, błyszczący w zadymionym, jasnym wnętrzu: znak trąbki pocztowej i słowo TRUP. Jednakże tym razem ktoś zadał sobie trud, żeby napisać obok ołówkiem: Trąbka Rychło Ukróci Protesty.

Niedaleko Fillmore natknęła się na znak trąbki przyszpilony do tablicy ogłoszeń w pralni samoobsługowej, pośród świstków reklamujących tanie prasowanie i opiekunki do dzieci.



Jeśli wiesz, co to znaczy, mówiła kartka, wiesz gdzie możesz zapytać o więcej. Zapach chloru unosił się wokół Edypy jak kadzidło. Maszyny pralnicze warczały i chlupotały dziko. Oprócz Edypy nie było we wnętrzu nikogo.

Lampy jarzeniowe krzyczały jaskrawą bielą, której podporządkowane było wszystko w tym wnętrzu. Pralnia leżała w murzyńskiej dzielnicy.

Czy Trąbka temu właśnie służyła? Czy zapytać o to oznaczałoby podnieść Protest? I kogo mogła zapytać?

Jeżdżąc całą noc autobusami, słuchała w tranzystorach piosenek z najniższych miejsc Listy 200 Przebojów, tych, które nigdy nie miały zdobyć popularności, których słowa i melodie przepadały tak, jak gdyby nigdy ich nie zaśpiewano. Młoda Meksykanka słuchała ich i mruczała melodie mimo głuszącego je szumu silnika, rysując paznokciem na zaporowanej szybie trąbki pocztowe i serduszka.

Na lotnisku, dokąd zajechała, wciąż czując się niewidzialna, Edypa podglądała grupę pokerzystów. Ten, który raz za razem przegrywał, czysto i sumiennie zapisywał każdą straconą sumę w małym notesie z trąbkami pocztowymi nabazgranymi na okładce.

– Jeśli wyciągnąć średnią, wraca do mnie zawsze 99,375% tego, co tracę, kochani. – Inni gracze patrzyli na niego, jedni obojętnie, drudzy ze złością. – Zawsze brak mi tego ułamka procentu, żeby wyjść na swoje. Jest to średnia z dwudziestu trzech lat. Dwadzieścia trzy lata. Nigdy już sobie tego nie odbiję. Czemu z tym nie skończę? – Nikt nie odpowiadał.

W jednej z toalet znalazła elektryzujące ogłoszenie ACDC (skrót oznaczał Alameda County Death Cult, Kult Śmierci Okrągłego Alameda) razem z numerem skrzynki pocztowej i znakiem trąbki. Raz na miesiąc grupa ta wybierała sobie ofiarę spośród niewinnych, cnotliwych, zintegrowanych i społecznie przystosowanych osób, najpierw wykorzystując je seksualnie, a potem mordując. Edypa nie przepisała numeru.

Jakiś chłopak o nieskoordynowanych ruchach łąpał właśnie lot TWA do Miami. Planował wśliznąć się w nocy do tamtejszych akwariów i rozpocząć negocjacje z delfinami, które w przyszłości miały zająć miejsce człowieka na Ziemi. Na pożegnanie wpił się matce w usta.

– Napiszę, mamó – powtarzał.

– Pisz przez ŚMIETNIK – radziła mu jeszcze. – Pamiętaj. Rząd otworzy listy, jak napiszesz normalnie. Delfiny będą wściekle.

– Kocham cię, mamó – odrzekł.

– Kochaj delfiny – doradzała. – Pisz przez ŚMIETNIK.

Tak to szło. Edypa wciąż bawiła się w podglądacza i podsłuchiacza.

Wśród ludzi, których napotykała, był spawacz z okaleczoną twarzą, chlubił się swoją brzydotą; straszące w nocy dziecko, które żałowało, że nie umarło przed narodzeniem, tak jak niektórzy włóczędzy żałują, że nie uczestniczą w usypiającej martwocie życia społeczności; Murzynka z marmurkowaną blizną na tłusciutkim policzku, która wciąż, za każdym razem z innego powodu, przechodziła przez rytuały poronień tak spokojnie, jak inne kobiety przechodzą przez rytuały porodów: kobieta oddana nie ciągłości, lecz swego rodzaju interregnum; starzejący się nocny portier, smakujący kostkę mydła toaletowego, który wyćwiczył żołądek do wirtuozerii w przyjmowaniu wszystkiego od lakieru do włosów, przez dezodoranty, kosmetyki, tytoń, aż po pastę do butów, w beznadziejnym wysiłku, by wchłonąć w siebie, co się tylko da, wszystkie obietnice, nadzieje, zdrady i wrzody, zanim będzie za późno; Edypa napotkała nawet innego podglądacza, który zaglądał do martwo oświetlonych okien miasta, szukając tam któż wie jakich wizerunków. Każdemu wygnaniu, każdej alienacji towarzyszyła, w postaci spinki, znaczka czy nabazgranego znaku, trąbka pocztowa.

Edypa tak się przyzwyczaiła do jej obecności, że być może nie widziała jej aż tak często, jak jej się zdawało. Dwa albo trzy razy też byłoby dosyć. Albo wręcz za dużo.

Jeździła autobusami lub chodziła, owładnięta niezwykłym u niej fatalizmem. Gdzież podziela się tamta Edypa, która tak dzielnie przybyła tu z San Narciso? Gdzie podział się

pełen optymizmu dzieciak, który zjawił się niczym prywatny detektyw z dawno zapomnianych słuchowisk radiowych i który wierzył, że wystarczy tylko hart, pomysłowość i wzgarda dla przepisów, wiążących zwykłych gliniarzy, żeby rozwiązać każdą zagadkę.

Lecz prywatny detektyw zawsze, prędzej czy później, musi dostać kopa. Rojące się pośród nocy trąbki pocztowe, ich rozmyślne i złośliwe powielanie się, były takim właśnie kopem dla Edypy. Tamci znali jej czułe punkty, gruczoły optymizmu, i raz za razem, cios za ciosem, potęgowali jej paraliż.

Poprzedniego wieczora nie wiedziała, jakie podziemne organizacje porozumiewają się przez ŚMIETNIK. Rankiem mogła już śmiało zapytać, które podziemia jeszcze go nie znały. Jeżeli, jak postulował przed laty na plaży Mazatlan Jezus Arrabal, istnieją cuda, ingerencje obcego świata w ten nasz, pocałunki kosmicznych kul bilardowych, takim właśnie cudem była każda z widzianych w ciągu nocy trąbek pocztowych. Edypa ujrzała Bóg wie ilu obywateli, którzy rozmyślnie nie korzystają z usług amerykańskiej poczty. Nie miał to być akt zdrady ani nawet rebelia. Po prostu wykalkulowane, rozmyślne odejście z życia Republiki, wycofanie się z jej maszynerii. Czegokolwiek by tam ludziom odmówiono, za sprawą nienawiści, obojętności na ich głos, dla wybiegu albo wskutek ignorancji, oni mieli jeszcze w zanadrzu inną możliwość: mogli odejść, wycofać się, zacząć żyć w sposób niepubliczny, ukryty, własny. Ponieważ nie mogli wycofać się w pustkę (a może mogli?), musiał dla nich zaistnieć oddzielny, milczący, nieoczekiwany świat.

Zaczynała się już poranna godzina szczytu, kiedy Edypa wysiadała z przypadkowego wozu, którego sędziwy kierowca każdej nocy łebkował po ustalonej trasie i nigdy nie potrafił wyjść na swoje. Była w centrum miasta, na Howard Street. Ruszyła w kierunku Embarcadero. Wiedziała, że wygląda strasznie: kostki palców czarne od rozmazanego tuszu do rzęs i mascary, w ustach stęchły posmak kawy i alkoholu. Przez otwarte drzwi domu noclegowego ujrzała na schodach, które wiodły w cuchnący lizolem półmrok, jakiegoś starca trzęsącego się w niepojętej rozpacz. Białymi jak dym dłońmi zakrywał twarz. Na grzbiecie jego lewej dłoni Edypa ujrzała wytatuowaną trąbkę pocztową. Atrament tatuażu zatarł się już i rozmył. Zafascynowana wstąpiła w cień i wahając się przy każdym kolejnym kroku, wspięła po skrzypiących stopniach. Kiedy dzieliły ich już tylko trzy stopnie, starzec opuścił dłoń. Zatrzymała się na widok jego zniszczonej twarzy i przerażenia w poznaczonych żyłkami oczach.

– Może panu pomóc. – Trzęsła się z wyczerpania.

– Mam żonę w Fresno – szepnął. Był ubrany w stary dwurzędowy garnitur, wytartą szarą koszulę z szerokim krawatem, nie miał kapelusza. – Rzuciłem ją. Już dawno, nie pamiętam. To dla niej. – Podał Edypie list, który wyglądał, jak gdyby starzec nosił go przy sobie przez całe lata. – Niech to pani wrzuci... – Wskazał na tatuaż i spojrzał Edypie w oczy. – Wie pani gdzie. Ja już nie wyjdę. Za daleko. Miałem złą noc.

– Tak – bąknęła. – Tylko... Jestem w mieście od niedawna. Nie wiem, jak tam trafić.

– To pod autostradą. – Machnął ręką w stronę, w którą przedtem szła. – Zawsze jest jedna. Zobaczy pani – zamknął oczy.

Jakie koncentryczne kręgi planet odkrywał, jakie żyzne gleby przecinał, dźwigany co noc z bezpiecznej bruzdy, którą każdego ranka cnotliwie zaczynał orać masyw budzącego się miasta? Jakie niesłyszalne głosy, kształty jakich jaśniejących bóstw przeblyskiwały pomiędzy splamionym listowiem tapety, ogniki jakich świec krążyły ponad starcem w przewidywaniu owego papierosa, który starzec albo jego sąsiad będzie kiedyś palił w łóżku i zaśnie, kończąc w ten sposób wszystko w ogniu płonących sekretnych soli wchłanianych latami przez nienasycony materac, który pożerał wszystkie pot nocnych koszmarów, produkty bezradnego, nabrzmiąłego pęcherza, spełnianych ukradkiem, nachodzących wciąż seksualnych fantazji, podobny w tym do banku pamięci w komputerze zagubionych ludzi? Edypa zapragnęła nagle dotknąć starca, jakby bez tego nie mogła uwierzyć w jego istnienie ani go spamiętać.

Wyczerpana, nie całkiem świadoma, co robi, przeszła ostatnie trzy stopnie i objęła starca, wzięła go w ramiona, z usmarowaną twarzą spoglądając na poranek za drzwiami. Poczowała wilgoć na piersiach i zobaczyła, że starzec płacze. Ledwie oddychał, ale łzy płynęły mu jak z kranu.

– Nie mogę pomóc – szepnęła, kołysząc go. – Nie mogę.

Do Fresno było już zbyt daleko.

– To on? – odezwał się głos u szczytu schodów. – Marynarz?

– Ma tatuaż na dłoni.

– Może go tu pani przyprowadzić? Aha, to on. – Odwróciła się w tamtą stronę i zobaczyła jeszcze starszego i niższego mężczyznę w staroświeckim kapeluszu. Uśmiechnął się do niej. – Sam bym mu pomógł, ale ten przekłety artretyzm...

– Czy on musi iść na górę? – zapytała. – Tak wysoko?

– A dokąd jeszcze może iść, według pani?

Nie wiedziała. Niepewna, co ma zrobić, puściła starca na chwilę, jak gdyby był jej dzieckiem. Marynarz podniósł na nią wzrok.

– Chodźmy – odezwała się.

Chwyliła wyciągniętą dłoń z tatuażem i tak dotarli na półpiętro, a potem jeszcze dwa kolejne: ręka w rękę, powoli, ze względu na człowieka z artretyzmem.

– Znów gdzieś zniknął zeszłej nocy – powiedział ten drugi. – Mówił, że idzie szukać swojej starej. Ciągle tak robi. – Weszli do króliczego labiryntu klitek i korytarzy oświetlonych dziesięciowatowymi żarówkami i poprzedzielanych arkuszami dykty. Starzec szedł sztywno za nimi. Wreszcie powiedział:

– Tutaj.

W pokoiku wisiał drugi garnitur, na półce znajdowało się kilka broszurek religijnych, oprócz tego były tam jeszcze dywanik i krzesło.

Także obraz przedstawiający świętego z Jerozolimy, który zmienia studzienną wodę w oliwę do lamp wielkanocnych. Druga żarówka, przepalona. Łóżko. Materac, który już czekał. Edypa przebiegła myślą rozmaite możliwości. Mogła odnaleźć właściciela domu i pozwać go do sądu, mogła kupić marynarzowi nowy garnitur u Roosa i Atkinsa, koszulę, buty, dać mu pieniądze na bilet do Fresno. Zagłębiając się w fantazjach nie poczuła nawet, że starzec uściśnął jej dłoń i puścił, jak gdyby sam znał najlepiej chwilę, kiedy należy to uczynić.

– Niech pani wyśle list – rzekł. – Znaczek już nalepiłem.

Spojrzała na znaną karminową lotniczą ośmiocentówkę z odrzutowcem przelatującym nad kopułą Kapitolu. Na szczycie kopuły widniała mała czarna figurka z rozpostartymi ramionami. Edypa nie była pewna, co stoi na szczycie Kapitolu, lecz widziała dobrze, że nic w tym rodzaju.

– Proszę – wyjął marynarz. – Niech pani już idzie. Niech pani tu nie zostaje. – Sięgnęła po portmonetkę, znalazła dziesiątkę i dolara, dała mu dziesięć.

– Przepiję to – próbował protestować.

– Pamiętaj o kumplach – wtrącił artretyk, patrząc na banknot.

– Kurwa, czemu nie poczekałaś, aż ten pójdzie – jęknął marynarz.

Edypa patrzyła, jak starzec układa się, dostosowując pozycję ciała do kształtu materaca. Wypchana pamięć. Rejestr numer jeden...

– Daj mi papierosa. Ramirez – znów odezwał się marynarz. – Wiem, że masz ostatniego.

Czy miało to nastąpić już dzisiaj?

– Ramirez! – krzyknęła. Artretyk wykręcił zardzewiałą szyję. – Przecież on umrze!

– Wszyscy umrzemy – burknął Ramirez.

Przypomniała sobie, co mówił Nefastis o swojej maszynie i masowej destrukcji informacji. Takiej jak ta, która dokona się, kiedy wokół marynarza zapłonie materac, czyniąc mu pogrzeb godny wikinga: kiedy w pożarze materaca przestaną istnieć, naprawdę i na zawsze,

zakodowane w nim lata bezużytecznego istnienia, przedwczesnej śmierci, samoudręczeń, odpływu wszelkiej nadziei, kiedy zginie cały zbiór mężczyzn, którzy na nim spali, jakkolwiek wyglądało ich życie.

Popatrzyła z niedowierzaniem, jak gdyby odkryła nieodwracalny proces. Zdziwiła ją myśl, że tak wiele może zginąć, że nie będzie śladu nawet po tej należącej do marynarza ilości halucynacji. Podtrzymując starca, zorientowała się już, że cierpi on na DT. Za tymi inicjami kryła się nowa metafora, *delirium tremens*, drżąca skiba odkładana przez lemiesz umysłu. Święty, dzięki któremu wola płonie w oliwnych lampach, jasnowidz, którego sekundowa zwłoka w odpowiedzi jest oddechem Boga, paranoik, dla którego wszystko układa się w groźne lub radosne kręgi wokół jego własnego pulsu, marzyciel, którego słowne zabawy drążą zatechłe sztolnie i tunele prawdy, wszyscy oni działają w specjalnej zgodzie ze słowem czy tym, co służy za słowo, i odgradzają, chronią nas przed nim. Akt tworzenia metafory jest sięgnięciem po prawdę lub kłamstwo, w zależności od tego, gdzie się jest: bezpiecznym, wewnątrz, czy też zagubionym, na zewnątrz. Edypa nie wiedziała jednak, gdzie się znajduje. Drżąca jak igła gramofonu wyskoczyła z rowka i ze zgrzytem przeciągnęła wstecz przez bruzdy utrwalonych lat, by znów usłyszeć poważny, wysoki głos Raya Glozina, swojej drugiej czy trzeciej studenckiej miłości, który zgłębiając równocześnie językiem dziurę w zębie, mozolił się wściekły nad rachunkiem różniczkowym. „Dt” lub „Δt”, niech Bóg ma starca w opiece, było także symbolem różnicy czasu, nieskończenie małego przedziału, w którym fizyczna zmiana może zostać skonfrontowana z czym trzeba, nie mogąc już udawać czegoś bezpiecznego, jak – powiedzmy – wartość przeciętna. W przedziale „Dt” pęd wstępował w strzałę, choćby pocisk zamarł w locie, a śmierć wkradała się w komórkę, choćby komórka przechodziła właśnie szczyt aktywności.

Edypa wiedziała, że marynarz musi oglądać światy nie znane nikomu innemu, nawet gdyby miało się tak dziać tylko wskutek magii podłych kalamburów, zestawiających DT z widmami DT leżącymi poza znanym nam słońcem, muzyką składającą się tylko z antarktycznej samotności i lęku. Edypa nie знаła nic, co by mogło ocalić ją i starca, czy tylko starca. Pomachała mu więc na pożegnanie, zeszła po schodach i ruszyła w stronę betonowych podpór napowietrznej autostrady, wciąż natykając się na pijaków, włóczęgów, sztajmesów, pieszych, pederastów, kurwy, przechadzających się psychopatów. Ani śladu tajnej skrzynki pocztowej. Nareszcie jednak odnalazła w cieniu pudło z wahadłową pokrywą, w rodzaju tych do wrzucania odpadków: sfatygowane, wysokie chyba na metr, ciemnozielone. Na pokrywie wypisane były czyjąś ręką inicjały Ś.M.I.E.T.N.I.K. Musiała nachylić się bardzo blisko, żeby dostrzec kropki po każdej literze.

Zaczaiła się w mroku za betonowym filarem. Może zdrzemnęła się chwilę. Kiedy otworzyła oczy, jakiś chłopak wrzucał właśnie do pudła paczkę listów. Podeszła sama i wrzuciła list marynarza do Fresno; znowu ukryła się i czekała. Około południa pojawił się obdarty sztajmes z workiem na plecach. Otworzył klapę z boku pudła i wyjął listy, Edypa odczekała, aż włóczęga oddali się nieco i ruszyła w ślad za nim.

Gratulując sobie, że przytomnie włożyła buty na płaskim obcasie.

Poszli wzdłuż Market, a potem w stronę ratusza. W uliczce, która na tyle blisko przylegała do szarego, nagiego, kamiennego rejonu Centrum Kulturalnego, by i jej udzieliła się ta szarość, goniec miał wyznaczone rendez-vous z drugim posłańcem. Wymienili się workami. Edypa postanowiła trzymać się tego, którego śledziła dotąd. Powróciła z nim razem jeszcze przez zaśmieconą, tłoczną i głośną Market, potem do Pierwszej Ulicy, do hali dworca autobusowego, gdzie listonosz kupił bilet do Oakland. Za nim Edypa.

Przejechali przez most nad zatoką i wpadli w ogromny, pusty blask oaklandzkiego popołudnia. Krajobraz zatracił wszelkie zróżnicowanie.

Wysiedli w okolicy, której Edypa nie potrafiła rozpoznać. Przez całe godziny szli ulicami, których nazwy miały dla Edypy na zawsze pozostać obce, przecinając arterie, na których

morderczy ruch aut nie ustawał nawet w porze popołudniowej drzemki, w głąb slumsów i z dala od nich, w górę zboczy zatłoczonych masą małych i dużych domków jednorodzinnych, których puste okna odbijały jedynie słońce.

Worek opróżniał się list po liście. Wreszcie posłaniec wskoczył do autobusu do Berkeley. Edypa za nim. W połowie Telegraph Avenue włóczęga wysiadł i poprowadził ją w kierunku pseudomeksykańskiego bloku mieszkalnego. Przez cały czas nie obejrzał się ani razu. Znała już ten dom: tu mieszkał John Nefastis. Była znów w punkcie, z którego wyruszyła. Nie mogła uwierzyć, że minęły pełne dwadzieścia cztery godziny. Powinno ich minąć mniej czy więcej?

Kiedy wróciła do hotelu, hall pełen był głuchoniemych delegatów w zjazdowych czapczkach, papierowych kopiach czapek-uszanek, jakie nosili komuniści chińscy w okresie konfliktu koreańskiego.

Wszyscy co do jednego byli pijani. Paru z nich pochwyciło Edypę, by zaciągnąć ją na przyjęcie w wielkiej sali balowej. Chciała się wyrwać z tego wielkiego, rozgestykulowanego roju, ale była zbyt słaba. Bolały ją nogi, w uszach czuła ohydny smak. Wepchnięto ją do sali, gdzie zaraz objął ją w tali przystojny młody człowiek w tweedowym garniturze i zatańczył z nią walca, w kółeczko, pośród szeleszczącej, ruchliwej ciszy pod wielkim, nie zapalonym kandelabrem. Każda para na parkiecie tańczyła to, na co miała ochotę: tango, two-stepa, bossa novę, slopa. Jak długo potrwa, przemknęło Edypie przez myśl, zanim zaczną się pierwsze nieuniknione kolizje? Bo musiało dojść do zderzeń, chyba że istnieje alternatywa, niewyobrażalny muzyczny porządek wielu rytmów, wszystkich tonacji naraz, choreografia, w której każda para swobodnie sunie przed siebie, jak gdyby jej trasa została z góry określona: coś, co wszyscy tańczący odczuwają zmysłem, który w Edypie musiał ulec zatarciu. Starła się nadążyć za partnerem, zwiotczała w jego objęciach, oczekując na pierwsze zderzenie. Nie było żadnych. Tańczono z nią pół godziny bez ustanku, zanim wreszcie, jak na dany znak, wszyscy zrobili przerwę. Edypy nie dotknął przez ten czas nikt oprócz partnera. Jezus Arrabal nazwałby to pewnie anarchicznym cudem. Edypie zabrakło określeń, więc fakt ten mógł ją tylko zgniebić. Dygnęła i uciekła.

Nazajutrz, po dwunastu godzinach snu, który nie pozostawił żadnych wspomnień, Edypa wymeldowała się z hotelu i pojechała w dół półwyspu do Kinneret. Po drodze miała wreszcie czas, by przemyśleć poprzedni dzień. Zdecydowała, że opowie o wszystkim Hilariusowi, który był przecież jej stałym terapeutą. Mogła się nadziać na zimne rzeźnicze haki psychozy. Na własne oczy widziała system tworzony przez ŚMIETNIK: spotkała dwóch listonoszy ŚMIETNIKA, skrzynkę ŚMIETNIKA, znaczki ŚMIETNIKA, stempel ŚMIETNIKA...

I jeszcze symbol trąbki pocztowej z tłumikiem, znak, od którego roił się wprost cały obszar Zatoki.

Edypa chciała bardzo, aby wszystko okazało się fantazją – rezultatem splotu jej kilku poprzednich ran, pragnień, wpływu mrocznych sobowtórów. Chciała usłyszeć od Hilariusza, że jest co nieco stuknięta i potrzebuje odpoczynku, a żadne Trysterko nie istnieje.

Chciała się także dowiedzieć, czemu tak ją dręczy obawa, że Trysterko istnieje naprawdę.

Wjechała na podjazd przed kliniką Hilariusza trochę po zachodzie słońca. W jego gabinecie było ciemno. Gałęzie eukaliptusów zginały się w fali powietrza, która spływała ze wzgórz wysysana przez wieczorne morze. W połowie wykładanej płytami ścieżki wystraszyła się jakiegoś owada, który z bzykiem przeleciał jej koło ucha. Zaraz też rozległ się huk wystrzału. To nie owad, pomyślała i jednocześnie, słysząc następny wystrzał, połączyła oba zdarzenia. W słabnącym świetle stanowiła łatwy cel; mogła tylko ukryć się we wnętrzu kliniki. Podbiegła do szklanych drzwi. Były zamknięte, a w hallu za nimi nie paliły się światła. Podniosła z trawnika kamień i cisnęła nim w tafłę drzwi.

Odkoczył. Rozglądała się za następnym, kiedy wewnątrz zamajaczyła jakaś biała postać i drzwi się otworzyły. Była to Helga Blamm, dawna asystentka Hilariusza.

– Prędziutko – zaszcebiotała, kiedy Edypa wślizgiwała się do środka. Wyglądało, że jest na granicy hysterii.

– Co się tu dzieje? – zapytała Edypa.

– Oszalał! Próbowalam wezwać policję, ale złapał krzesło i rozbił centralkę telefoniczną.

– Doktor Hilarius?

– Myśli, że jest ścigany. – Łzy utworzyły ścieżki na policzkach pielęgniarki. – Zamknął się w gabinecie z tym swoim karabinem.

Edypa przypomniała sobie tę broń, gewehr 43, pamiątka z wojny.

– Strzelał do mnie. Myśli pani, że ktoś o tym zamelduje?

– Strzelał już do pół tuzina ludzi. – Blamm poprowadziła Edypę korytarzem do swojego gabinetu. – Niechby ktoś już zawiadomił policję.

Wewnątrz Edypa zauważyła otwarte okno, a za nim bezpieczną drogę ucieczki.

– Przecież mogła pani uciec – zdziwiła się.

Blamm, która nalewała gorącą wodę z kranu do kubków i mieszała neskę, podniosła na nią szyderczy wzrok.

– Ktoś może mu być jeszcze potrzebny.

– Przez kogo jest niby ścigany?

– Mówił coś o trzech facetach z pisotelami maszynowymi. Tyle udało mi się z niego wydobyć. Potem rozbił centralkę. – Spojrzała wrogo na Edypę. – Za dużo stukniętych dziwek, takie są skutki. W Kinneret jest ich pełno. Nie dawał już rady.

– Nie było mnie tu jakiś czas. – Odezwała się Edypa. – Spróbuję wyciągnąć od niego co się stało. Może mnie nie będzie się tak obawiał.

Blamm sparzyła sobie usta kawą.

– Jeśli znów zacznie mu pani opowiadać o swoich kłopotach, zastrzeli panią.

Przed drzwiami gabinetu doktora, które za jej pamięci były zawsze otwarte, Edypa stanęła jak wryta i zastanowiła się nad własną poczytalnością. Czemu nie wymknie się przez okno siostry Blamm i nie przeczyta o finale całej historii w porannej gazecie?

– Kto tam – ryknął Hilarius, który usłyszał chyba jej oddech.

– Edypa Maas.

– Niech Speer i całe to jego kretyńskie ministerstwo gniją w piekle na wieki. Czy wie pani, że połowa z tych nabozi to niewypały?

– Wpuści mnie pan? Będziemy mogli porozmawiać.

– Wiem, jak wam wszystkim na tym zależy.

– Nie mam broni, może mnie pan obszukać.

– A pani tymczasem rąbnie mnie ciosem karate w kręgosłup, dziękuję bardzo.

– Czemu sprzeciwia się pan każdemu mojemu słowu?

– Niech pani posłucha – odezwał się po chwili. – Czy uważa pani, że byłem wystarczająco dobrym freudystą? Czy nie zauważyła pani u mnie żadnych poważnych odchyień?

– Nie, od czasu do czasu robi pan tylko miny – przypomniała sobie Edypa. – Ale to głupstwo.

Zamiast odpowiedzi dobiegł ją przeciągły gorzki śmiech. Czekala wciąż pod drzwiami.

– Chciałem – znów usłyszała głos psychiatry – chciałem się cały oddać Freudowi, oddać się duchowi tego przewrotnego Żyda, usiłowałem żywić wiarę w dosłowną prawdę wszystkiego, co napisał, nawet w sprzeczności i bzdury. Tyle tylko mogłem zrobić, *nicht wahr?* Jako rodzaj pokuty. Zresztą z pewnością jakaś część mnie chciała uwierzyć, niby dziecko, które z bezpiecznego miejsca słucha straszliwych opowieści. Chciałem uwierzyć, że w rzeczywistości podświadomość wygląda jak każdy inny pokój i jeśli tylko wpuścić trochę światła, mroczne kształty okażą się dziecinnymi konikami na biegunach i konturami biedermeierowskich mebli. Chciałem uwierzyć, że terapia powstrzyma cały proces, że przywróci człowieka społeczeństwu bez obawy, iż kiedyś nastąpi nawrót. Uwierzyć bez

względu na to, czym było całe moje poprzednie życie. Wyobraża to sobie pani?

Nie wyobrażała sobie. Nie miała przecież pojęcia, co robił Hilarius, zanim zamieszkał w Kinneret. Z oddali dobiegał ich teraz dźwięk syren, elektronicznie modulowany sygnał miejscowej policji, przypominający dźwięk gwizdka puszczonego przez wzmacniacz. Dźwięk stopniowo narastał.

– Słyszę – mruknął Hilarius. – Myśli pani, że zdołają mnie ustrzec przed tymi fanatykami? Ci, którzy mnie gonią, przechodzą przez ściany, mnożą się: jeżeli im zdołam uciec i skręcić za róg, już tam czekają i znowu gonią.

– Zrobi pan coś dla mnie? – odezwała się Edypa. – Niech pan nie strzela do gliniarzy. Oni są po pana stronie.

– Przecież Izraelczycy mają dostęp do wszystkich możliwych mundurów – wyśmiał ją Hilarius. – Dlatego nie mogę gwarantować bezpieczeństwa tej tak zwanej policji. Pani nawet nie wie, dokąd by mnie zabrali, gdybym się poddał.

Usłyszała, jak chodzi po gabinecie. Nieziemski głos syren przybliżał się ze wszystkich zakamarków nocy.

– Mogę zrobić jeszcze jedną minę. Nie widziała jej pani ani nikt w tym kraju. Zrobiłem ją tylko raz w życiu. Być może żyje jeszcze, choć tylko jako odmóżdżony wrak, chłopak, który ją ujrzał. Miałby teraz mniej więcej tyle lat, ile pani. Beznadziejnie chory psychicznie. Miał na imię Cwi. Więc może pani powiedzieć tej „policji”, czy jak tam chcą się dziś nazywać, że będę musiał znów zrobić taką minę. Działa skutecznie w promieniu stu metrów i każdego, kto ma nieszczęście ją widzieć, wpędza do ciemnego lochu pomiędzy straszliwe kształty i zamyka za nim klapę na zawsze. Powie pani? Dziękuję.

Syreny wyły już przed samą kliniką. Słyszała, jak trzaskają drzwiczki aut i jak gliniarze z krzykiem włamują się do budynku. Nagle otworzyły się drzwi gabinetu. Hilarius chwycił Edypę za rękę, wciągnął do środka i znów zaryglował drzwi.

– Będę zakładniczką? – zapytała.

– Och – zdziwił się. – Więc to jednak pani.

– A pan myślał, że kto?

– Kto ze mną rozmawiał? Ktoś inny. Tu jestem ja, a tam inni. Ale wie pani, okazuje się, że po zażyciu LSD takie rozróżnienie zanika. Ego ztraca wyraźnie granice. Nigdy sam nie brałem tego środka, bo wolę pozostać w stanie łagodnej paranoi, gdzie przynajmniej wiadomo, kim jestem ja, a kim są wszyscy inni. Może właśnie dlatego odmówiła nam pani? – Zrobił karabinem „na ramię broń” i uśmiechnął się szeroko. – No cóż, domyślałem się, że ma pani przekazać mi jakąś wiadomość. Od nich. Co kazali pani powiedzieć?

Edypa wzruszyła ramionami.

– Niech pan okaże odwagę cywilną – zaczęła – i zda sobie sprawę z sytuacji. Policji jest więcej i mają przewagę ogniową.

– Jest ich więcej? A to dobre. Tam, gdzie byłem, też byliśmy w mniejszości. – Spojrzał na nią spłoszony.

– To znaczy gdzie?

– Tam, gdzie zrobiłem moją minę. Gdzie odbywałem internę.

Wiedziała już, o czym mówi, ale żeby nie pozostawiać niedomówień zapytała jeszcze raz.

– Gdzie?

– W Buchenwaldzie.

Gliniarze bębniłi już do drzwi gabinetu.

– On ma karabin – krzyknęła Edypa. – Zamknął się ze mną!

– Kim pani jest? – zapytali, a ona im odpowiedziała. – Jak się pisze to pani imię? – pytali dalej.

Zażądano też podania adresu, wieku, numeru telefonu, nazwisk krewnych, zawodu męża, wszystkie dane dla dziennikarzy. Hilarius buszował tymczasem w biurku, szukając amunicji.

– Może mu to pani jakoś wyperswadować? – zapytał gliniarz. – Chłopaki z telewizji chcą skrócić trochę taśmy przez okno. Zajmie go pani przez ten czas?

– Trzymajcie się – odkrzyknęła. – Spróbuję.

– Niezła szopka – przytaknął tym poczynaniom Hilarius.

– A pan? – odwróciła się Edypa. – Pan dalej myśli, że wszyscy chcą pana złapać i wysłać do Izraela na proces, tak jak Eichmanna? – Doktor przytaknął. – Dlaczego? Co pan robił w Buchenwaldzie?

– Prowadziłem eksperymenty nad sztucznym wywoływaniem chorób psychicznych. Żyd katatonik był dla nas równie dobry jak martwy, a liberalne koła SS uważały, że tak będzie bardziej humanitarnie. Otaczaliśmy ofiary metronomami, węzami, pokazywaliśmy nocą Brechtowskie winiety, usuwaliśmy chirurgicznie niektóre gruczoły, puszczałyśmy z latarni magicznych zwidy, stosowaliśmy nowe narkotyki, groźby z ukrytych głośników, zegary chodzące wstecz, no i miny. Ja zajmowałem się właśnie robieniem min. Niestety – kontynuował – alianci wyzwolili obóz, zanim zdołałem zebrać wystarczającą ilość danych. Tak więc poza kilkoma oczywistymi sukcesami, jak ten z Cwim, nie mogliśmy się pochwalić korzystną statystyką. – Uśmiechnął się, widząc twarz Edypy. – Wiem, nienawidzi mnie pani. A ja chciałem wszystko załagodzić. Gdybym był prawdziwym faszystą, wybrałbym Junga, *nicht wahr?* Tymczasem wolałem Freuda, Żyda. Freudowska wizja świata nie dopuszcza istnienia Buchenwaldu. Freud sądził, że kiedy wpuści się światło, obóz zamieni się w boisko piłkarskie, w komorach gazowych tłuste dzieci będą układały ikebanę, piece Oświęcimia przestawi się na ptifurki i torciki, a rakiety V-2 zamieni w hoteliki dla elfów. Próbowałem w to wierzyć. Każdej nocy przez trzy godziny usiłowałem wyzbyć się snów, a przez pozostałe dwadzieścia jeden wmuszałem w siebie wiarę. Nie dość było jednak mojej pokuty. Pomimo wszystkich wysiłków przychodzą oto po mnie anioły śmierci.

– Jak leci? – zapytał gliniarz zza drzwi.

– Po prostu bomba – odkrzyknęła. – Dam znać, gdyby coś nie szło. – Zobaczyła, że Hilarius odłożył karabin na biurko i ostentacyjnie usiłuje otworzyć kartotekę w drugim kącie pokoju. Podniosła broń, wycelowała i powiedziała: – Powinam pana teraz zabić.

Wiedziała, że umyślnie dał sobie odebrać karabin.

– Czy nie po to panią tu przysłano? – Zrobił na próbę najpierw zbieżnego, a potem rozbieżnego zeza i wysunął język.

– Przyszłam tylko po to, żeby wybił mi pan z głowy pewną fantazję.

– Trzymaj ją! – wykrzyknął Hilarius. – Cóż innego może ci być dane? Chwyć swą fantazję za mackę i nie pozwól, by freudysci ją spłoszyli albo żeby psychiatrzy struli ją lekami. Czymkolwiek jest, trzymaj. Jeżeli ją stracisz, przesuniesz się ku innym ludziom, przestaniesz istnieć.

– Wejdźcie – krzyknęła Edypa.

W oczach Hilariusza błysnęły łzy.

– Nie będzie pan strzelać?

Gliniarz targnął za klamkę.

– Proszę pani, zamknijcie!

– Wyłamcie ją – ryknęła. – Hitler Hilarius zapłaci za wszystko.

Wyszła przed klinikę. Nerwowi funkcjonariusze zbliżali się ostrożnie do Hilariusza, trzymając niepotrzebne już kaftany bezpieczeństwa i pałki, a trzy rywalizujące karetki pogotowia sunęły powoli przez środek klombu, starając się zająć najlepszą pozycję wyjściową do wyścigu po chorego, co wprawiło w furję Helgę Blamm, która obrzuciła kierowców najgorszymi wyzwiskami. Pośród reflektorów i tłumu gapiów Edypa ujrzała wóz transmisyjny KCUF z Muchem Maasem gadającym do mikrofonu. Przemknęła obok błyskających fleszy i wsadziła głowę w okno wozu.

– Cześć!



Mucho wyłączył na sekundę mikrofon, ale zamiast powiedzieć coś, uśmiechnął się tylko. Edypie wydało się to dziwne. Słuchacze nie mogli chyba usłyszeć uśmiechu? Starając się nie robić hałasu, Edypa wdrapała się do środka wozu. Mucho podsunął jej mikrofon, mrużąc:

– Teraz ty. Zwyczajnie, bądź sobą. – Potem zabrzmiał jego poważny głos dla anteny: – Jak się pani czuje po tych strasznych przeżyciach?

– Strasznie.

– To wspaniale – przytaknął Mucho. Kazał jej opowiedzieć o wszystkim, co się działo w gabinecie. – Dziękujemy pani Ednie Mosh za jej wyczerpującą relację z dramatycznego obłączenia kliniki psychiatrycznej Hilariusza. Żegna się z państwem wóz transmisyjny numer dwa z KCUF. Przekazujemy relację „Królikowi” Warrenowi w naszym studio.

Wyłączył prąd. Coś tu nie grało.

– Jaka Edna Mosh? – zapytała.

– Na antenie wyjdzie jak trzeba – uspokoił ją Mucho. – Po prostu uwzględniam zniekształcenia w aparaturze i potem, kiedy rzecz idzie na taśmę.

– Dokąd go zabierają?

– Chyba do szpitala okręgowego. Na obserwację. Ciekawe, co zaobserwują.

– Tłumy Izraelczyków wchodzących przez okna – rzuciła Edypa. – Jeśli się nie zjawia, będzie wiadomo, że Hilariusz to czubek.

Do Edypy podeszli teraz na chwilę gliniarze. Radzili jej, by pozostała przez pewien czas w Kinneret na wypadek, gdyby wszczęto postępowanie w tej sprawie. Wreszcie wsiadła do wynajętego wozu i ruszyła za Muchem do studia. Miał tej nocy dyżur na antenie od pierwszej do szóstej.

Stała w hallu na dole wsłuchana w klekot dalekopisów, czekając na Mucha, który skoczył na górę wystukać swój reportaż, kiedy natknęła się na dyrektora programowego rozgłośni, Cezara Funcha.

– Cieszę się, że pani wróciła – przywitał ją, najwyraźniej nie mógł sobie przypomnieć jej imienia.

– Tak? – zdziwiła się. – Dlaczego?

– Prawdę mówiąc – wyznał Funch – odkąd pani wyjechała, Mucho przestał być sobą.

– Może mi pan więc uprzejmie wyjaśni – Edypa usiłowała wpaść w złość, bo czuła, że Funch mówi prawdę – w kogo zmienił się mój mąż? – Funch stulił uszy. – W Ringo Starra? W Chubby’ego Checkera? – Popchnęła go w stronę wyjścia. – W Cnotliwych Braciszków? I co mnie to niby obchodzi?

– W nich wszystkich – wybełkotał Funch, zasłaniając się. – Pani Maas...

– Dobra, mów mi Edna. Co chcesz powiedzieć?

– Za jego plecami – Funch parsknął – wszyscy mówią już na niego Bracia N. Mucho traci tożsamość, Edno. Jak mam ci to wytłumaczyć? Z dnia na dzień Wendell jest coraz mniej sobą, a coraz bardziej wszystkimi ludźmi naraz. Przychodzi na kolegium redakcyjne i nagle pokój wypełnia się ludźmi, rozumiesz? Mucho jest zbiorem ludzkich fragmentów.

– Masz chorą wyobraźnię – roześmiała się. – Pewnie znów paliłeś te papierosy bez nadruku na bibułce.

– Nie śmieć się ze mnie, sama zobaczysz. Musimy trzymać się razem. Oprócz nas, komu jeszcze na nim zależy?

Usiadła sama na ławce przed studiem A, słuchając nagrań, które puszczał kolega Mucha, „Królik” Warren. Mucho zbiegł po schodach z gotowym tekstem, spokojny jak jeszcze nigdy. Dawniej garbił się i mrugał z wielką częstotliwością oczami, teraz znikło to bez śladu.

– Poczekaj jeszcze.

Uśmiechnął się i pozęglował przez hall. Spojrzała za nim, jak gdyby spodziewała się ujrzeć wokół niego aureolę albo tęczyowy poblask. Miał trochę czasu przed kolejnym wejściem na antenę. Pojechali do baru i pizzerii w centrum. Patrzyli teraz na siebie przez złote

soczewki dzbana z piwem.

– Jak ci leci z Metzgerem? – zapytał.

– Między nami nic nie ma.

– Powiedzmy, już nie ma. Poznałem po sposobie, w jaki mówiłaś do mikrofonów.

– To wspaniale.

Edypa nie mogła rozgryźć jego wyrazu twarzy.

– Nadzwyczajne – ożywił się Mucho. – Wszystko było... Zaraz! Posłuchaj. – Nie usłyszała niczego niezwykłego. – W tym kawałku gra siedemnaście skrzypiec – wyjaśnił Mucho. – Jedne z nich, nie powiem ci tylko które, bo nagranie jest monofoniczne...

Zaświtało jej, że Mucho mówi o melodii z barowej aparatury, sączącej się w nieuchwytny sposób, na granicy wrażliwości słuchu, odkąd weszli do baru: smyczki, saksofony, trochę blachy.

– O co ci chodzi? – zaniepokoiła się.

– Struna E w tych skrzypcach stroi o kilka herców za wysoko. Na pewno facet nie jest muzykiem studyjnym. Jak myślisz, czy z takiej jednej struny można odtworzyć całego muzyka, Ed? Jak dinozaura, na podstawie jednej kości? Domyślić się, jak zbudowane jest jego ucho, potem muskulatura dłoni i ramion, reszta. Boże, przecież to cudowne.

– Ale po co?

– Bo ten muzyk jest prawdziwy. To nie syntezator. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy się w ogóle obejść bez żywych muzyków. Wystarczy złożyć do kupy odpowiednie tony o odpowiednich natężeniach, a będzie to brzmiało jak skrzypce. Na przykład ja sam... – Zawahał się, ale zaraz rozpromienił. – Pomyślisz pewnie, że zwariowałem, Ed, ale ja potrafię to samo, tylko na odwrót. Usłyszę coś i zaraz mogę rozłożyć melodię na części. Robię w głowie pełną analizę spektralną. Mogę rozłożyć akordy, tony i słowa na podstawowe częstotliwości i harmonie, przy różnych głośnościach, a potem słuchać samych czystych tonów.

– Jak to robisz?

– To tak, jakbym dla każdego tonu miał osobny kanał. – Mucho się podniecił. – Jeśli mi ich zabraknie, tworzę nowe, dodaję tyle, ile mi trzeba. Nie wiem jak to się dzieje. Ostatnio potrafię tak samo słuchać rozmów. Powiedz: pyszny, czekoladowy, smak.

– Pyszny, czekoladowy, smak.

– No tak – bąknął Mucho i umilkł.

– Co: no tak? – zapytała Edypa łamiącym się głosem po dobrych kilku minutach milczenia.

– To samo słyszałem zeszłej nocy, kiedy „Królik” Warren czytał reklamy. Nieważne, kto mówi, rozkład widma głośności będzie zawsze taki sam, parę procent w jedną czy drugą stronę. Więc ty i „Królik” macie ze sobą coś wspólnego. Jeśli dwie osoby wypowiadają te same słowa i widma są zgodne, oboje są jedną i tą samą osobą, tyle że różnią się rozkładem w czasie, rozumiesz? Czas jest arbitralny, możesz obrać punkt zero, gdzie zechcesz, a potem przesuwając linie czasu innych ludzi, aż wreszcie wszystkie są zgodne. Masz wtedy taki wielki chór, powiedzmy milion ludzi, którzy mówią „pyszny, czekoladowy, smak” jednym i tym samym głosem.

– Mucho – przerwała niecierpliwie, bawiąc się w myślach pewnym dzikim domysłem – czy to ma na myśli Funch, kiedy mówi, że jesteś jak sala pełna ludzi?

– Jestem pełen różnych ludzi, zgoda. Każdy jest pełen ludzi. – Wpatrywał się w nią, być może ogarnięty wizją powszechnej zgody, tak jak inni owładnięci bywają orgazmem. Jego twarz była spokojna, gładka, przyjazna. Edypa nigdy go takim nie widziała. Z ciemnych zakamarków jej umysłu zaczął wypełzać strach. – Teraz już wiem, co się dzieje, kiedy wkładam słuchawki – ciągnął. – Kiedy słyszę tamtych chłopczyków, jak śpiewają *She loves you*, od razu wiem, że, no właśnie, że ona faktycznie kocha, że istnieje jako dowolna liczba

dziewczyn na całym świecie, we wszystkich epokach, wszystkich rasach, w całej gamie wieku, kształtów, odległości od śmierci, że jest wszystkim innym i że kocha. A tym „you”, tobą, jest każdy i ona sama też. Wiesz, Edypo, ludzki głos to prawdziwy cud. – Oczy rozblęły mu, nabierając koloru piwa.

– Kochanie – wyrzekła bezradnie, nie wiedząc, jak mu pomóc i pełna obawy.

Mucho postawił na stoliku przezroczystą plastikową fiolkę.

Spojrzała na pigułki, które były w środku, i nagle zrozumiała.

– To LSD? – Mucho uśmiechnął się w odpowiedzi. – Skąd to masz?

Wiedziała i tak.

– Od Hilariusza. Objął swym programem także mężów.

– Posłuchaj. – Starła się nadać głosowi oficjalne brzmienie. – Od jak dawna na tym jesteś?

Z ręką na sercu, nie mógł sobie przypomnieć.

– Ale jest jeszcze szansa, że nie jesteś uzależniony?

– Ed – spojrzał zaskoczony. – Od tego się nie uzależnia. Nie dostajesz potem świra, nic z tych rzeczy. Biorę to, bo to jest dobre, bo mogę słyszeć i widzieć, a nawet wąchać rzeczy, których inaczej nigdy bym nie poznał. Świat stał się taki pełny, wprost nie ma końca. Jesteś jak antena, nocą wysyłasz sygnał milionom ludzi, którzy żyją obok, a ich życie to także twoje życie. – Spoglądał na nią cierpliwie jak matka. Edypa miała ochotę dać mu w twarz. – Wszystkie piosenki nie tylko coś mówią, one również po prostu są, pośród czystych dźwięków. Są czymś nowym. Nawet moje sny się zmieniły.

– Przestań! – zawołała, odgarniając włosy w milczącej furii. – Więc nie masz już koszmarów? Świetnie. Twoja najnowsza mała przyjaciółka, nie wiem jak jej na imię, będzie mogła się wreszcie wyspać. Wiesz, że w tym wieku potrzeba dużo snu.

– Nie mam żadnej dziewczyny, Ed. Wszystko ci opowiem. Kiedyś dręczył mnie wciąż ten sam koszmar, o stacji sprzedaży samochodów, pamiętasz? Nigdy nie powiedziałem ci o nim wszystkiego, a teraz już mogę, przestał mnie dręczyć. Tak naprawdę przerażał mnie tylko szyld nad budynkiem. Śnił mi się po nocach. Pojawił się nagle, bez ostrzeżenia, kiedy śniłem o czymś zwyczajnym. Stacja należała do Narodowej Agencji Dostawców Automobilowych, do N.A.D.A. Chodziło właśnie o ten blaszany, zgrzytający szyld na tle błękitnego nieba, który mówił wciąż: nada, nada. Budziłem się z krzykiem.

Przypomniała sobie, jak to było. A więc upiór przestał go nawiedzać, przynajmniej na tak długo, dopóki wystarczy pigułek. Wciąż nie mogła zrozumieć, że w dniu, kiedy odjechała do San Narciso, widziała Mucha po raz ostatni. Tyle już z jego osoby rozwiało się w powietrzu.

– Och, posłuchaj – zaczął znowu. – Wczuj się w to, Ed.

Nie mogła jednak nawet rozpoznać melodii. Musiał już wracać do rozgłośni. Wskazał na fiolkę:

– Chcesz trochę?

Potrząsnęła głową, że nie.

– Wracasz do San Narciso?

– Tak, dziś wieczorem.

– A gliny?

– Niech mnie ścigają.

Później nie mogła sobie przypomnieć, czy jeszcze coś mówili. Pod rozgłośnią pocałowali się, wszyscy, ile ich było. Odchodząc, Mucho gwizdał coś skomplikowanego, na dwanaście tonów. Edypa wsiadła i oparła czoło na kierownicy. Przypomniała sobie, że nie zapytała o stemple Trysterona na liście od męża, ale było już i tak za późno, by miało to jakiegokolwiek znaczenie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

We „Dworze Echo” Edypa ujrzała Milesa, Deana, Serge’a i Leonarda, którzy stali na trampolinie i obok niej ze wszystkimi instrumentami tak nieruchomo, w sposób tak wystudiowany, iż zdawało się, że jakiś niewidzialny fotograf zdejmuje ich właśnie na ilustrację do okładki albumu.

– Co się dzieje? – zapytała Edypa.

– Ten pani koleś – rzekł Miles – ten cały Metzger zrobił straszny numer Serge’owi, naszemu kontratenorowi. Chłopak puszcza bańki nosem ze zmartwienia.

– To prawda, proszę pani – odezwał się Serge. – Napisałem nawet o tym piosenkę, Piosenkę Serge’a, którą do tego sam zaaranżowałem, a leci ona tak:

*Jaką szansę mały surfingowiec ma  
Na przygodę z kotkiem swym?  
Humbert Humbert wapnu przykład dał  
I mam teraz niezły zgryz.  
Byłaś mi kobietą marzeń  
On cię tylko za nimfetkę ma  
Czemu odeszłaś stąd  
I zostawiłaś mnie  
Kiedy tonę we łzach?  
Nie ma cię już dłużej przy mnie  
Ale przecież muszę kogoś mieć  
Starsze pokolenie uczy  
Jak należy radę sobie dać:  
Wczoraj miałem randkę z ośmiolatką  
A zawodnik z niej lepszy niż ja czy ty  
I znajdziesz nas razem każdej nocy  
Na boisku szkoły nr trzydzieści trzy (O, ye)  
I jest tak bosko, że mózg staje mi!*

– Próbujecie mi coś powiedzieć – domyśliła się Edypa.

Wytłumaczyli to prozą: Metzger i panienska Serge’a uciekli do Nevady, żeby tam wziąć ślub. Po krzyżowym przesłuchaniu Serge przyznał się, że to, co mówił o ośmiolatce pozostaje jak dotąd w sferze wyobraźni, lecz dodał, że pilnie obserwuje wszystkie szkolne boiska i lada dzień spodziewa się pierwszych efektów. Na telewizorze Edypa znalazła kartkę od Metzgera, w której prosił ją, żeby się nie martwiła o spadek i informował, że swoje dotychczasowe uprawnienia przekazał komuś z biura Warpe’a, Kubitschka, Wistfulla i McMingusa, ktoś zresztą powinien się z nią wkrótce skontaktować, cała zaś sprawa została wcześniej uzgodniona w sądzie spadkowym. Ani słowa o tym, że Edypa i on byli czymś więcej niż tylko współwykonawcami testamentu.

Widocznie, pomyślała Edypa, nie byliśmy niczym więcej. Może powinna się była poczuć wzgardzona w bardziej klasyczny sposób, ale miała co innego na głowie. Kiedy tylko rozpakowała bagaże, zadzwoniła do reżysera Randolpha Driblette’a. Po dziesięciu sygnałach jakaś starsza pani podniosła słuchawkę i powiedziała:

– Przykro mi, ale nie mamy nic do powiedzenia.

– Chwileczkę, kto mówi? – wtrąciła Edypa. Westchnienie.

– Mówi jego matka. Jutro w południe będzie wydany komunikat, odczyta go nasz adwokat.

Odłożyła słuchawkę. Co za diabeł, zdziwiła się Edypa, co się dzieje z Driblette'em? Zdecydowała, że zadzwoni później. Znalazła z kolei numer telefonu profesora Emory'ego Bortza. Tym razem miała więcej szczęścia. Telefon odebrała Grace Bortz, żona profesora, otoczona chmurą hałasujących dzieci.

– Mąż podlewa patio – wyjaśniła Edypie. – To taka jego zabawa, ciągnie się chyba już od kwietnia. Mąż siedzi na słoneczku, pije ze studentami piwo i rzuca pustymi butelkami w mewy. Niech się pani pospieszy i przyjdzie, dopóki mąż może jeszcze mówić. Maksiu, czemu chcesz tym rzucić w mamusię, mamusia telefonuje, rzuć lepiej w braciszka. Słyszała pani, że Emory przygotował zupełnie nowe wydanie Wharfingera? Powinno się ukazać... – ale zamiast daty Edypa usłyszała potworny brzęk, maniackalny dziecięcy chichot i piskliwe okrzyki. – O Boże, widziała pani kiedyś dzieciobójstwo? Niech pani przyjeżdża, będzie okazja.

Edypa wzięła prysznic, włożyła sweter, spódnice i tenisówki, upięła włosy niczym studentka, zrezygnowała z makijażu – uświadamiając sobie z pewnym lękiem, że chodzi jej nie o wrażenie, jakie robi na Bortzu ani na jego żonie, lecz na Trystero.

W miejscu, gdzie przed tygodniem stał Antykwariat Zapfa, ujrzała z samochodu stertę zwęglonych popiołów. Śmierdziało jeszcze spaloną skórą. Zatrzymała wóz i weszła do stojącego obok sklepu z artykułami z wojskowego demobilu. Właściciel opowiedział jej zaraz, jak to Zapf, ten cholerny idiota, podpalił sklep, żeby zgarnąć ubezpieczenie.

– Wystarczyłoby trochę wiatru – parsknął dzielny sprzedawca – i moja buda też by poszła z dymem. Postawili te sklepy tylko na pięć lat, więc niby w porządku, ale Zapf nie mógł tak długo czekać. Książki? – Zdawało się, że tylko dobre maniery nie pozwalają mu splunąć na podłogę. – Jak się bierze za handel starociami, trzeba najpierw wiedzieć, na co jest zapotrzebowanie. W tym sezonie najlepiej idą karabiny. O, choćby parę godzin temu, wpadł tu jeden facet i wziął dwieście sztuk dla swojej drużyny strzeleckiej. Chciał jeszcze wziąć dwieście opasek ze swastyką, ale mi się cholera, skończyły.

– Swastyki z wojskowego demobilu?

– Nie, skąd – mrugnął do Edypy jak osoba wtajemniczona i wyjaśnił: – Mam w San Diego taką małą fabryczkę. Bierze się tuzin czarnuchów, przyucza i robią swastyki, aż furczy. Zdziwi się pani, jak idzie ten interes: płyną jak woda. Dałem parę reklam w pismach dla panienek i co? Do samej poczty z zamówieniami musiałem wziąć jeszcze dwóch czarnuchów.

– Jak się pan nazywa?

– Winthrop Tremaine – przedstawił się natchniony przedsiębiorca. – Dla skrótu, Winner. Wie pani, szykujemy teraz dużą umowę z wielką fabryką odzieży z Los Angeles: chcemy zobaczyć, jak pójdą tej jesieni mundury SS. Podłączymy się z tym do akcji „Witaj, szkoło”, trzeba robić głównie rozmiar 37, nastoletnie fasony. Jeśli się uda, w przyszłym roku pójdziemy na całość i wypuścimy specjalną wersję dla pań. Co pani na to?

– Zobaczę – odezwała się. – Będę o panu pamiętać. – Wyszła, zastanawiając się, czemu nie wyzwała sprzedawcy od ostatnich, ani nie dała mu w głowę którymkolwiek z tuzinów twardych przedmiotów z wojskowego demobilu, jakie miała w zasięgu ręki. Nie było świadków.

Czemu tego nie zrobiła?

Tchórzku, powiedziała do siebie, zatraskując pas bezpieczeństwa.

Jesteś w Ameryce, żyjesz tu i na to pozwalasz, pozwalasz temu narastać. Ruszyła dziko autostradą, polując na volkswageny. Kiedy stanęła przed domkiem Bortzów w nadbrzeżnym osiedlu podobnym do terenów nad laguną Fangoso, trzęsła się jeszcze i czuła mdłości.

Przywitała ją tłusta dziewczynka z twarzą dokładnie wysmarowaną jakąś niebieską substancją.

– Cześć – uśmiechnęła się do niej Edypa. – To pewnie ty jesteś Maksia.

– Maxine poszła do łóżka, bo rzuciła tatusiową butelką od piwa w Karolka i trafiła w okno, i mama dała jej w skórę. Na miejscu mamusi zaraz bym ją utopiła.

– Nie przyszło mi to jakoś do głowy – przyznała Grace Bortz, wyłaniając się z ciemnego salonu. – Proszę wejść. – Zaczęła wycierać dziewczynce twarz mokrym ręcznikiem. – W jaki sposób uwolniła się pani od swoich?

– Nie mam dzieci.

Edypa ruszyła za nią do kuchni. Grace wydawała się zaskoczona:

– Można rozpoznać w ludziach pewien, hmm, spłoszony styl bycia – wyjaśniła. – Myślałam, że powodują go tylko dzieci. Widać nie.

Emory Brotz siedział w hamaku otoczony trójką magistrantów: dwoma chłopakami i dziewczyną. Wszyscy byli już zdrowo pijani, a wokół nich rozpościerało się imponujące usypisko butelek po piwie.

Edypa zlokalizowała pełną butelkę i usiadła na trawie.

– Chciałabym – zaczęła bez żadnych wstępów – dowiedzieć się czegoś o historycznym Richardzie Wharfingerze. Nie o werbalnym, ale o historycznym.

– Historyczny Szekspir – warknął jeden z magistrantów przez bujną brodę, zdejmując kapsel z następnej butelki. – Historyczny Marks. Historyczny Jezus.

– Racja – przytaknął Bortz. – Wszyscy nie żyją. Co pozostaje?

– Słowa.

– Wybierz jakieś słowa – doradził Bortz. – O nich możemy pogadać.

– Święta sieć gwiazd nie uratuje tego – wyrecytowała Edypa. – Kto raz skierował swój trop ku Trysteru. Tragedia kuriera, akt 4, scena 8.

Bortz zamrugnął.

– Jakim cudem – wymamrotał – udało ci się dostać do Biblioteki Watykańskiej?

Edypa pokazała mu swój egzemplarz, w którym znalazła linijkę.

Bortz wytrzeszczył oczy i sięgnął po następne piwo.

– Boże mój – obwieścił. – Ktoś zrobił plagiat, ze mnie i z Wharfingera, ulepszono nam tekst czy jak... – Przerzucił strony do początku książki, by sprawdzić, kto dokonał przedruku.

– Ten od przedmowy wstydził się nawet podpisać, niech go szlag. Trzeba napisać do wydawnictwa. K. da Chingado and Company? Słyszała pani o takim? Z Nowego Jorku. – Przyjrzał się stronicom pod światło.

– Offset. – Przesunął nosem nad tekstem. – Literówki. Uch! Błędy. – Rzucił książką w trawę i spojrzał na nią z nienawiścią. – Więc dobrze, w jaki sposób tamci dostali się do Biblioteki Watykańskiej?

– Co tam jest?

– Pornograficzna wersja *Tragedii kuriera*. Odkryłem ją dopiero w 1961 roku, inaczej dałbym o niej przypis w moim starym wydaniu.

– To, co oglądałam tutaj, to nie pornografia?

– Inscenizacja Randy'ego Driblette'a? Nie, ta wersja była jeszcze dość cnotliwa. – Spojrzał smętnie w niebo. – Randy był zresztą bardzo moralnym facetem. Co prawda nie miał za grosz odpowiedzialności za słowo, ale zawsze pozostawał wierny niewidzialnemu polu, jakie otacza każdą sztukę, jej duchowi. Jeżeli ktokolwiek potrafił przywołać historycznego Wharfingera, na którym ci tak zależy, to właśnie Randy. Nikt poza nim nie był tak bliski autorowi ani mikrokosmosowi sztuki, temu, co spowijało za życia umysł Wharfingera.

– Czemu mówisz w czasie przeszłym? – zapytała, czując bicie serca i przypominając sobie głos starszej pani w słuchawce.

– Nie wiesz? – Spojrzeli na nią wszyscy. Pomiędzy pustymi butelkami na trawie, bezcielesna, prześliznęła się śmierć.

– Dwa dni temu Randy rzucił się nocą do Pacyfiku – powiedziała wreszcie dziewczyna. Miała wciąż jeszcze czerwone oczy. – W tym swoim stroju Gennara. Nie żyje. Trafiłaś

właśnie na stypę.

– Próbowałam się rano do niego dodzwonić.

Tylko tyle przyszło Edypie do głowy.

– Zrobił to zaraz potem, jak zdjęli z afisza *Tragedię kuriera* – dodał Bortz.

Jeszcze miesiąc temu następnym pytaniem Edypy byłoby:

„Dlaczego?” Teraz milczała, czekając może na olśnienie.

Odrywają się ode mnie – rzekła w myślach, czując się jak firanka w bardzo wysokim oknie, szarpana wiatrem najpierw w kierunku otchłani, a potem już nad nią samą. – Odchodzą jeden po drugim, wszyscy moi mężczyźni. Mój psychiatra zwariował i ścigają go Izraelczycy; mąż bierze LSD i zapada coraz głębiej w przedziwne przestwory komnat piernikowego domku własnego ja, oddała się beznadziejnie od tego, co kiedyś brałam za miłość, co miało trwać wieki; jedyny mężczyzna, którego miałam oprócz męża, uciekł ze zdeprawowaną piętnastolatką; mój najlepszy przewodnik na drodze do Trystero strzelił gola do własnej bramki. Gdzie jestem?

– Przykro mi – odezwał się Bortz, uważnie przyglądając się Edypie.

Edypa uznała, że już wystarczy.

– Czy pisząc scenariusz, Randy korzystał tylko z tego wydania? – Wskazała książkę na trawie.

– Nie. – Zmarszczył czoło. – Jest jeszcze normalne wydanie, pod moją redakcją.

– A tamtego wieczora, kiedy oglądałeś sztukę? – W butelkach odbijało się zbyt wiele słońca, spowijając ich milczeniem. – Jak się skończył czwarty akt? Jak brzmiały ostatnie słowa Driblette’a, Gennara, kiedy armia staje nad jeziorem i następuje cud?

– Nad Thurn i Taxis fałszywym posłańcem – odrzekł Bortz. – Sztyletów tylko władzą mają ostrza i milczy złota trąbka zapętlona.

– Właśnie tak – zgodzili się magistranci. – Dokładnie.

– I to wszystko? A reszta? Następny dwuwiersz?

– W tekście, który badałem, ostatnie dwie linijki były wymazane. Wydanie watykańskie to tylko obsceniczna parodia, natomiast wers: „Kto raz wszedł w drogę groźnemu Angelo” został umieszczony przez drukarza wydania *in quarto* z 1687 roku. „Wersja z Whitechapel” roi się od błędów. Randy postąpił więc najmądrzej, wykreślając wszystko, co budziło wątpliwości.

– Ale kiedy oglądałam sztukę, Driblette dodał tę watykańską linię, wymówił słowo Trystero.

Twarz Bortza się nie zmieniła.

– Zależało to tylko od niego, prawda? Był sam aktorem i reżyserem.

– Czy naprawdę zrobił to tylko ot, tak? – Zatoczyła rękami koło. – Tak dla kaprysu? Nic nikomu nie mówiąc, wziął kilka linijek z innego tekstu?

– Jak to Randy – odezwał się trzeci student, krępy chłopak w rogowych okularach. – Jeżeli coś go gryzło, prędzej czy później musiało to wyjść na scenie. Na pewno przejrzał masę wersji tej sztuki, żeby poczuć jej ducha, niekoniecznie słowa, i tak natknął się na to twoje wydanie z innym wariantem.

– A to znaczy – podsumowała Edypa – że coś zaszło w jego życiu, coś na tyle wstrząsającego, że tamtego wieczoru dodał dwie linijki tekstu.

– Może tak, może nie – odezwał się Bortz. – Uważasz, że umysł to stół bilardowy?

– Mam nadzieję, że nie.

– Chodźmy do środka, pokażę ci trochę świńskich obrazków – zaprosił ją Bortz, zwijając hamak. Zostawił studentów przy piwie. – Mam tutaj lewe mikrofilmy ilustracji do wydania watykańskiego. Wykradzione z biblioteki w 1961 roku. Byliśmy tam z Grace na stypendium.

Weszli do pomieszczenia, które było jednocześnie gabinetem i prywatną salą seminaryjną. Gdzieś w głębi domu wyło dziecko, porykiwał odkurzacz. Bortz zaciągnął kotary, przerzucił

pudełko przeźroczy, wybrał garść, włączył projektor i nacelował na ścianę.

Edypa ujrzała drzeworyty. Znać w nich było ten tandetny pośpiech powodowany chęcią, by jak najprędzej ujrzeć gotowe dzieło, tak charakterystyczny dla amatorskiej twórczości. Prawdziwej pornografii dostarczają nam nieskończenie cierpliwi profesjonaliści.

– Autor jest anonimowy – mówił Bortz. – Tak samo zresztą jak wierszokleta, który przerobił sztukę. O, Pasquale, pamiętasz? Jeden z ciemnych typów. Tutaj żeni się naprawdę z własną matką, a tutaj masz scenę z ich nocy poślubnej. – Zmienił przeźrocze. – To ci daje ogólne pojęcie. Zauważ, jak często pojawia się w tle wizerunek Śmierci. Taki wyraz moralnego oburzenia był anachronizmem, pozostałością średniowiecza. Nawet purytanie nie byli aż tak uczuleni. Może z wyjątkiem scurvhamitów. D’Amico uważa, że przeróbka sztuki jest właśnie ich dziełem.

– Scurvhamitów?

– Za panowania Karola I, Robert Scurvham założył sektę najczystszych purytanów. Klucz do ich doktryny stanowiło pojęcie predestynacji. Istniały dwa jej rodzaje. Dla scurvhamity nic i nigdy nie działo się przypadkiem, a dzieło stworzenia było potężną, skomplikowaną machiną. Tylko jedna jej część, właśnie sekta scurvhamitów, poruszana była mocą Woli Bożej, która stanowiła podstawowe źródło istnienia. Wszystko inne posłuszne było przeciwnej zasadzie, ślepej i bezdusznej: należało do świata brutalnego automatyzmu, gdzie żywot wiódł tylko ku wiekuiestej śmierci. Zasadniczą ideą sekty było nakłonić odszczepieńców, by ci jak najprędzej połączyli się ze sprawiedliwą i zbożną scurvhamicką sodalicją. Znaleźli się jednak pośród garstki zbawionych scurvhamitów tacy, którym wesoły diabelski młyn potępienia niósł niezdrową, pełną lęku fascynację. Okazało się to fatalne dla sekty. Olśniewające wizje samozagłady zabierały jej członków jednego za drugim, aż wreszcie pozostał już tylko sam Robert Scurvham, który, jak przyszło kapitanowi, poszedł na dno ostatni.

– Ale co miał z nimi wspólnego Wharfinger? – zapytała Edypa. – Po co mieliby pisać świńską wersję sztuki?

– W charakterze egzemplum moralnego. Potępiali teatr, a w ten sposób mogli wtrącić całą sztukę w otchłań piekielną. Najlepszy sposób, żeby skazać dzieło na wieczne potępienie, to przeinaczyć słowa. Poza tym nie zapomnij, że purytanie, tak jak dzisiaj krytycy literatury, bez reszty byli oddani Słowu.

– Ale przecież ta linijka o Trysteru nie jest nieprzyzwoita?

Podrapał się w głowę.

– Tak czy inaczej, pasuje, prawda? „Święta sieć gwiazd”, to oczywiście wola Boża. I nawet ona nie uratuje ani nie ustrzeże kogoś, kto skierował trop ku Trysteru. Aha, ale ty mówiłaś tylko o wchodzeniu w drogę Angelo. Z tym nie ma wcale kłopotu, wystarczy opuścić kraj: Angelo jest tylko człowiekiem. Natomiast ten bezlitosny Drugi, ten, który nakręcał zegar pozascurvhamickiego wszechświata, o, to już inna sprawa. Widocznie więc autorzy uznali, że Trysteru będzie świetnie symbolizować Drugiego.

Edypa nie mogła już odwlec pytania. Znów poczuła lekki zawrót głowy, jak gdyby kołysała się nad przepaścią. Zapytała o to, o co chciała zapytać:

– Co to jest Trysteru?

– Och, jeden z kilku zupełnie nowych tematów, które otworzyły się już po wydaniu z 1957 roku. Przez te lata natrafiliśmy na mnóstwo interesujących tekstów źródłowych. Moje nowe, uzupełnione wydanie ma się ukazać gdzieś w przyszłym roku. Na razie jednak... – Wciąż szukał czegoś w szklanej gablocie pełnej starych foliałów. – O właśnie. – Wyciągnął księgę z ciemnobrązową, odłóżką okładką z cielejącej skóry. – Trzymam moje wharfingeriana pod kluczem, żeby dzieciaki nie mogły się do nich dostać. Karolek zaczęłyby zadawać pytania, do których sam jeszcze nie dorosłem. – Księga nosiła tytuł *Raport o osobliwych peregrynacjach Doktora Dyoklecjana Blobba pośród Italskiej rasy, iluminowany mnóstwem opowieści*



*przykłady z Prawdziwej Historii owej niezwykłej i fantastycznej nacyi.* – Miałem szczęście – opowiadał Bortz. – Podobnie jak Milton, Wharfinger prowadził notatnik, w którym zapisywał cytaty i różne kawałki ze swoich lektur. W ten sposób dowiedzieliśmy się o istnieniu *Peregrynacji* Blobba.

Książka rola się od wyrazów o archaicznych zakończeniach, liter „s”, które wyglądały jak „f”, rzeczowników pisanych z dużej litery i ygreków w miejscach, gdzie powinno być „j”.

– Nie potrafię tego odczytać – stwierdziła po chwili Edypa.

– Spróbuj – zachęcił Bortz. – Ja tymczasem pożegniam małaolatów. To, czego szukasz, jest chyba w siódmym rozdziale.

I zniknął, zostawiając Edypę przed tabernakulum. Okazało się, że chodzi o rozdział ósmy, zawierający relację z osobistego spotkania autora z brygantami Trystero. Dioklecjan Blobb postanowił przemierzyć bezludną górską okolicę w kolonie pocztowej linii Torre e Tassis: Edypa domyśliła się, że to włoska wersja nazwy Thurn i Taxis.

Znienacka, nad brzegiem jeziora, które Blobb nazywa jeziorem Piety, na karetę napadła zgraja jeźdźców w czarnych płaszczach. Wywiązała się gwałtowna, milcząca walka w lodowatym wietrze wiejącym od jeziora. Złoczyńcy używali pałek, arkebuzów, mieczy, sztyletów, a na końcu jedwabnych chust, którymi dusili konających. Zginęli wszyscy oprócz doktora Blobba i jego sługi, którzy wyrwali się z wiru walki już na samym jej początku, oznajmiając wszem i wobec, że są poddanymi brytyjskimi i nawet od czasu do czasu „poważali się śpiewać w głos niektóre pokrępowane hymny Kościoła”. To, że uszli z życiem, zaskoczyło Edypę, zważywszy, jak chorobliwie dbało Trystero o bezpieczeństwo własnego działania.

– Może Trystero zamierzało otworzyć podwoje w Anglii – domyślił się Bortz wiele dni później.

Edypa nie była przekonana.

– Kto chciałby oszczędzać taką beznadziejną pierdołę jak Dioklecjan Blobb?

– Taką gębę poznaje się na milę – odrzekł Bortz. – Nawet w przypiływie okrucieństwa, kiedy w człowieku kipi żądza mordy. Gdybym chciał się pokazać Anglikom i zyskać między nimi rozgłos, nie mógłbym wybrać lepszej osoby. W tamtych czasach Trystero kochało kontrewolucję. Pomyśl o Anglii, o królu, którego wkrótce ścięto. Prowokacja. Herszt rozbójników zabrawszy worki z pocztą, zbliżył się do Blobba i rzekł najczystsza angielszczyzną: „Panie, byłeś oto świadkiem gniewu Trystera. Wiedz jednak, że nawet my znamy litość. Opowiedz o naszym uczynku królowi i parlamentowi, powiedz im, że nasza sprawa zwycięży, i ni burza, ni hazard, ni dzikość bestii i samotność pustyni, ani wreszcie nieprawdy uzurpator do słusznie należnego nam dziedzictwa nie potrafią zatrzymać naszych kurierów”. I oto pośród furkotu płaszczy podobnych do czarnych żagli, rozbójnicy znikli w mrocznych górach, pozostawiając Blobba i jego towarzysza, a także ich sakiewki, bez szwanku.

Blobb usiłował później rozpytywać się o owo Trystero, lecz się przekonał, że wszyscy rozmówcy nabierają wody w usta. Mimo to udało mu się zebrać strzępy informacji – tak jak teraz Edypie.

Z zapomnianych pism filatelistycznych, które przyniósł Cohen, z niejasnego przypisu w *Powstaniu Republiki Holenderskiej* Motleya, ze zbioru kazań napisanych przez brata Dioklecjana Blobba, Augustyna, które również znajdowały się pośród wharfingerianów Bortza, wreszcie z uwag samego Blobba Edypa zdołała odtworzyć następującą relację:

W roku 1577 w rządzonych przez protestanckiego magnata Wilhelma Orańskiego północnych prowincjach Niderlandów dziewiąty rok trwa wojna o niepodległość i wyzwolenie spod katolickich rządów Hiszpanii i katolickiego Cesarza Świętego Imperium Rzymskiego.

W grudniu owego roku Wilhelm Orański, de facto władca Niderlandów, wkracza triumfalnie do Brukseli na prośbę Rady Osiemnastu, junty kalwińskich fanatyków, których

zdaniem opanowane przez warstwy uprzywilejowane Stany Generalne utraciły więc z masami ludowymi i nie reprezentują już wyrobników. Rada utworzyła coś w rodzaju Komuny Brukselskiej: kontrolowała policję, dyktowała Stanom Generalnym wszystkie decyzje, wreszcie usunęła ze stanowisk wiele ważnych brukselskich osobistości. Pośród tych ostatnich znalazł się Leonard I, baron Taxis, członek Tajnej Rady Cesarskiej, baron Buysinghen, dziedziczny Poczmistrz Niderlandów, a zarazem zarządca sieci pocztowej Thurn i Taxis. Zastępuje go niejaki Jan Hinckart, lord Ohain i lojalny sprzymierzeniec Wilhelma Orańskiego. W tym właśnie momencie na scenę wkracza założyciel nowej organizacji. Hernando Joaquin de Trystero Y Cavalera, być może wariat, być może szlachetny buntownik, zdaniem niektórych po prostu aferzysta na wielką skalę. Trystero oświadcza, że jest kuzynem Jana Hinckarta z prawowitej, hiszpańskiej gałęzi rodu, prawdziwym panem Ohain i jedynym spadkobiercą wszystkiego, co posiada Jan Hinckart, łącznie z otrzymanym niedawno tytułem Wielkiego Poczmistrza.

Od roku 1578 aż do chwili, kiedy wojska cesarskie pod wodzą Aleksandra Farnese odbiły Brukselę w marcu 1585 roku, Trystero prowadzi coś w rodzaju wojny podjazdowej ze swym kuzynem – jeżeli Hinckart był nim rzeczywiście. Jako Hiszpan, Trystero cieszył się nikłym poparciem. Prawie bez ustanku z różnych stron zagrażała mu śmierć. Mimo to czterokrotnie usiłował zamordować Wielkiego Poczmistrza wyznaczonego przez Wilhelma Orańskiego, jednakże bezskutecznie.

Farnese przepędził Jana Hinckarta, a urząd poczmistrza objął ponownie Leonard I, Wielki Mistrz Thurn i Taxis. Jednakże cesarz Rudolf II, zaniepokojony protestanckimi sympatiami pośród czeskiej gałęzi swego rodu, na pewien czas cofnął swój patronat nad organizacją. Thurn i Taxis zaczęło tonąć w długach.

Być może wizja ogólnokontynentalnej organizacji, najpierw przejętej przez Hinckarta, a teraz popadającej w ruinę, sprawiła, że Trystero zaczął tworzyć własny system. Trystero, człowiek niezrównoważony psychicznie, był wiecznie gotów występować publicznie i wygłaszać mowy, których tematem niezmiennie było wydziedziczenie. Ohain stał się właścicielem poczt prawem silniejszego, z Trystero zaś związany był prawem krwi. Trystero okrzyknął się więc El Desheredado, wydziedziczonym, i wybrał dla swych zwolenników czarną barwę stroju, która miała symbolizować jedyne, co pozostało wygnańcom: noc. Wkrótce ikonografia nowej organizacji wzbogaciła się o znak trąbki pocztowej z tłumikiem i martwego borsuka z czterema łapami w górze (twierdzi się, że nazwisko Taxis wzięło początek od włoskiego słowa *tasso*, borsuk, i że odnosi się do czap z borsucznych futer, noszonych przez pierwszych bergamockich kurierów). Trystero rozpoczął prowadzoną *sub rosa* kampanię, grabiąc, siejąc zamęt i przerażenie na szlakach pocztowych Thurn i Taxis.

Kilka następnych dni Edypa spędziła na wizytach w bibliotekach i na poważnych rozmowach z Emorym Bortzem i Genghisem Cohenem. Zważywszy to, co wydarzyło się dotąd, żywiła pewne obawy o ich bezpieczeństwo. Nazajutrz po przeczytaniu *Peregrynacji* Blobba poszła wraz z Bortzem, Grace i magistrantami na pogrzeb Randolpha Driblette'a, wysłuchała bezradnej, wstrząsającej przemowy młodszego brata reżysera i patrzyła na jego matkę, która wyglądała jak widmo w popołudniowym smogu, a nocą powróciła wraz z innymi, by siedząc na grobie pić muszkata z Napa Valley, którego Driblette zdążył zgromadzić całe beczki. Nie było księżycy, smog zakrył gwiazdy, wszystko stało się czarne jak jeździec Trystero. Edypa siedziała na ziemi, ziębiąc sobie tyłek, i zastanawiała się, czy sprawdziły się słowa, które Driblette wypowiedział pod prysznicem i czy wraz z nim nie znikła jakaś wersja jej samej. Być może nadal będzie teraz napinać psychiczne mięśnie, których już nie ma, napinać je myślami zdradzonymi przez fantom jaźni jak kaleka zdradzany bywa przez fantom brakującej kończyny. Być może kiedyś uda jej się zastąpić brakującą część siebie protezą, sukienką w odpowiednim kolorze, zdaniem z listu, nowym mężczyzną. Usiłowała dosięgać tego, co w nieprawdopodobny sposób trwało jeszcze dwa metry pod ziemią, zakodowane w bryle białka i wciąż opierające się rozkładowi – dosięgnąć owej upartej ciszy, która zbiera się może właśnie do ostatecznego wybuchu, skoku przez warstwy ziemi, by ledwie migocząc,

resztką sił zachowując chwilową skrzydlatą postać, wstąpić w nowego właściciela albo na zawsze rozpląnąć się w ciemnościach.

Jeżeli przyjdiesz do mnie, modliła się Edypa, przynieś ze sobą pamięć tamtej nocy, lub, jeśli nie możesz zabrać w lot aż tyle bagażu, przynieś tylko ostatnie pięć minut, może wystarczy. Będę wiedziała, czy to, że rzuciłeś się do morza, miało związek z Trysterem. Może pozbyli się ciebie z tych samych powodów, co Hilariusza, Mucha i Metzgera, może myśleli, że nie będziesz mi już potrzebny. Nieprawda. Potrzebowałam cię. Przynieś mi pamięć, a będziesz mógł żyć we mnie przez resztę czasu, jaki mi pozostał. Przypomniała sobie głowę Driblette'a unoszącą się w obłokach pary i słowa: „Możesz się we mnie zakochać”. Czy mogła go jednak wybawić? Spojrzała na dziewczynę, od której dowiedziała się o śmierci Driblette'a. Czy się kochali? Może właśnie ona wie, dlaczego tamtego wieczora Driblette dodał jeszcze dwie linijki? Czy wiedział to on sam? Nikt nie był przecież w stanie podążyć tym tropem, przez nieustanne permutacje i nowe układy setek punktów zaczepienia: seksu, pieniędzy, chorób, rozpachy niesionej przez historię własnego miejsca i czasu. Kto mógł wiedzieć? Zmiana tekstu sztuki miała tak samo niejasne motywy jak samobójstwo. W obu znać było ten sam kaprys. A może, pomyślała nagle, jak gdyby jasna skrzydłata istota naprawdę jej się wśliznęła do serca, może dodanie dwóch linijek wypływało z tego samego śliskiego labiryntu powodów i w jakiś niewytłumaczalny sposób miało posłużyć Driblette'owi jako próba przed ostatecznym skokiem w ogromny zbiornik pradawnej krwi, Pacyfik. Edypa czekała, aż skrzydłata jasność obwieści swój bezpieczny przyłot. Cisza. Driblette, zawołała. Sygnał rozniósł się echem po krętych korytarzach zwojów mózgowych. Driblette! Zupełnie jak przedtem Demon Maxwella: albo nie potrafiła się z nim połączyć, albo też nie istniał.

Biblioteki wyjaśniały jedynie początki Trysterem. Według wszelkich dostępnych danych organizacja nie przetrwała okresu wojny o niepodległość Holandii. Żeby dowiedzieć się reszty, Edypa musiała zacząć poszukiwania od strony Thurn i Taxis. Czyhały tu różne niebezpieczeństwa. Dla Bortza była to swego rodzaju śliska gra. Ukuł on nawet teorię lustrzanego odbicia, w myśl której każdy okres zachwiania równowagi Thurn i Taxis wpływał także na sytuację państwa-cienia, Trysterem. Temu właśnie należało przypisać fakt, że straszliwe imię ukazało się w druku dopiero w połowie XVII stulecia.

Cóż jednak sprawiło, że autor kalambura „by trysterem dawny gniew znać” przemógł własny lęk? W jaki sposób połowa watykańskiego dwuwiersza z wymazaną drugą linijką znalazła się w wydaniu *in folio*?

Kto odważył się wreszcie napomknąć o rywalu Thurn i Taxis? Bortz twierdził, że Trysterem oświadczył wówczas wewnętrzny kryzys wystarczająco poważny, by świadkowie mogli unikać zemsty. Być może z tych samych przyczyn ocalał Dioklecjan Blobb.

Czy jednak Bortz mógł rozwijać zwykłe słowa w kształty tak bujne, w róże tak niezwykle, że w ich cieniu, w czerwonym wonnym zmierzchu wiła się i pełzała niewidoczna, mroczna historia? Kiedy w roku 1628 zmarł Leonard II Franciszek, hrabia Thurn i Taxis, jego żona, Aleksandra z Rye, przejęła urząd poczmistrza, chociaż nigdy nie sprawowała tej funkcji oficjalnie. Wycofała się dopiero w 1645 roku, ośrodek zaś władzy nad monopolem zmieniał się wciąż aż do roku 1650, kiedy rządy objął kolejny męski spadkobierca rodu, Lamoral II Klaudiusz Franciszek. Tymczasem jednak w Brukseli i Antwerpii coraz więcej pojawiało się oznak upadku całego systemu. Inne prywatne poczty zaczęły się wdierać na obszary zastrzeżone dotąd przez cesarza dla Thurn i Taxis, aż wreszcie w obu miastach zamknięto przedstawicielstwa monopolu.

Jak jednak, pytał Bortz, zareagowało Trysterem? Któraś bardziej wojownicza frakcja mogła uznać, że nadeszła upragniona chwila i zaproponować dokonanie przewrotu siłą, korzystając z tego, że wróg jest bezradny. Konserwatyści woleli jednak nadal trwać po prostu w opozycji, jak działo się to już od siedemdziesięciu lat. Mogło się też pojawić kilku wizjonerów, ludzi,

którzy potrafili patrzeć dalej niż tylko w najbliższą przyszłość i myśleć w sposób historyczny. Przynajmniej jeden z nich mógł się okazać dość bystry, aby przewidzieć koniec wojny trzydziestoletniej, pokój westfalski i rozpad Imperium wraz z towarzyszącym mu rozdrobnieniem Rzeszy.

– Gość wygląda jak Kirk Douglas – entuzjazmował się własną wizją Bortz. – Przy boku ma, rzecz jasna, miecz, do tego ostre imię, powiedzmy, Konrad. Wszyscy zbierają się w sali na tyłach tawerny, wokół nich panienki w chłopskich bluzach roznoszą browar, wszyscy tankują i drą się, naraz Konrad wskakuje na stół, zebrani cichną.

– Zbawienie Europy – klaruje im Konrad – zależy od komunikacji, no nie? Przed nami anarchia zazdrosnych niemieckich książątek, są ich setki, wszyscy knują, zakładają kontrspiski, organizują przewroty pałacowe, trwonią siły Imperium na bezużyteczną szarpaninę. Ale ktokolwiek obejmie kontrolę nad przekazem informacji pomiędzy nimi, będzie miał ich wszystkich w ręku. Taka sieć mogłaby na dłuższą metę zjednoczyć cały kontynent. Proponuję więc, żebyśmy połączyli się z naszym wrogiem, Thurn i Taxis. – Teraz krzyki: „Nie”, „Nigdy”, „Śmierć zdrajcy”, ale wtedy kelnereczka, gwiazdka, która ma ochotę na Konrada, bierze kufel i daje w łeb najhałaśliwшему z oponentów. – Razem – ciągnie Konrad – oba systemy będą niezwyciężone. Będziemy mogli odmówić usług każdemu, kto nie uzna Imperium. Bez nas nikt nie będzie mógł przerzucać wojsk, uprawiać roli ani nic. Jeżeli zaś któryś z książąt będzie chciał założyć własną pocztę, dostanie w łeb. My, którzy tak długo byliśmy wydziedziczeni, staniemy się spadkobiercami całej Europy.

Długotrwałe oklaski.

– Nie powstrzymali jednak rozpadu cesarstwa – zauważyła Edypa.

– Hmm. – Bortz zaczął się wycofywać. – Zapewne radykałowie i konserwatyści walczyli do upadłego. Konrad i jego ludzie, chłopaki z głową, próbowali załagodzić spór, ale kiedy doszło wreszcie do porozumienia, Cesarstwo już upadło, a Thurn i Taxis nie życzyło sobie żadnych umów. Wraz z upadkiem Świętego Cesarstwa Rzymskiego znika, oprócz innych wspaniałych złudzeń, prawomocność roszczeń Trystero. Coraz łatwiej o paranoję. Jeżeli Trystero udało się zachować choćby częściową konspirację, a Thurn i Taxis nie dowiedziało się, kim jest przeciwnik ani jak daleko sięgają jego wpływy, wielu ludzi należących do monopolu musiało uwierzyć w istnienie czegoś na kształt ślepego, mechanicznego anty-Boga scurvhamitów. Czymkolwiek było to coś, potrafiło mordować konnych posłańców, z hukiem spuszczać na trakty kamienne lawiny, obejmować walkami coraz to nowe obszary, wreszcie ustanowić własny monopol pocztowy: burzyło Imperium niczym duch czasu dążący, by skopać Thurn i Taxis tyłek. Minęło półtora stulecia i paranoja powoli zaczęła ustępować, jak gdyby odkryto istnienie świeckiego Trystero. Okazuje się, że wszechmoc, władza, okrucieństwo i inne atrybuty tego, co brano za *Zeitgeist*, za zasadę historii, należą do ludzkiego przeciwnika. Należą tak dalece, że według niektórych opinii to właśnie Trystero zorganizowało od początku do końca całą Rewolucję Francuską, która miała umożliwić wydanie proklamacji datowanej 9 *frimaire* roku III, ratyfikującej kres monopolu Thurn i Taxis we Francji i Niderlandach.

– Według czyich opinii? – zaciekała się Edypa. – Gdzie to wyczytałeś?

– Ktoś musiał na to wpaść, nie? – odrzekł Bortz. – Zresztą może wcale tak nie było.

Nie nalegała więcej. Od dawna narastała w niej obawa przed podążeniem jakimkolwiek tropem. Na przykład nie spytała Genghisa Cohena, czy jego Komitet Ekspertów wydał już w końcu jakąś opinię o przesłanych znaczkach. Wiedziała, że jeśli pojedzie do Domu Vesperhavena, okaże się, iż sędziwy pan Thoth też już nie żyje.

Wiedziała, że musi napisać do K. da Chingado, wydawcy zagadkowej antologii, ale nie uczyniła tego ani też nie zapytała Bortza, czy sam to zrobił. Co najgorsze, przyłapała się na tym, że używa najbardziej absurdalnych wybiegów, byle tylko nie rozmawiać o Randolphie Driblette. Ilekroć w polu widzenia pojawiała się dziewczyna, która była na stypie, Edypa pod

byle pretekstem opuszczała towarzystwo. Czują, że zdradza w ten sposób Driblette'a i siebie samą, ale nie zmieniała postępowania, wciąż starając się, aby jej objawienia nie wykroczyły poza pewien punkt – gdyż inaczej mogłyby ją przerosnąć, objąć swym zasięgiem. Kiedy pewnego wieczora Bortz zapytał, co Edypa sądzi o zaproszeniu D'Amico, który wykładał na Uniwersytecie Nowojorskim, Edypa natychmiast powiedziała: „Nie”. Zbyt prędko, zbyt nerwowo. Bortz nie wspominał więcej o tej sprawie. Edypa także nie.

Poszła jednak raz jeszcze do „Ekranu”, samotna, niespokojna, przerażona tym, co może napotkać. Napotkała tylko Mike'a Fallopiana, z kilkutygodniową brodą, w oliwkowej koszuli wojskowej, zaprasowanych na kant spodniach mundurowych bez patek i mankietów, zapinanej na dwa guziki kurtce mundurowej, bez czapki.

Otoczające go tłumem panienki piły koktajle z szampanem i porykiwały ordynarne piosenki. Widząc Edypę, Mike posłał jej szeroki uśmiech i gestem zachęcił, by podeszła.

– Wyglądasz, że ho ho – zdziwiła się. – Jakby coś miało się zacząć. Jakbyś ćwiczył już w górach rebeliantów.

Przy tych słowach wrogie spojrzenia dziewczyn omotały wszystkie dostępne oczom części ciała Fallopiana.

– Tajemnica rewolucyjna – roześmiał się i rozprostował ramiona, strząsając z siebie markietanki. – Idźcie już, wszystkie, wszystkie, chcę porozmawiać z tą panią. – A kiedy znalazły się poza zasięgiem słuchu, spojrzał na Edypę współczująco, z lekką złością, może także z odrobiną erotyzmu... – Jak tam twoje poszukiwania?

Zdała mu krótki raport. Nie przerywał, tylko jego twarz zmieniła się dziwnie. Edypa zaniepokoiła się. Żeby go trochę rozruszać, zagadnęła:

– Dziwię się, że na przykład wy wszyscy nie korzystacie z tego systemu.

– A czy należymy do podziemia – odrzekł bardzo spokojnie. – Czy zostaliśmy kiedyś odtrąceni?

– Nie chciałam tego powiedzieć...

– Może nie nawiązaliśmy jeszcze kontaktu – ciągnął Fallopian. – A może oni jeszcze tego nie zrobili. Może nawet korzystamy ze ŚMIETNIKA, ale w tajemnicy. – A potem, kiedy przez salę zaczęła się sączyć elektroniczna muzyka, dodał: – Jest jeszcze druga strona medalu...

Edypa wyczuła, co chce powiedzieć, i odruchowo zazgrzytała zębami. Nerwowy odruch, którego nabawiła się ostatnio.

– Edypo, czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że ktoś cię nabiera? Że wszystko to jest oszustwem albo czymś co Inverarity obmyślił przed śmiercią?

Owszem, przyszło jej to do głowy, na tej samej zasadzie, jak myśl, że kiedyś umrze. Edypa uparcie wzbraniała się spojrzeć takiej możliwości w oczy, ujrzyć ją w jakimkolwiek, choćby najbardziej przypadkowym świetle.

– Nie – odezwała się więc. – Nie bądź śmieszny.

Fallopian spojrzał na nią pełen współczucia.

– Powinnaś teraz – zaczął cicho – jeszcze raz to wszystko przemyśleć. Wypisz wszystkie niezbite dowody, jasne fakty. Potem dodaj to, co sama wykombinowałaś, domysły, i zobacz, co masz w ręku. Zrób przynajmniej tyle.

– No, dalej – odezwała się chłodno. – Przynajmniej tyle. A potem?

Uśmiechnął się, jak gdyby próbował uratować w ten sposób wszystko, co w tej milczącej sekundzie pękło z hukiem, dzieląc przestrzeń pomiędzy nimi setkami niewidzialnych pęknięć.

– Nie złość się na mnie.

– A potem sprawdzę źródła informacji, tak? – ciągnęła Edypa, życzliwym tonem. – Czy nie tak?

Nie odezwał się już.

Wstała, zastanawiając się, czy nie rozwichrzyły jej się włosy ani czy na jej twarzy nie znać śladów hysterii, poczucia odtrącenia, i czy rozmowa nie przerodziła się w scenę.

– Wiedziałam, że się zmienisz, Mike – szepnęła. – Wszyscy wokół mnie ostatnio bardzo się zmienili, ale nikt nie posunął się aż do nienawiści.

– Nienawiści? – roześmiał się i potrząsnął głową.

– Aha, gdybyście potrzebowali więcej broni albo opasek na rękawy, skontaktuj się z Winthropem Tremaine, ma sklep koło autostrady, firma „Adolf boutique”. Możesz powołać się na mnie.

– Dzięki, zawarliśmy już transakcję.

Zostawiła go samego, w zmodyfikowanym kubańskim mundurze, wpatzonego w podłogę w oczekiwaniu na powrót panienek.

Źródła informacji? To prawda, dotąd unikała tej myśli. Pewnego dnia Genghis Cohen zadzwonił i podnieconym głosem zapytał, czy Edypa zechciałaby przyjechać i zobaczyć, co przyszło pocztą, zwykłą pocztą. Okazało się, że chodzi o stary amerykański znaczek z wizerunkiem trąbki pocztowej z tłumikiem i borsuka z łapami w górze, a także napisem: Świta Milczące Imperium Epoki Trystero Nieme I Karne.

– Więc to stąd wziął się skrót – olśniło Edypę. – Jak pan to zdobył?

– Od przyjaciela – bąknął Cohen, przerzucając wymięty katalog Scotta. – Z San Francisco. – Jak zwykle nie wymienił nazwiska ani adresu. – Dziwna sprawa. Przyjaciel pisze, że nie mógł znaleźć tego znaczka w żadnym katalogu, a tutaj jest. W tak zwanym addendum, proszę spojrzeć.

Istotnie, na początku książki wlepiono dodatkową kartkę. Znaczek miał w katalogu numer 163LI i podpis: Szybka Poczta Trystero, San Francisco, Kalifornia. Znaczek powinien być umieszczony pomiędzy Okazami Lokalnymi 139 (Urząd Pocztowy przy Trzeciej Avenue, Nowy Jork) i 140 (Union Post, również Nowy Jork). W przypływie intuicyjnej wizji Edypa przerzuciła strony katalogu i na ostatniej znalazła nalepkę Antykwariatu Zapfa.

– Ależ oczywiście – rzekł Cohen. – Pojechałem tam pewnego dnia, żeby spotkać się z panem Metzgerem. Pani akurat wyjechała na północ. To specjalny katalog Scotta, wie pani, wyłącznie ze znaczkami amerykańskimi. Zwykle nigdy po niego nie sięgam, gdyż moja specjalność to serie europejskie i kolonialne. Ponieważ jednak moja ciekawość została rozbudzona...

– Jasne – przerwała Edypa.

Addendum mógł sobie wkleić każdy. Wróciła do San Narciso i jeszcze raz przejrzała listę aktywów Inverarity'ego. Naturalnie był właścicielem centrum handlowego, w którym znajdowały się sklepy Zapfa i Tremaine'a. A także teatru „Nora”.

W porządku, pomyślała Edypa, chodząc z kąta w kąt i czując w trzewiach narastającą pustkę, jak gdyby oczekiwała czegoś naprawdę strasznego. W porządku. Tak musiało być, prawda? Każda ścieżka ku Trystero brała początek w dziedzictwie Inverarity'ego. Nawet książka Bortza, *Peregrynacye*, kupiona, mogła się założyć, w Antykwariacie Zapfa – Bortza, który uczył w San Narciso College, szczerze uposażony przez zmarłego.

Co to wszystko znaczy? Czy Bortz, a z nim Metzger, Cohen, Driblette, Koteks, tatuowany marynarz z San Francisco, doręczyciele SMIETNIKA, to wszystko ludzie Inverarity'ego? Wynajęci? A może robią to przez lojalność, za darmo, dla zabawy, aby urzeczywistnić jakąś olśniewającą mistyfikację, którą Pierce obmyślił, żeby wprowadzić Edypę w pomieszanie albo sterroryzować ją, albo uszlachetnić?

Zmień imię na Miles, Dean, Serge albo Leonard, doradziła swemu odbiciu, wynurzającemu się z popołudniowego półmroku zwierciadła.

Tak czy inaczej, nazwą to paranoję. Tamci. Oni. Być może naprawdę, bez pomocy LSD czy innych indolowych alkaloidów wylądowałaś pośród ukrytego bogactwa, wśród tajemnej tkanki snu; trafiłaś na sieć, za pomocą której naprawdę porozumiewają się Amerykanie, pozostawiając oficjalnej poczcie zdawkowe zdania, kłamstwa i oznaki umysłowego ubóstwa; może natrafiłaś na prawdziwą alternatywę ślepego zaułka – pozbawionego niespodzianek

życia, którego wizja prześladowuje wszystkich Amerykanów, ciebie także, kotku. Lecz być może masz po prostu halucynacje. Lub też zadzierzgnięto wokół ciebie spisek, kosztowny i dopracowany, obejmujący fałszowanie znaczków i dawnych książek, stały nadzór nad każdym twoim ruchem, rozmieszczenie w całym San Francisco wizerunku trąbki pocztowej z tłumikiem, przekupienie bibliotekarzy, wynajęcie zawodowych aktorów i Pierce Inverarity wie, kogo jeszcze, za pieniądze pobierane z masy spadkowej w sposób zbyt subtelny i sekretny, by mógł to pojąć twój nie obeznany z prawem umysł, nawet jeżeli sama jesteś współwykonawczynią testamentu, spisek tak zawikłany, że musi być czymś więcej niż zwykłym żartem. Albo cały spisek jest dziełem twej wyobraźni, a w takim przypadku, jesteś chora, Edyppo, i masz nierówno pod sufitem.

Tak właśnie, kiedy się nad tym zastanowiła, przedstawiały się wszystkie możliwości. Symetryczna czwórka. Edypie nie podobała się żadna z nich, lecz wciąż miała nadzieję, że jest umysłowo chora i że na tym polega cały kłopot. Tego wieczoru kilka godzin przesiedziała nieruchomo, zbyt zdrętwiała nawet, żeby pić, i usiłowała nauczyć się oddychać w próżni. Gdyż wszystko dookoła stało się otchłanną próżnią.

Nikt nie może jej pomóc. Nikt na całym świecie. Wszyscy mają swoje własne plany, wszyscy są szaleni, być może wrodzy, martwi.

Zaczęły jej dokuczać stare plomby w zębach, całymi nocami wpatrywała się w sufit spowity różową poświatą – San Narciso. Czasem znów spała osiemnaście nieprzytomnych godzin bez przerwy i budziła się wyczerpana nerwowo, niezdolna nawet wstać. W czasie konferencji z miłym, gadatliwym starszym panem, który był jej nowym radcą prawnym, gubiła wątek już po kilku sekundach i częściej śmiała się nerwowo, niż mówiła. Znienacka dopadały ją fale mdłości, trwające od pięciu do dziesięciu minut, dręcząc ją okropnie i znikając bez śladu.

Bolała ją głowa, miewała koszmary i bóle jak przy okresie. Któregoś dnia pojechała do Los Angeles, znalazła w książce telefonicznej adres pierwszego lepszego ginekologa i oświadczyła lekarce, że chyba jest w ciąży. Zrobiła potrzebne testy, zarejestrowała się jako Grace Bortz, ale nie pojawiała się, żeby odebrać wyniki.

Genghis Cohen, dawniej taki powściągliwy, każdego dnia przynosił teraz nowe cymelia: wykazy z przestarzałych katalogów Zumsteina, wspomnienia przyjaciela z Królewskiego Towarzystwa Filatelistycznego, niejasną relację o trąbce pocztowej z tłumikiem widzianej w katalogu aukcji, która odbyła się w Dreźnie w 1923 roku; albo znów przysłany przez „przyjaciela z Nowego Jorku” maszynopis, który miał być przekładem artykułu z wydanej w 1865 roku sławnej *Bibliothèque des Timbrophiles* Jana Baptysty Moensa. Treść maszynopisu przypomniła jako żywo sztukę Wharfingera i mówiła o wielkiej schizmie w szeregach Trystero podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Według niedawno odkrytych i rozszyfrowanych pamiętników hrabiego Antoine Raoula de Vouziers, markiza de Tour et Tassis, jedna z frakcji Trystero nigdy nie pogodziła się z Rewolucją, traktując ją jako chwilowe szaleństwo i nie uznała upadku Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Ponieważ arystokratyczna frakcja czuła się w obowiązku przyjść z pomocą nobliwym przywódcom Thurn i Taxis w ich kłopotach, zaczęła sondować grunt, aby sprawdzić, czy Thurn i Taxis zechce być subsydiowane. Posunięcie rozdarło szeregi Trystero.

Podczas walnej rady zwołanej w Mediolanie przez tydzień szalały spory, rodziły się wiekowe waśnie, dzieliły się całe rody, płynęła krew, aż wreszcie projekt rezolucji o subsydiowaniu przeciwnika upadł.

Wielu konserwatystów, widząc w tym wyrok Boży, zerwało swoje związki z Trystero. Tak oto, konkludował artykuł, organizacja wkroczyła w zmierzch swego istnienia. Od bitwy pod Austerlitz aż do zaburzeń 1848 roku Trystero dryfowało pozbawione wszelkiego arystokratycznego patronatu; zmieniło się w garstkę straceńców, którzy doręczali korespondencję anarchistów; organizacja angażowała się tylko na peryferiach wielkiej

polityki – w Niemczech podczas pechowego Zgromadzenia Frankfurckiego, na barykadach Budapesztu, może nawet pośród zegarmistrzów szwajcarskiej Jury, których Trystero przygotowywało na przyjęcie M. Bakunina.

Większość jednak umknęła w latach 1848-50 do Ameryki, gdzie bez wątplenia działają do dziś, gotowi świadczyć usługi wszystkim, którzy chcą zdławić płomień Rewolucji.

Edypa pokazała maszynopis Bortzowi, mniej przejęta, niż byłaby tydzień wcześniej.

– No właśnie – zaczął spekulować Bortz. – Uciekając przed falą represji z 1849 roku, członkowie Trystero przybywają pełni wielkich nadziei do Ameryki i cóż znajdują? – Retoryczne pytania były zwykłą częścią jego gry. – Nowe kłopoty. Około 1845 roku rząd Stanów Zjednoczonych przeprowadził wielką reformę pocztową, poobcinał taryfy i wysadził z siodła większość niezależnych linii pocztowych. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych każdy niezależny przewoźnik, który chciałby konkurować z pocztą rządową, zostawał błyskawicznie zduszony. Tak więc lata 1849-50 były najgorszym okresem, w którym emigrujące Trystero mogłoby myśleć o podjęciu dzieła pozostawionego w Europie. Trwali więc nadal w konspiracji – ciągnął Bortz – a tymczasem do Ameryki napływali nowi emigranci, chcący uwolnić się od tyranii, zasymilować w nowej dla siebie kulturze, wpaść do tygla narodów. Kiedy przychodzi wojna domowa, większość z nich, jako liberałowie, zaciąga się, żeby walczyć za Unię. Trystero inaczej: znów jest w opozycji. Do 1861 roku zdążyli się już dobrze zdomowić i nie było sposobu, żeby ich wyplenić. Kiedy Pony Express walczy z pustynią, dzikusami i napastnikami, Trystero szkoli kurierów na błyskawicznych kursach dialektów Siuksów i Atabasków. Przebrani za Indian posłańcy przekradają się bezpiecznie na zachód, zawsze docierając do morza przy stratach własnych zero, bez jednego draśnięcia. Za wszelką cenę starają się utrzymać milczenie, kultywują przebranie, opozycję ukrytą pod płaszczem przymierza.

– A co ze znaczkami Cohena? Świta Milczące Imperium Epoki Trystero Nieme I Karne?

– W pierwszych latach byli bardziej otwarci. Dopiero kiedy dobrały się do nich władze federalne, przerzucili się na znaczki, które imitowały prawdziwe.

Edypa znała już te znaczki. Na zielonej piętnastocentówce wydanej z okazji Wystawy Kolumbijskiej w 1893 roku („Kolumb obwieszcza o swoim odkryciu”), twarze trzech dworzan, którzy usłyszeli wiadomość zostały wyretuszowane tak, że maluje się na nich teraz nieopisane prerażenie. W trzycentowym wydaniu z serii „Amerykańskich Matek”, upamiętniającym Dzień Matki w 1934 roku, kwiaty w lewym dolnym rogu reprodukcji „Portretu Matki” Whistlera zastąpiono belladonną, muchojadką, trującym sumakiem i innymi, których Edypa nawet nie znała. W serii „Stulecie Poczty” z 1947 roku, tej na cześć wielkiej reformy pocztowej, która stanowiła początek końca prywatnych kurierów, głowa jeźdźca z Pony Express jest przekreślona pod niepokojącym, niespotykanym wśród żywych kątem.

W ciemnofioletowej trzycentówce z 1954 roku na twarzy Statui Wolności dorysowano złośliwy uśmiech. Na znaczku z okazji Wystawy Światowej w Brukseli, który przedstawia pawilon amerykański z lotu ptaka, można dostrzec w pewnej odległości od tłumu zwiedzających znajomą sylwetkę jeźdźca na koniu. Był także pośród tych znaczków egzemplarz z Pony Express, który Edypa oglądała podczas pierwszej wizyty u Cohena, czterocentowa z Lincolnem i napisem Poczta UFA; złowroga lotnicza ośmiocentówka z listu marynarza z San Francisco.

– Hmm, bardzo interesujące – odezwała się. – Ciekawe, czy cała rzecz jest legalna?

– Nietrudno sprawdzić. – Bortz spojrzał jej prosto w oczy. – Może się tym zajmiesz?

Bóle zębów dokuczały jej coraz bardziej, nocami śniły jej się bezcielesne głosy, przed których złośliwością nie potrafiła uciec; miękki zmierzch luster, z których lada chwila mogło coś wyjść, oczekujące na nią puste pokoje. Żaden ginekolog nie znał testu, którym można by sprawdzić tę ciążę.

Pewnego dnia Cohen zadzwonił z wiadomością, że zakończono przygotowania do aukcji,



na której miała pójść pod młotek kolekcja Inverarity'ego. „Falszywki” z Trystero figurowały w katalogu aukcji jako numer 49.

– Ponadto zdarzyło się coś niezmiernie dziwnego, pani Maas. Pojawił się nowy kupiec z księgi, o którym do tej pory nie słyszałem ani ja, ani żadna z tutejszych firm.

– Co się pojawiło?

Cohen objaśnił, że kupujący dzielą się na tych „z parkietu”, którzy osobiście biorą udział w aukcji, i tych „z księgi”, którzy o wysokości swoich stawek powiadamiają listownie. Biuro aukcji zapisuje licytowane przez nich stawki w specjalnej księdze, stąd nazwa. Zgodnie ze zwyczajem, nie ujawnia się nazwisk osób, za które licytuje księga.

– Więc skąd pan wie, że to ktoś obcy?

– Chodzą takie słuchy. Ten ktoś zachowuje się nadzwyczaj tajemniczo. Działa przez pełnomocnika, C. Morrisa Schrifta, osobę bardzo zacną i szanowaną. Wczoraj Morris skontaktował się z biurem aukcji i powiedział, że jego klient chciałby zawczasu obejrzeć właśnie te falszywki, numer 49. Zwykle nie robi się trudności, jeżeli tylko wiadomo, kto chce obejrzeć obiekt licytacji, i jeżeli zostaną opłacone koszty przesyłki i ubezpieczenie, no i jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nastąpi zwrot znaczków, Morris był tak tajemniczy, że za nic w świecie nie chciał ujawnić nazwiska klienta ani żadnych innych szczegółów. Powiedział tylko, że o ile się orientuje, ten ktoś jest spoza branży. A ponieważ biuro jest instytucją ostrożną, przeprosiło i naturalnie mu odmówiło.

– Co pan o tym sądzi? – zapytała Edypa, wiedząc już i tak dosyć.

– Sądzę, że nasz tajemniczy kupiec może być z Trystero. Zobaczył opis obiektu w katalogu aukcji i chce uchronić dowody istnienia organizacji przed dostaniem się w niepowołane ręce. Ciekaw jestem, jaką cenę zaoferuje.

Edypa wróciła do „Dworu Echo” i piła bourbona do zachodu słońca, a kiedy było już zupełnie ciemno, wyszła i przez jakiś czas jeździła po autostradzie z wyłączonymi światłami, chcąc zobaczyć, co się stanie.

Anioły strzegły jej jednak. Trochę po północy znalazła się w budce telefonicznej w pustej, mrocznej, nieznanym dzielnicy San Narciso.

Wykręciła międzymiastową do baru „Na Greka” w San Francisco, opisała właścicielowi melodyjnego głosu w słuchawce, jak „wygląda pryszczaty, ostrzyżony na jeża Anonimowy Inamorato, z którym kiedyś rozmawiała, a potem czekała pół minuty, czując łzy, które nie wiedzieć czemu cisnęły jej się do oczu, zasłuchana w brzęk szkła, wybuchy śmiechu i odgłosy szafy grającej. Wreszcie usłyszała znajomy głos.

– Mówi Arnold Snarb. – Mówiąc to, prawie się zachłysnęła.

– Byłem w toalecie dla chłopców – wyjaśnił. – W męskiej był komplet.

Opowiedziała mu prędko w niecałą minutę wszystko, czego się dowiedziała o Trystero i co się stało z Hilariusem, Muchem, Metzgerem, Driblette'em, Fallopiem.

– Zostałeś mi tylko ty. Nie wiem, jak się nazywasz, nic mnie to nie obchodzi. Chcę tylko wiedzieć, czy ktoś to z tobą z góry ukartował: żeby zetknąć nas ze sobą, niby przypadkiem, i żebyś mi opowiedział o trąbce pocztowej. Dla ciebie może to być tylko żart, ale dla mnie od kilku godzin przestało być żartem. Upiłam się i jeździłam po autostradzie. Następnym razem będę już dokładniejsza i nie zdam się na przypadek. Na miłość Boską, na miłość życia, na wszystko co ci drogie, proszę, pomóż mi.

– Arnold – urwał. Przez chwilę słyszała tylko barowy zgiełk.

– Już się stało – dodała. – Mają mnie w ręku. Odtąd będę już gubić ślad. Jesteś wolny. Swobodny. Powiedz mi.

– Za późno – usłyszała.

– Dla mnie?

– Dla mnie.

Nim zdążyła zapytać, o co mu chodzi, odłożył słuchawkę. Nie miała więcej monet, zanim

zdążyłaby rozmiąć banknot, facet zniknąłby dawno. Stała nieruchomo pomiędzy budką publicznego telefonu a wynajętym samochodem, wśród nocy, w doskonałej izolacji.

Spróbowała spojrzeć ku morzu, ale straciła orientację. Zatoczyła się, robiąc piruet na wysokim obcasie, lecz gór także nie mogła dostrzec – jak gdyby zniknęły wszelkie bariery pomiędzy nią a resztą krainy. San Narciso przepadło (zgasło nagle, w jednej chwili, bez reszty; pośród gwiazd trwał tylko dźwięk trącanego lekko orkiestrowego trójkąta) pozbywając się w oczach Edypy reszty swej jedyności; stało się nazwą, na powrót wpasowało w ciągłość skorupy i płaszczka Ameryki. Pierce Inverarity naprawdę zmarł.

Szła wzdłuż torów biegnących obok autostrady. Gdzieś odchodziły od nich bocznicę do zakładów. Być może również i zakłady należały do Pierce'a. Jakie miało jednak znaczenie, czy był właścicielem San Narciso? San Narciso stanowiło tylko nazwę, przypadek w dzienniku meteorologicznym, snów i tego, czym się stają sny w skumulowanym świetle dnia, linią szkwału albo tornado pośród ogólniejszych fenomenów należących do bardziej kontynentalnego klimatu: grup burzowych zbiorowego cierpienia i potrzeb, dominujących wiatrów obfitości. Rzeczywistość była ciągła: San Narciso nie miało granic. Nikt nie wiedział, jak je nakreślić. Wiele tygodni temu Edypa chciała się poświęcić, by nadać sens temu, co pozostawił Pierce, nie podejrzewając, że dziedzictwem jest Ameryka.

Czyżby więc Edypa Maas była jej spadkobierczynią? Może tak stanowił testament, bez wiedzy Pierce'a, który mógł to przeoczyć, zbyt ogarnięty własną ekspansją, nawiedzony, wsłuchany w jasnowidzące głosy? Choć Edypa nie potrafiła już przywołać obrazu zmarłego, tak aby mógł rozmawiać i udzielić odpowiedzi, nie umiała też zrezygnować z nowego u niej przywiązania do ślepego zaułka, z którego Pierce usiłował się wydostać, do zagadki, jaką stworzył.

Chociaż nigdy nie rozmawiali o interesach, Edypa wiedziała, że właśnie ta część Pierce'a nigdy nie zostanie zrównoważona, że jej nierówność będzie ciągnąć się do dowolnego miejsca po przecinku; miłość Edypy, jakkolwiek była, nie mogła wytrzymać porównania z ową namiętnością, by posiadać, odmieniać kraj, tworzyć nowe horyzonty, nowe ludzkie antagonizmy, nowe krzywe wzrostu. „Niech się kręci – powiedział jej kiedyś Pierce. – Oto cała tajemnica. Niech się kręci”. Pisząc testament, musiał więc wiedzieć, gdy już stał twarzą w twarz z widmem, w jaki sposób obrotu ustaną. Być może napisał testament tylko po to, by dręczyć niegdysiejszą kochankę, wiedziony cyniczną pewnością, że sam zniknie bez śladu, pewnością kładącą porzucić nadzieję na więcej. Może gorycz tkwiła w nim aż tak głęboko?

Skąd mogła to wiedzieć Edypa? Być może Pierce sam odkrył Trystero i zaszyfrował wiadomość o nim w testamencie, tak układając tekst, by Edypa mogła wpaść na trop. Albo może usiłował przeżyć własną śmierć pod postacią paranoi, uniwersalnego spisku przeciwko komuś, kogo kochał. Czy ten utwór perwersji był rzeczywiście silniejszy niż jego śmierć? Czy zadzierzgnięty spisek stał się już nazbyt skomplikowany, by czarny anioł przybyły na gościnne występy dał sobie z nim radę od razu, uchwycił wszystkie nici naraz? Czy może coś mogło jednak umknąć aniołowi i czy Inverarity właśnie o tę odrobinę nie zwyciężył śmierci?

Wiedziała jednak, idąc ze zwieszoną głową i potykając się o senne kamienie torowiska, że jest jeszcze inna możliwość, że wszystko jest prawdą. Że Inverarity po prostu umarł i tyle. Przypuśćmy więc, że o Boże, Trystero istnieje, a Edypa przypadkiem się na nie natknęła.

Jeżeli San Narciso i okolice nie różnią się niczym od innych miast i okolic, poczucie ciągłości kazało szukać Trystero w dowolnym punkcie republiki; ukryte wejścia mogły znajdować się w setkach miejsc, pośród setek alienacji, wystarczyło poszukać. Edypa zatrzymała się między stalowymi szynami i uniosła głowę, jak gdyby węszyła. Zaczęła wreszcie docierać do niej konkretna, napięta obecność tego, na czym stała – wiedziała już, jak gdyby na niebie wyświetlono dla niej mapę, że tory zbiegają się z innymi i jeszcze innymi, splatają w sieć, pogłębiają i nadają prawdziwość otaczającej nocy. Wystarczyło poszukać.

Przypomniała sobie stare wagony pulmanowskie, porzucone tam, gdzie skończyły się

pieniądze albo zabrakło pasażerów, pośród zielonych płaszczyzn farm, gdzie na sznurach schnie bielizna, a z kominów leniwie unosi się dym. Czy wagonowe osiedla także utrzymują kontakt z sobą podobnymi dzięki Trysterowi; czy pomagają nieść przez nowe stulecia wydziedziczenie organizacji? Z pewnością nikt już nie pamięta, co właściwie miało odziedziczyć Tryster; Edypa także kiedyś zapomni.

Cóż mogła odziedziczyć? Czym jest Ameryka z testamentu Inverarity'ego? Edypa wyobrażała sobie inne porzucone wagony, gdzie tłuste i wesołe dzieci śpiewają, wtórując matczynemu tranzystorowi; o innych bezdomnych, którzy rozciągają prowizoryczne hamaki między uśmiechniętymi reklamami przy szosach, którzy śpią na śmietnikach albo we wrakach Plymouthów, czy nawet, ci najśmielsi, skuleni jak gąsienice w zawieszanej na słupie brezentowej budce kontrolera linii, kołyszący się w sieci drutów telefonicznych, mieszkający w gąszczu miedzianych przewodów w obliczu świeckiego cudu komunikacji, i nie troszczący się o milowe susy napięcia, przez całą noc niosące niesłyszalne wiadomości. Edypa przywołała w myślach dawne rozmowy z włóczęgami, którzy mówili po angielsku tak starannie i poprawnie, jak gdyby wszyscy byli wygnańcami z jakiegoś niewidzialnego, lecz niewątpliwie istniejącego zakątka radosnej krainy, w której żyli; pomyślała o piechurach, którzy zjawiają się i nikną na poboczach nocnych szos w świetle reflektorów, zbyt oddaleni od jakiegokolwiek miasta, by mogli znać cel marszu. A tamte głosy, poprzedzające głos zmarłego w słuchawce, i te późniejsze, które po omacku dzwoniły w najciemniejszych, najbardziej powolnych godzinach, szukające niezmordowanie pośród dziesięciu milionów kombinacji na tarczy telefonu tej, która pozwoli odnaleźć czarodziejskiego Drugiego, wyłoni go z szumu przekaźników, monotonnych litanii przekleństw, brudu, fantazji i miłości, które powtarzane w nieskończoność, dadzą wreszcie pewnego dnia początek temu, co nie nazwane, nowemu rozpoznaniu, Słowu.

Kto jeszcze dzieli tajemnicę Tryster, kto jeszcze dzieli z nim wygnanie? Co powiedziałyby sędzia spadkowy, gdyby Edypa zechciała podzielić spadek pomiędzy wszystkich bezimiennych, powiedzmy w charakterze pierwszej raty? O nie. W ułamku sekundy miałyby sędziego na karku, unieważniono by jej prawa do testamentu, wyklęto, okrzyczano w całym okręgu Orange redystrybucjonistką i kryptobolszewikiem, dziadka z biura Warpe'a, Wistfulla, Kubitschka i McMingusa wciśnięto jako administratora *de bonis non* i tyle by ci przyszło, kochana, z kodów, konstelacji i ukrytych spadkobierców. Kto wie, być może kiedyś sama będzie musiała wstąpić do Tryster, jeżeli ono naprawdę istnieje i trwa w półmroku, opuszczeniu i oczekiwaniu, przede wszystkim w oczekiwaniu – jeżeli nie na nowy splot okoliczności, który zastąpi obecny, sprawiający, że kraina akceptuje istnienie San Narciso pośród swej najdelikatniejszej tkanki bez odruchu czy krzyku protestu, to przynajmniej na taką chwilę, kiedy wzburzy się i załamie symetria możliwych wyborów. Edypa znała zasadę wyłączonego środka i wiedziała, że tego gówna należy unikać – jak więc doszło do tego, że zasada ta panuje wszędzie wokół niej, kiedy tak wiele było niegdyś szans na zróżnicowanie? Czuli się tak, jak gdyby stąpała po płytach gigantycznego dwójkowego komputera, gdzie zera i jedynki wiszą nad głową, na prawo i na lewo, niczym trwające w równowadze mobile, i rozpościerają się przed nią w nieskończoność.

Za hieroglifami ulic kryło się transcendentne znaczenie – albo też martwa ziemia. W piosenkach, które śpiewali Miles, Dean, Serge i Leonard trwał jakiś ułamek numinalnego piękna prawdy (jak wierzył Mucho) – lub tylko widmo energii akustycznej. Tremaine, handlarz swastykami, ocalał od zagłady przez brak sprawiedliwości – albo przez brak wiatru. Ciała amerykańskich żołnierzy leżą na dnie jeziora Inverarity'ego z ważnych dla świata powodów – lub dla uciechy pletwonurków i palaczy papierosów. Zera i jedynki. Tak rozkładają się pary. W Domu Vesperhavena czeka na starców Anioł Śmierci w całej wspaniałości – lub też tylko śmierć i codzienne, żmudne do niej przygotowanie. Za oczywistym znaczeniem kryje się drugie albo też brak znaczenia. Albo Tryster, albo Edypa

orbitująca w ekstazie paranoi. Gdyż albo za zasłoną Ameryki z testamentu kryje się jakieś Trystero, albo istnieje tylko Ameryka, a jeżeli tak, to jedyną rzeczą, jaka pozostawała Edypie i pozwalała jej zachować wobec niej znaczenie, jest pozostać obcą, tą która wypadła z koleiny i zatoczyła pełny krąg przed upadkiem w paranoję.

Następnego dnia w przypiływie odwagi, jaka przychodzi, kiedy nie pozostało już nic do stracenia, Edypa odnalazła C. Morrisa Schrifta i zapytała go o tajemniczego klienta.

– Zdecydował, że osobiście weźmie udział w aukcji – powiedział Schrift. – Zapewne go tam pani spotka.

– Zapewne.

Aukcja miała się odbyć w niedzielne popołudnie chyba w najstarszym budynku San Narciso, zbudowanym jeszcze przed drugą wojną światową. Edypa przyjechała kilka minut za wcześnie sama.

W zimnym hallu wyłożonym lśniąca sekwoją, pachnącym woskiem i papierem, natknęła się na wielce zmieszanego Genghisa Cohena.

– Nie chciałbym, aby poczytała to pani za konflikt interesów – zaczął z powagą. – Ale nie byłem w stanie oprzeć się pokusie, pani Maas. Pod młotek idą trójkątne Mozambiki. Jeśli wolno spytać, czy pani także przyszła licytować?

– Nie. Będę tylko gapiem.

– Mamy szczęście. Dziś będzie krzychał Loren Passerine, najlepszy licytator na całym Zachodzie.

– Co będzie robił?

– Licytator „krzycha”, tak się mówi – wyjaśnił Cohen.

– Ma pan rozpięty rozporek – szepnęła Edypa.

Nie miała pojęcia, co robi, kiedy pojawi się tajemniczy kupiec.

Świtały jej różne mgliste pomysły, jak wywołanie dzikiej awantury i sprowadzenie glin, żeby w ten sposób zorientować się, kim jest facet.

Stała w słonecznej plamie pośród migotu unoszących się i opadających drobin kurzu, próbując rozgrzać się i rozmyślając nad powodzeniem planu.

– Pora zaczynać – Cohen podał jej ramię.

Mężczyźni na sali, w której miała się odbyć aukcja, ubrani byli w czarne mohery. Ich twarze miały blade, okrutne rysy. Patrzyli na wchodzącą Edypę, usiłując każdy z osobna, ukryć własne myśli. Loren Passerine krążył już na podium jak aktor w teatrze kukielkowym. Jego wzrok błyszczał, a z twarzy nie zniknął mu wprawny, niezmordowany uśmiech. Spojrzał na Edypę, jak gdyby chciał powiedzieć: „Zaskoczyło mnie, że jednak przyszłaś”. Edypa usiadła osobno z tyłu sali, wpatrzona w rzędy karków, i usiłowała zgadnąć, który z nich jest celem, jej wrogiem, być może dowodem prawdy. Woźny zatrzasnął ciężkie drzwi, odcinając okna hallu i słońce. Usłyszała trzaśnięcie zamka. Dźwięk rozbrzmiewał jeszcze przez chwilę. Passerine rozpostarł ramiona gestem, który zdawał się należeć do kapłana w jakiejś zaginionej, dawnej kulturze; mógł też należeć do zstępującego anioła. Licytator odchrząknął. Edypa usiadła głębiej w fotelu, czekając, aż numer 49 pójdzie pod młotek.

# THOMAS PYNCHON – KALENDARIUM TWÓRCZOŚCI I ŻYCIA

Jest rzeczą przyjętą przedstawianie kalendarium „życia i twórczości” danego pisarza, lecz w przypadku Thomasa Pynchona zamiana kolejności elementów tytułu jest tyleż uzasadniona, ile konieczna: biografowie i znawcy literatury dysponują dziś pokaźną wiedzą na temat twórczości autora *49 idzie pod młotek*; natomiast o jego życiu, choć jest to autor współczesny, wiadomo niezwykle mało. Thomas Pynchon, jeden z największych współczesnych pisarzy amerykańskich – być może największy od czasów Melville’a – od samego początku swej drogi twórczej starannie zaciera ślady, ukrywa się przed dziennikarzami, kamerami telewizyjnymi, wzrokiem ciekawskich.

Chcąc poznać postać autora czterech powieści i kilku opowiadań, które odmieniły kształt nowej prozy amerykańskiej, czytelnicy mają do dyspozycji jedynie skąpe fakty, garść pogłosek i jedną fotografię, której autentyczność może budzić wątpliwości.

Kim jest Thomas Pynchon?

**1937** – Thomas Ruggles Pynchon Jr urodził się rankiem 8 maja w Glen Cove na Long Island, nieopodal Nowego Jorku. Pisarz ma dwoje rodzeństwa, siostrę Judith i brata Johna. Jego ojciec pracował w przemyśle, kierował ochotniczą strażą pożarną w pobliskim East Norwich, wreszcie został inspektorem miejskim w Oyster Bay w stanie Nowy Jork. Pierwsze wzmianki o Pynchonach pochodzą z czasów najazdu Wilhelma Zdobywcy. Do Anglii przybył wówczas niejaki Pinco.

Jego syn, „Hugh, filś Pinconis”, osiedlił się na Wyspie. W XVI wieku rodzina zamieszkiwała w hrabstwie Essex, a w 1533 roku Nicholas Pynchon zostaje Najwyższym Szeryfem Londynu. Jego krewny, William Pynchon, w roku 1630 sprowadza rodzinę do Ameryki i sam zostaje skarbnikiem purytańskiej kolonii Massachusetts Bay, a także założycielem miast Roxbury i Springfield. Jeden z najbogatszych rodów Nowej Anglii podupadł jednak, choć jeszcze w końcu XIX wieku wielebny Thomas Ruggles Pynchon – po którym pisarz odziedziczył oba imiona – był rektorem Trinity College w Hartford.

Jak się wydaje, dzieciństwo pisarza nie różniło się szczególnie od dzieciństwa większości jego amerykańskich rówieśników. Komiksy, daleka wojna, radiowe słuchowiska o Supermanie. Matka pisarza, Katherine Frances Bennet Pynchon, podobno była katoliczką.

**1953** – Thomas Pynchon kończy szkołę średnią w Oyster Bay, otrzymując nagrodę imienia Julii L. Thurston za najwyższą średnią ocen z języka angielskiego. W tym samym roku Pynchon zdobywa stypendium pozwalające mu jesienią rozpocząć studia w Cornell University na wydziale fizyki stosowanej. W katalogu studentów, tam gdzie powinno się znajdować jego zdjęcie, widnieje puste miejsce.

**1954** – Według niektórych pogłosek, na drugim roku studiów Pynchon żeni się na krótko, lub – według innych wersji – związuje się z dziewczyną, Żydówką. Fakt o tyle znaczący, że większość jego powieściowych bohaterów wywodzi się z rodzin niejednorodnych kulturowo i religijnie.

**1955** – Pynchon nieoczekiwanie porzuca studia fizyczne i wstępuje do marynarki wojennej, służąc, jak można wnosić, w korpusie łączności. Brak zupełnie informacji o pisarzu z tego okresu, jeśli oczywiście nie liczyć scen z pijanymi marynarzami w jego utworach.

Wszelkie dokumenty na ten temat przepadły podczas pożaru archiwum w St. Louis.

**1957** – Jesienią Pynchon wraca do Cornell, podejmuje studia humanistyczne. Jako student anglistyki ukończył seminarium u Vladimira Nabokova (który go sobie zupełnie nie

przypomina), wbrew namowom nie podejmuje indywidualnego programu studiów, prowadzi czasopismo studenckie „The Cornell Writer”. Zaprzyjaźnia się także z Richardem Fariną, tragicznie później zmarłym autorem powieści *Been Down So Long It Seemed Like Up to Me*, w której żywo opisana jest Ithaca (siedziba Cornell University) z czasów, gdy studiowali tam Farina i Pynchon. Niezżyjącemu Farinie Pynchon zadedykował swą *Gravity's Rainbow*. Happeningi, zwariowane przyjęcia, wieczory w klubach jazzowych. Podczas ostatnich lat w Cornell pisze pierwsze opowiadania: *The Small Rain* („The Cornell Writer” marzec 1959), *Mortality and Mercy in Vienna* („Epoch” wiosna 1959), *Lowlands* („New World Writing” 1960) i *Under the Rose* („The Noble Savage” maj 1961), to ostatnie w zmienionej wersji włączone później do powieści *V*.

**1959** – W czerwcu tego roku (a według Tony’ego Tannera dokładnie rok później) Thomas Pynchon kończy studia z tytułem Bachelor of Arts. Otrzymuje wyróżnienie ze wszystkich przedmiotów.

**1959-1960** – Przez kilka miesięcy Pynchon mieszka w nowojorskim Greenwich Village, usiłując utrzymać się z pisarstwa. Po ukończeniu studiów odrzucał propozycje kilku stypendiów naukowych i prowadzenia wykładów w Cornell. Sam zastanawia się nad pracą prezentera radiowego. Zima wypędza Pynchona z Nowego Jorku. 2 lutego 1960 roku pisarz podejmuje pracę w zakładach Boeinga w Seattle jako „asystent techniczny”. Praca w wielkiej korporacji znalazła odbicie w obrazie gigantycznej firmy Yoyodyne, wzmiankowanej we wszystkich powieściach Pynchona.

Wiosną 1960 roku w „Kenyon Review” ukazuje się *Entropia*, najbardziej znane opowiadanie Pynchona.

**1962** – 13 września Pynchon rzuca pracę w zakładach Boeinga, przenosząc się – podobno – do Kalifornii i Meksyku, gdzie kończy pracę nad pierwszą powieścią *V*.

**1963** – Na początku roku ukazuje się *V.*, ogromna powieść, o której recenzent magazynu „Time” z 15 marca 1963 roku pisze z zachwytem:

„Proza Pynchona jest spokojna, pozbawiona afektacji i wolna od psychozy nawet wówczas, kiedy autor opisuje wynalazki w rodzaju automatycznego burdelu, uruchamianego przez wrzucenie monety i przeznaczonego dla stacji i dworców autobusowych. (...) Powieść żegluguje majestatycznie przez otchłanie pieczary, których człowiek nie jest w stanie zmierzyć”. Książka zostaje wyróżniona Nagrodą Fundacji Williama Faulknera za najlepszy debiut powieściowy roku.

**1964 – 1966** – Pynchon nadal pozostaje w ukryciu, nie udziela wywiadów, nie słyszy się o nim plotek lub słyszy się plotki najfantastyczniejsze.

**1966** – Ukazuje się *49 idzie pod młotek* (*The Crying of Lot 49*), poprzedzone publikacją fragmentów w pismach „Esquire” i „Cavalier”.

Pierwszy z fragmentów nosi tytuł: *Świat (ten oto), Ciało (pani Edypa Maas) i Testament Pierce’a Inverarity’ego*. Powieść zaskakuje swymi niewielkimi – w porównaniu z *V*. – rozmiarami i ogromną gęstością narracji. Jest zarazem kontynuacją pewnych obsesji z *V.*, jak i podróżą ku nowym odkryciom. Po zamieszkach murzyńskich w Los Angeles Pynchon pisze artykuł *A Journey into the Mind of Watts* („New York Times” 12 czerwca 1966 r.)

**1973** – Po siedmiu latach milczenia Pynchon publikuje nową powieść. W Ameryce trwa jeszcze fala kontrkultury, awangardowy krytyk Ihab Hassan głosi potrzebę sztuki, która zespoliłaby w jedno magię i nową technologię. *Gravity's Rainbow*, trzecia i jak dotąd największa powieść Pynchona spełnia te warunki z nawiązką. Mówiąc nader ogólnie, książka opowiada o raketach V-2. *Gravity's Rainbow*, czyli *Tęcza grawitacji*, kandyduje do trzech poważnych nagród literackich i ex aequo ze zbiorem opowiadań Singera otrzymuje National Book Award za 1973 rok. Pynchon zamiast wystąpić osobiście, wysłał po odbiór nagrody znanego komika Irwina Coreya. Jurorzy nagrody literackiej Pulitzera jednogłośnie przedstawiają *Gravity's Rainbow* jako główną kandydatkę, lecz ich decyzję unieważnia

komisja doradcza, nazywając książkę „obsceniczną” i „nie do czytania”.

W rezultacie nie przyznano żadnej nagrody. Pynchonowski „powieściowy odpowiednik Jumbo-Jeta”, jak prasa ochrzciła *Gravity's Rainbow*, miał się początkowo nazywać *Mindless Pleasures*.

1975 – Pynchon otrzymuje za *Gravity's Rainbow* medal Howellsa, przyznawany przez National Institute of Arts and Letters oraz przez American Academy of Arts and Letters – mimo że odmówił przyjęcia wyróżnienia i zaproponował, by medal przyznano komuś innemu.

W następnych latach rośnie krąg czytelników zafascynowanych prozą Pynchona i jego fanatyków, pisze się o nim naukowe rozprawy, powstaje czasopismo „Pynchon Notes”. O Pynchonie krążą jedynie plotki, że można go czasem spotkać u pewnego fryzjera na Long Island.

Doskonała izolacja pisarza drażni i daje asumpt najbardziej nieprawdopodobnym domysłom.

1976 – W Polsce na łamach „Literatury na Świecie” ukazuje się fragment *V*. w przekładzie Jacka Laskowskiego. Ponadto w 1981 roku opublikowano *Entropię* w przekładzie Jana Zielińskiego (w zbiorze *Gabinet luster*).

1984 – Wciąż nie sprawdzają się pogłoski, że pisarz ma wydać nową powieść, podobno w dwóch tomach, podobno sagę o wojnie secesyjnej. Pynchon ma nad nią pracować, mieszkając gdzieś pomiędzy Richmond i Atlantą. 28 października 1984 „New York Times” publikuje jego artykuł *Is it ok to Be a Luddite?* nawiązujący do ruchu Luddystów – przeciwko rewolucji przemysłowej, widzianych z perspektywy 1984 r.

Ukazują się także wczesne opowiadania Pynchona (choć nie wszystkie), zebrane w tomie zatytułowanym *Slow Learner*. Tom poprzedza przedmowa autora, jego pierwsza bezpośrednia wypowiedź dla czytelników. Pynchon pisze, że opowiadania są złe, śmieszne, niedopracowane, ot – głupstwa z młodych lat. Ze swego punktu widzenia zapewne ma rację, choć w każdym tekście znaleźć można załączki późniejszych fantastycznych form *V*. czy *Gravity's Rainbow*. Przedmowa nie jest spowiedzią, a Pynchon nie zdradza czytelnikom żadnych osobistych straszliwych tajemnic.

1990 – W pierwszych dniach tego roku ukazuje się czwarta powieść Pynchona *Vineland*. Entuzjastyczną recenzję poświęca tej książce w „New York Timesie” sam ukrywający się Salman Rushdie. Mimo to *Vineland* wyraźnie ustępuje poprzednim książkom Pynchona i nie zyskuje sobie zbyt wielu wiernych czytelników.

Kim jest Thomas Pynchon? Podobno ożenił się, ma dziecko, mieszka na Manhattanie. Podobno.

*Piotr Siemion*